

# Piekielna zemsta

MICHEL  
ZEVACO



PRZYGODA



5200.-

ISBN 83-7037-033-2

MICHEL ZEVACO

Diabelna  
zemsta



Wydawnictwo PRZYGODA

SZCZECIN 1990

Tekst oparto na edycji

Wydawnictwa Stanisława Cukrowskiego, Warszawa 1930

Przekład

*Jan Mściwój*

Opracowanie graficzne

*Andrzej Tomczak*

Redaktor

*Grażyna Bober*

Redaktor techniczny

*Lilianna Klimczak*

Korekta

*Zespół*

Copyright by „Przygoda”, Szczecin 1990

ISBN 83-7037-032-2

## ROZDZIAŁ I

### RABELAIS

Nazajutrz rano Manfred pożegnał się z Lanthenayem, który chciał odprowadzić swego przyjaciela do miejsca pierwszego popasu. Manfred jednak wolał udać się w drogę sam.

Gypsie była obecna przy ich sporze i słuchała rozmowy z dobrze skrywanym zainteresowaniem.

— A więc nie mogę ci towarzyszyć? — zapytał Lanthenay ze smutkiem.

— Tak będzie lepiej! — rzekła Gypsie głosem tak dziwnym, że Lanthenay zdrżał.

— Dlaczego?

— Czuję się zbyt samotnie... Kto wie, czy Manfred nie namówiłby cię na dalszą drogę... Tak, zostałabym zupełnie sama...

— Dokąd jedziesz? — zwróciła się do Manfreda.

— Do Włoch.

— Do Włoch?! — powtórzyła powoli. Zamyśliła się, wzruszyła ramionami.

Manfredem nigdy nie przejmowała się zbytnio. Interesował ją jedynie Lanthenay.

— Odprowadzę cię chociaż do drzwi... Kto wie, co może się stać? — nalegał Lanthenay.

— Co ma się stać? Pan de Monclar jest zbyt dobrym prefektem, aby przypuszczać, że zechce konno paradować w biały dzień ulicami Paryża albo opuścić miasto, przejeżdżając jedną z bram miejskich jak poczciwy kupiec, udający się po towar... — ze śmiechem odpowiedział Manfred.

Pożegnanie było krótkie. Przyjaciele opanowali wzruszenie. Każdy z nich podziwiał zimną krew drugiego.

Manfred konno opuścił Dzielnicę Cudów. Siedział wyprostowany, uśmiechnięty i ruchem ręki zęgnął wszystkich znajomych napotykanym po drodze.

Serce jego krwawiło...

W odległości stu kroków od Dzielnicy Cudów stała karoca. Ponury nastrój nie pozwalał Manfredowi na zainteresowanie się cokolwiek poza tym, co nieustannie dręczyło jego myśl.

Karoca w tej nędznej dzielnicy była jednak tak niezwykle zjawiskiem, że spojrzał na nią z zaciekawieniem.

Siedziała w niej piękna kobieta o szlachetnym i łagodnym wyrazie twarzy. Mimo woli zwracała na siebie uwagę.

— Przejeżdżaj, waść, a żywo! — zawołał mężczyzna siedzący na koźle.

Manfred spojrzał na niego. Wydało mu się dziwne, że ktoś ośmiela się przemawiać do niego tym tonem. Stangret wybałuszył oczy, a jego siwiejące wąsy nastroszyły się.

— Na św. Pankracego! Bo ci pokażę, że umiem sobie radzić z jeźdźcami i ich rumakami! — zawołał i zaczął przygotowywać się do szarży.

— Spadacape! — odezwała się dama rozkazującym tonem.

Spadacape zatrzymał się w miejscu. Manfred chciał odpowiedzieć mu jakimś dotkliwym szyderstwem, lecz dama spojrziała na niego z niemiłą prośbą.

Właściwym sobie, nieco teatralnym ruchem Manfred zdjął beret z czarnym piórem, ukłonił się, jak mógł najgrzeczniej, i ruszył z miejsca.

— Przekłety włóczęga! — mruknął Spadacape.

Pani z powozu odprowadziła Manfreda spojrzeniem.

W tej również chwili z domu, przed którym stała karoca, wyszedł mężczyzna. Był to ten sam nieznajomy, który uwolnił Manfreda z kostnicy przy Montfaucon — kawaler Ragastens. Wsiadł do karocy, która natychmiast ruszyła z miejsca. Kobieta spojrziała na Ragastensa pytającym wzrokiem. Ragastens potrząsnął głową przecząco. Jego twarz wyrażała zniechęcenie.

Tymczasem Manfred powoli jechał ulicami Paryża, zwalniał jeszcze, wymijając wozy ładowne; usuwał się z drogi kobietom, starając się nie ochlapać ich błotem, pogardliwie patrzył na napotykanych strażników miejskich. Ani myślał o zachowaniu ostrożności, o którą prosił go Lanthenay przy pożegnaniu. Zwinięty płaszcz przytroczył do siodła, a beret zsunął z czoła. Miał pod sobą wspaniałego karego konia, a sposób, w jaki go prowadził, wskazywał, że jest doskonałym jeźdźcem. Jego długi rapier chwiał się, uderzając o boki wierzchowca. Niejedna

margrabina, sunąca ulicą w swej bogatej lektyce, spoglądała na niego z zachwytem.

Przechodząca obok kobieta z ludu odwróciła się i zawołała:

— Najświętsza Panienko! To dopiero piękny kawaler!

Minął bramę miejską bez przeszkód, z czego zdawał się być niezadowolony. Oficer przy wartowni pozdrowił go nawet ukłonem, na który Manfred odpowiedział uśmiechem. Już za bramą puścił konia galopem. Po pewnym czasie zatrzymał się na wzgórzu. Cały Paryż leżał przed nim jak na dłoni.

W morzu dachów, wieżyczek, wież i dzwonnicy widział tylko ciemne mury Luwru.

— Żegnaj, Hiletko!

Poczuł, że w tej chwili rozstaje się z nią na zawsze.

... A może jednak?

Nie! Dość miłości! Teraz ma przed sobą tylko radość wolności, nieograniczonej swobody! Zrobił pół obrotu i ruszył w kierunku Meudon.

— Tam — pomyślał z rozrzewnieniem — znajdę słowa pociechy.

Droga biegła przez gęsty las nad brzegiem Sekwany. Jesień wyzłociła już liście wysokich starych drzew. Cała droga była zasypana suchym listowiem. Jesienne mgły czyniły cały krajobraz przygnębiającym.

Jadąc rozmyślał:

— Serce moje również okrywa całun z opadłych liści; lodowata wichura zmroziła je swym tchnieniem, mroząc wraz z sercem moją młodość i wiarę w lepszą przyszłość.



Galopem wpadł do Meudon. Wieś przylegała do lasu. U jej stóp toczyła swe wody Sekwana, owinięta w płaszcz utkany z białych mgieł. W ciszę jesiennego dnia sączyła się smutna piosenka kowala, której towarzyszyły miarowe uderzenia młota w kowadło. Wnętrze kuźni żarzyło się ogniem; przy kowadle stał kowal, bijąc młotem żelazo, z którego sypały się drobne iskierki. Przed drzwiami bawiły się dzieci. Młoda, pucołowata kobieta przyglądała się im z uśmiechem.

Patrząc na tę spokojną scenę poczuł, że ogarnia go zazdrość. Westchnął.

Zatrzymał się o jakieś dwieście kroków dalej, przed stojącym na uboczu domkiem. Otaczał go piękny ogród, w którym na wiosnę pełno było kwiatów, żółtych mleczy, wonnej macierzanki i tymianu. Domek był mały i miły. Okna obrośnięte nagimi już prawie pędami dzikiego wina, zdawały się witać gościa uśmiechem. Na parterze znajdowała się piękna, duża sala jadalna z olbrzymim kominkiem, na którym płonęły, skwiercząc i strzelając iskrami duże kłody drzewa. Umeblowanie było bardzo proste. Wyjątek stanowił wspaniały kredens, wypełniony naczyniami i flaszками wina. Na środku stał stół, przykryty oślepiającej białości obrusem, z zastawą dla trzech osób. Młoda, ładna, uprzejma służąca wesoło uwijała się po pokoju. Ubrana była w krótką spódnicę, ręce miała obnażone po łokcie.

Stojący przy stole mężczyzna w średnim wieku, z głową przekrzywioną na bok, zmrużonymi oczyma i z miną znawcy przyglądał się przygotowaniom czynionym przez służącą.

— Gertrudo, moje dziecko, zastawa nie jest dobrze ustawiona. Do kaduka! Musi być widoczna... to przecież dar naszego pocziwego króla Franciszka... nieszczęsne dziecko! Co ja widzę? Nie postawiłaś srebrnych talerzy...

— Nie, panie...

— Cynowe talerze! Głupia dziewczyna! Stulta es!

— Stulta! — zawołała osłupiała ze zdziwienia Gertruda.

— Tak! — Nie wiesz więc, uosobienie naiwności, że dziś zasiądą przy tym stole królowie?!

— Najświętsza Panno! — jęknęła Gertruda blednąc i wypuszczając z rąk koszyk ze srebrną zastawą.

Szepnęła:

- Królowie! A jacyż to królowie?

— Królowie, książęta, cesarze, niezrównani mistrzowie filozofii, teozofii, logiki, gramatyki, leksykozofii i wszelkich nauk, które doprowadziły człowieka do szczytu ogłupienia... Połóż srebrne nakrycia, moje dziecko. A teraz powiedz mi: czy ta pularda, którą sam wybrałem spomiędzy stu pulard farmerki Justyny, będzie faszerowana wspaniałymi kasztanami, czy będzie wystarczająco rumiana, chrupiąca i soczysta?

— Pularda, panie! Oo... co do pulardy to myślę sobie, iż wszyscy ci panowie królowie i cesarze będą zadowoleni...

— Bene! A pasztecik z węgorza przygotowany wczoraj twymi pulchnymi rączkami?

— Pasztet — stygnie właśnie.

— A ten różaniec z kwiczołów, którego sam już widok

wydałby się imć panu Gargantui wspaniały?... Mam nadzieję, że będzie on jeszcze wspanialszy w smaku.

— Oo... niech pan tylko posłucha, jak kwiczoły skwierczą w rondelku.

— Wspaniała to piosenka i najlepszy zapach, zdolne przywrócić zdrowie i humor nawet hipochondrykom. A jaja na omlet?

— Przyniosłam je przed godziną z kurnika.

— Świetnie. Pamiętaj, że omlet lubi duży ogień. Nie może smażyć się dłużej niż przez jedno „Ojcze nasz”, a podawać go należy na gorąco...

— O, za dużo wymagań jak na jeden omlet!

— Kiedy już wszystko załatwione z jadłem i z trunkami, idę do piwnicy po dodatkową baterię flaszek.

Mówiąc te słowa, gościnnie gospodarz obrzucił jeszcze raz spojrzeniem zastawiony stół i wyszedł, trzymając w ręku kosz na flaszki. Wtedy ujrzał Manfreda, który przywiązywał konia w pobliżu drzwi wejściowych. Dobrotliwy uśmiech przemknął po twarzy gospodarza.

— Aaaa! oto i posiłki! Przybywasz w porę, aby mi pomóc...

— W czym dopomóc, mistrzu Rabelais?

Ton przybysza wydał się gospodarzowi dziwny, postawił więc koszyk na ziemi, wziął Manfreda za rękę i zaczął mu się badawczo przyglądać.

— Oho! Cóż to za wydłużony nos? — rzekł wreszcie.

— Pytasz, w czym masz mi pomóc? A w czymże, na Bachusa, jeśli nie w wyborze kilku gatunków wina, które ci najbardziej smakują...

Manfred potrząsnął głową.

— Nie czuję pragnienia...

— Nie czujesz pragnienia? Od kiedy to brak pragnienia przeszkadza ci w picu winogronowego soku? — to mówiąc, Rabelais zaczął przyglądać się gościowi jeszcze uważniej.

— Mistrzu — rzekł nagle Manfred — przyjeżdżam pożegnać się z tobą.

— Co? Pożegnać się? Odjeżdżasz więc? Chcesz pożegnać swą niefrasobliwą wesołość, która sprawiała, że kochałem cię najbardziej ze wszystkich młodzików? Chcesz pożegnać swą młodość? A więc nie jesteś już dawnym miłośnikiem trunków, zalotnikiem i porządnym chłopcem, w którego towarzystwie zdawało się człowiekowi, że wraca jego miniona młodość?

— Nie, mistrzu, nie jestem już dawnym niefrasobliwym młodzikiem.

— Cóż ci się stało?

— Stało się... Jadę daleko, bardzo daleko... i jestem smutny...

— Tylko tyle? Pozostań więc!

— Nie, mistrzu, muszę jechać.

— Nie wcześniej jednak, aż zjesz ze mną ostatni obiad. Gertrudo! Gertrudo!

Nadbiegła służąca.

— Mistrzu — zaprotestował Manfred.

— Nie mów nic, mój synu, wierz staremu. Masz ciężkie zmartwienie, które gna cię w świat! Zjesz więc dobry obiad, przyrzekam ci to, i przepłuczesz sobie gardło. Potem zobaczysz... a teraz chodź, zabierz ten kosz i ruszamy do piwnicy.

Manfred zwyciężony dobrym humorem i dobrocią Rabelais'go, poddał się woli starego profesora.

W piwnicy Rabelais zaczął myszkować po kątach, podnosząc z ziemi butelki i odstawiając je na dawne miejsce. Od czasu do czasu podawał Manfredowi jakąś flaszkę, aby ją włożył do kosza.

— Przede wszystkim te dwie butelki wina andegaweńskiego — mrucał Rabelais — weźmy dla pewności cztery... a teraz stare burgundzkie... tych można wziąć sześć... wreszcie, aby uwieńczyć dzisiejsze święto zabierzemy jeszcze te cztery flaszki, pochodzące z oberży Grégoire'a. Razem czternaście flaszek, nas zaś będzie czwórka: ty, ja i jeszcze dwóch panów, którzy nadjadą lada chwila.

— Kim są ci dwaj panowie? — zapytał Manfred niespokojnie.

Rabelais ożywił się.

— Posłuchaj — rzekł — będziesz świadkiem nadzwyczajnej farsy, farsy, o której będą mówić przez wieki.

I przez wieki będą pamiętać, jakim znakomitym żartowniszem był Rabelais.

No i cóż to za farsa?

— Słyszałeś chyba o straszliwym mnichu, którego zowią Ignacym Loyolą i który chce spalić na stosie wszystkich kacerzy?

— Tak... to nieszczęście, że ludzie tego typu przychodzą na świat. Przez niego wielu nieszczęśników zmarło na torturach tylko za to, że modlili się trochę inaczej!

— Widzę, że znasz tego człowieka. A czy słyszałeś coś o przywódcy nowej religii?

— Kalwin?

— Tak, Kalwin!... Ignacy Loyola oddałby bez wahania dwadzieścia lat życia, aby się doczekać chwili, w której Kalwin będzie zależeć od niego. Kalwin chętnie zgodziłby się na tortury i śmierć, gdyby wiedział, że Loyola umrze wraz z nim. Obu spala chęć zadania przeciwnikowi śmiertelnego ciosu. To potężni współzawodnicy, każdy z nich marzy o przewadze Kościoła, o zdobyciu przy jego pomocy władzy. Ignacy de Loyola i Kalwin zasiądą dziś z nami do obiadu.

Manfred rzucił na Rabelais'go pełne zachwytu spojrzenie.

Rabelais zaczął się śmiać. Śmiał się cicho, mrużąc oczy.

— Mistrzu — rzekł Manfred — czy nie obawiasz się, że nienawiść, którą żywią do siebie, skupi się pewnego dnia na tobie?

— Ba! Nie mogą nienawidzić mnie więcej, niż nienawidzą w tej chwili. Instynktownie obaj źle mi życzą. Śmiem przypuszczać, że ci straszni przywódcy tłumów i wodzowie dusz obawiają się mnie, skromnego uczonego!

Zamyślił się i dodał powoli, jakby mówił do siebie:

— To są synowie ciemności, a ja kocham światło; boją się mnie, jak sowy obawiają się wszystkiego, co jest zbyt jasne. Nienawidzą mnie. Za co? Jaką zbrodnię popełniłem? Zawsze głosiłem, że życie ludzkie jest godne szacunku i że nauka powinna kiedyś zbawić ludzkość... tak, tak... to moja zbrodnia.

Ich zdaniem ludzkość musi pozostać w ciemnocie. Ciemnota to najsilniejszy sprzymierzeniec despotycznych władców.

Zdumiony Manfred słuchał tych słów z przyspieszonym biciem serca.

— Mistrzu, strzeż się — szepnął.

— Posłuchaj, mój synu. Ignacy de Loyola jest największym despotą świata. Marzy o zduszeniu całej ludzkości w swych potężnych rękach... Kalwin jest despotą zbuntowanym. Ale również pragnie być panem. Walka pomiędzy tymi dwoma ludźmi rozpocznie, być może, długą walkę między narodami... kto wie, które stulecie ujrzy jej koniec. Kto wie, czy po pięciuset latach nie znajdą się jeszcze następcy de Loyoli, grożący sto-  
sem każdemu, kto nie zechce oddawać czci ich Bogu, to znaczy ich tyranii. Kto wie, czy nie będzie następców Kalwina, wygłaszających kazania o składaniu hołdu Bogu, w które go imieniu płynie krew! A ja powtarzam: o, wiedzo! Jakże jesteś jeszcze daleko od ludzi! o prawdę! o jasności dnia! Jakże głos wasz jest cichy! Lecz jakkolwiek daleki zdaje się wasz triumf, przyniesie on ukojenie samotnemu myślicielowi!

Rabelais pochylił się nagle, podniósł z ziemi butelkę pokrytą gęstą warstwą kurzu i podał ją Manfredowi:

— Dodaj jeszcze tę — rzekł.

Potem mówił dalej:

— Był u mnie dwa dni temu z wizytą czcigodny Ignacy de Loyola. Powiedział, że wita we mnie sławnego w Europie mędrca. Wtedy poprosiłem, aby zechciał zaszczyścić mnie przybyciem na obiad. Zgodził się pod warunkiem, że nikt się o tym nie dowie. Rozumiesz? Zrobił to, by pewnego dnia, kiedy mnie

bezprawnie oskarży, nie czerwienić się przed ludźmi ze wstydu. Kalwin wczoraj zjawił się u mnie mówiąc, że ma wielką chęć mnie nawrócić, to znaczy skłonić do przyjęcia nowej metody odmawiania Oremus! On również zgodził się zasiąść przy mym stole, także prosząc o nie wyjawianie jego nazwiska. Powiadam ci, że i jeden, i drugi to — sowy; lubią kryć się w ciemnościach.

Turkot powozu, zatrzymującego się przy furtce ogrodowej, przerwał tę rozmowę.

Rabelais wyszedł pośpiesznie z piwnicy i udał się na spotkanie mężczyzny wysokiego wzrostu, z dumną miną, czarnymi ognistymi oczami; mężczyzna ten zbliżał się do niego, mówiąc z groźną ironią:

— Pozdrawiam cię mistrzu, książę nauki...

Rabelais uklonił się i odpowiedział:

— Czymże jest moja biedna nauka wobec wiary, która cię ożywia, panie?...

— Della Cruz — dodał pośpiesznie de Loyola.

— Wiara seniora della Cruz — rzekł, uśmiechając się Rabelais — zabija wiedzę mistrza.

— A więc nie masz w sobie wiary, mistrzu? — zapytał Loyola.

— Czym byłbym, gdybym nie miał wiary! — zawołał Rabelais. Lecz jestem tylko człowiekiem — jedynie człowiekiem — a pan jesteś świętym.

W tej samej chwili druga karoca zatrzymała się przed domem. Wsiadający z niej mężczyzna miał bladą, zgorzkniałą twarz. Był bardzo chudy, jakby wyschnięty. Oczy w tej wychudzonej twarzy błyszczały przerażającym blaskiem jak dwie



latarnie morskie, płonące w nocy.

Kalwin zobaczył, że Rabelais nie jest sam, więc oświadczył głosem ostrym i lodowatym:

— Roger de Bures, szlachcic z Pikardii, pozdrawia mistrza Rabelais'go i jego gości.

Rabelais wziął pod rękę obu mężczyzn i rzekł:

— Do końca życia będę szczęśliwy, że widziałem na własne oczy to cudowne zjawisko: seniora della Cruz i pana Rogera de Bures, dwóch sławnych mistrzów, siedzących obok siebie pod moim skromnym dachem.

Potem, zwracając się w stronę Manfreda, dodał:

— A to jeden z moich najukochańszych uczniów.

Loyola przyjrzał się bacznie Manfredowi, który kłaniając się powiedział:

— Pozwólcie panowie, że nie wyjawię wam mego nazwiska.

Wszyscy weszli do jadalni i każdy zajął swe miejsce przy stole, na którym Gertruda, drżąc ze wzruszenia, postawiła sławny omlet.

Rabelais napełnił szklanki.

Podniósłszy swoją do wysokości oczu, rzekł:

— W rękę twoje, senior della Cruz, sławo i świeczniku Hiszpanii; w rękę twoje panie Roger de Bures, mistrzu wszech nauk teologicznych, w twoje wreszcie, mój ukochany uczniu. Z całego serca życzę wam, aby wraz z miłością do ludzi — waszych braci... i naszych.... aby wraz z tą miłością spłynął na was spokój.

Wychylił szklankę duszkiem i mlasnął językiem z zadowolenia.

Manfred ze złością wychylił, jedną po drugiej, dwie szklanki trunku.

Loyola i Kalwin zaledwie dotknęli ustami brzegów swych kielichów. Przyglądali się sobie przenikliwym spojrzeniem. Każdy z nich wyczuwał w drugim groźnego przeciwnika.

— A więc — rzekł Loyola, spoglądając bacznie na tego, który kazał się nazywać Rogerem de Bures — zajmuje się pan naukami teologicznymi?

— A czy nie jest to wiedza nad wiedzami? Poznać prawdziwego Boga i prawdziwy sposób oddawania mu czci, czy nie to jest celem człowieka?

— Rzym uczy nas, jak mamy czcić Jezusa i Marię — rzekł Loyola tonem, który brzmiał jak wyzwanie.

Kalwin zacisnął swe wąskie wargi i odparował:

— Prawda jest w Rzymie, lecz mamy ją również poza Rzymem.

— To myśl heretycka! Pilnuj się pan, abyś nie popełnił potwornej pomyłki!

Kalwin wzruszył ramionami.

— Bóg dał nam umysł analityczny...

— Powiedz pan raczej — szatan!

— Bóg pozwolił człowiekowi dopełniać i wyjaśniać jego wiarę.

— Trzeba wierzyć! — przeczył gwałtownie Loyola.

— Gorze temu, kto nie wierzy! Gorze temu, kto chce rozmawiać! Jedź pan do Rzymu, padnij do nóg Ojcu Świętemu, głównemu wodzowi chrześcijaństwa.

— Potrzeba jechać tak daleko — rzekł Kalwin głuchym głosem — aby stwierdzić korupcję kardynałów, zepsucie biskupów

i całą zgniliznę świata katolickiego?

Loyola zbladł i rzucił piorunujące spojrzenie na Rabelais'go, który z wielkim spokojem rzekł do Manfreda:

— Za dużo pijesz tego starego burgunda, mój synu. Weź to skrzydełko pulardy i nalej sobie winka z oberży de la Deviniere.

Loyola przeniósł spojrzenie na Kalwina. Odruchowo położył rękę na szpadzie, którą miał przy boku. Zamilkł w nim mnich, pozostał tylko dawny paż króla Kastylii; rycerz, którego wzięto za zabitego na polu bitwy pod Pampelune.

— To herezja! — zawołał.

— To reformacja! — rzekł Kalwin ostrym głosem.

— Oto nieprzyjaciel! Zwycięzymy go przy pomocy nieba!

— Prawda zwycięży fałsz, gdy oczyścimy religię!

— Rzym jest boski, mój panie.

— Rzym jest w gruzach! — podjął gorący głos Kalwina.

— Przedtem jednak, nim upadnie, potrafi podnieść do życia cały świat!

— Jeśli wiara jest już martwa, jakież będzie ów cudowny środek?

— Lęk! — odparł Loyola, po czym podnosząc się lekko ze swego fotela, mówił dalej:

— Ponieważ świat odmówił wiary, sterroryzujemy go. Jezus chce być wielbiony! Będzie. Wytyczymy drogę pełną ognia i krwi, którą ludzie dobrej woli będą mogli iść do nieba.

— A my stłumimy herezję. Aby ocalić ciało, utniemy członek, który zżera gangrena. Ciałem tym jest wiara. Jeśli to religia uległa zepsuciu, obalimy Kościół, aby wzniesć nową świątynię i na wprost Rzymu umieścimy Genewę!

— Genewę! Ognisko herezji i rozpusty!

— Powiedz pan raczej — ognisko światła!

Obaj mężczyźni porwali się z miejsc; posępni — byli uosobieniem dwóch współczesnych sobie despotycznych systemów.

Rabelais, siedząc pomiędzy nimi, spoglądał na nich z uśmiechem, w którym jednak więcej było goryczy niż wesołości.

— Panowie — rzekł wyciągając ramiona, jak gdyby błogosławiąc ich jednocześnie czule i szyderczo — posłuchajcie mnie, senior delia Cruz i pan, panie Roger de Bures.

Obaj przeciwnicy usiedli pełni szacunku dla gospodarza domu, rzucając jednak ku sobie groźne spojrzenia.

— Po co tyle słów? — rzekł Rabelais. — Świat wierzy w istotę wyższą, wieczną i wszechmocną. Cała natura jest jej królestwem. Las — to najpiękniejsza ze świątyń ze swymi wyniosłymi arkadami, pod którymi wiatr wygrywa cudowne melodie; góry — to kolumny, o ileż piękniejsze niż biedne kolumny Notre-Dame; sam już ocean jest cudnym snem miłości i wiary. Panowie, dlaczego nie pozwolić ludzkości, aby kochała i modliła się tak, jak jej się podoba. Dlaczego narzucać jej prawa?

— A Pismo Święte? — zawołał gorzko Kalwin.

— Patrzcie, cóż za nowa myśl filozoficzna! — zabrał z kolei

głos Loyola. Dziwię się, że człowiek z pańskim charakterem ośmiela się podtrzymywać podobne teorie...

— Chyłę czoła przed pańskim rozumem, mój gościu — rzekł Rabelais. — Lecz mówiłem o zgodzie powszechnej. Zdaje mi się, że Bóg, który czyta w naszych sumieniach, musi być bardziej zadowolony z mej pokojowej mowy niż z waszych wojowniczych wystąpień.

— Uważasz waść, że Bóg jest istotą słabą, i wstydliwą, a dzieje się tak dlatego, że nie rozumiesz, iż Jezus jest samą siłą, jak również samą łagodnością. Wiedz o tym, że silny Bóg żąda, aby jego kapłani byli również silni... panie, jestem szczęśliwy, że mogę pozdrowić w tobie mistrza współczesnej filozofii — dodał Loyola ze słabo ukrytą pogroźką. — Muszę jednak panu oświadczyć, że cała ta filozofia jest przyczyną zła dręczącego świat, uśmiercającego chrześcijaństwo.

Kalwin kiwnął głową potakująco. On również był przeciwnikiem filozofii. Chciał wprowadzić inną religię i tylko religię, a nie filozofię.

Rabelais nalał obu wina.

— Pijcie, moi bracia — rzekł z wielką powagą, zupełnie tak, jakby mówił: „Módlcie się!” Uśmiechnął się złośliwie.

Loyola ożywiony kontynuował:

— Wypowiadam filozofii śmiertelną wojnę. Nauka jest przeklęta, tylko wiara jest święta. W Hiszpanii zaczęliśmy prześladować wszystkich pisarzy. We Francji uzyskałem od króla pozwolenie na rozpoczęcie tej samej akcji. Ogień płonących stosów będzie zorzą odrodzenia chrześcijaństwa. Gorze!

Po trzykroć gorze heretykom i uczonym! Macie w Paryżu niejakiego Stefana Doleta. Nauka jest przeklęta. Aby zabić naukę, zniszczymy drukarnię. Aby zniszczyć drukarnię, skażemy na śmierć Doleta. Istnieje w Paryżu ognisko zarazy moralnej i buntu — to Dzielnica Cudów. Zniszczymy do cna Dzielnicę Cudów. Rozpocznie się śmiertelna walka, ja wam ją wypowiadam. Kto w tej wojnie nie będzie z nami, będzie przeciw nam! Będziecie musieli wybierać między krzyżem a stosem. Albo krzyż zapanuje nad światem, albo świat cały stanie się jednym wielkim stosem!

— Krzyż zapanuje nad światem! — wtrącił Kalwin — lecz ci, którzy go reprezentują wobec narodu, są ludźmi przewrotnymi. Potrzebni są nowi kapłani. Jest tylko jedna święta władza: Boska!

— Nieszczęsny! Czy chciałbyś zaprzeczać władzy papiejskiej?

— Zaprzeczam! — rzekł zimno Kalwin.

Loyola powstał, był błady ze wściekłości.

— Panie — rzekł do Rabelais'go — w jaką zasadzkę wciągnąłeś mnie pan?!

— Jak to? — zawołał Rabelais. — Obaj, moi panowie, jesteście jednostkami wyższymi, promieniuje z was światło, które mnie oślepia; jesteście mistrzami w sztuce myślenia, a nie umiecie uszanować w przeciwniku jego myśli, ponieważ inna jest ona niż wasza! Alboż myśl nie jest również święta? Podważając znaczenie myśli, obrażacie Boga, któremu chcecie służyć!

— Żegnaj pan! — rzekł gwałtownie Loyola.

Opuścił pokój pośpiesznie, żegnając Kalwina groźnym skinieniem głowy.

Już w ogrodzie, dokąd Rabelais go odprowadził, Loyola za-  
pytał:

— Jak się naprawdę nazywa ten Roger de Bures?

— Nie znam innego jego imienia...

— Chcesz pan, żebym ci wymienił jego prawdziwe imię?

— Jestem ciekaw...

— To Kalwin!

— Doprawdy?

— Kalwin — heretyk! Teraz bawi we Francji! Kalwin w Pa-  
ryżu! I żadna kłeska jeszcze nie spadła na Francję! A grom  
niebieski nie dosięgnął Paryża!

— Uspokój się, czcigodny ojcze...

— Masz pan rację — rzekł nagle Loyola z uśmiechem. — Ten  
nieszczęśnik jest może tylko człowiekiem, który zbłądził w  
ciemnościach... Spróbuj skierować go na drogę prawdziwej  
wiary.

— Będę się starał...

— Czy dawno już bawi u pana?

— Od dwóch dni, lecz nic nie wiedziałem... dopiero teraz  
otworzyłeś mi oczy... nie chcę, aby pod moim dachem kryła się  
herezja...

— Nie oddalaj go przypadkiem — rzekł żywo Loyola. —  
Przeciwnie — zrób, co tylko będzie w twojej mocy, aby go chociaż  
trochę pouczyć...

— Będę się starał...

— Jaki triumf dla ciebie, jeśli zdołasz przywrócić go Ko-  
ściołowi!

— Wskazujesz mi, ojcze, drogę, którą mam iść...

— Jestem pewny, że po dłuższej rozmowie dziś jeszcze osiągniesz rezultaty.

— Nie śmiem w to wierzyć...

— Żegnaj więc, panie. Odjeżdżam. Wracam do mego klasztoru, aby w pokoju i modlitwie rozmyślać nad słowem Bożym, które musimy głosić po świecie.

— A ja będę myślał nad twymi słowami, sławny mistrzu. Dzień ten będzie jednym z najpiękniejszych dni mego życia. Zachowam szklanekę, której dotknąłeś. Żaden śmiertelnik nie przyłoży jej nigdy więcej do swych ust...

Loyola wsiadł do powozu i odjechał. Rabelais pośpiesznie wrócił do jadalni.

— Czy wiesz pan, jak się nazywa człowiek, który stąd właśnie wyszedł? — zapytał Kalwin.

— Kimkolwiek jest, jest posłem śmierci!

— To Ignacy de Loyola.

— On! Domyślałem się tego!

— Jeśli chcesz mnie usłyszeć...

— Rozumiem: nie zwlekając, wracam do Genewy.

Rabelais uśmiechnął się. Kalwin pośpiesznie zaczął żegnać się z gospodarzem, pozdrowił Manfreda i po paru minutach jego powóz ruszył w drogę.

Wtedy Rabelais wybuchnął głośnym śmiechem.

— Co powiesz o tej komedii? — zapytał Manfreda, który wstał z miejsca i zaczął przypasywać szpadę.

— Powiem tylko, że masz od dziś dwóch śmiertelnych wrogów. Nigdy ci nie przebaczą.

— Ba! Nie boję się ich, mam za sobą króla, i, co najważniejsze, czyste sumienie. Lecz teraz, kiedy jesteśmy sami, napijmy



się dobrego winka, które nas pokrzepi, i pomówmy o twej podróży...

— Moja podróż już skończona, wracam do Paryża!

— Udasz się do Doleta?

— Na początek! A potem do Dzielnicy Cudów! Twój Loyola mówi o wymordowaniu wszystkich, o paleniu na stosie. Być może nie przypuszczał, że są jeszcze ludzie zdecydowani walczyć... Ach! mistrzu, nudziłem się, a teraz odżyłem na nowo! Chcecie walki, będziecie ją mieli! Walkę śmiertelną, albowiem walką chcecie nas pokonać! Wkrótce, mistrzu, świat usłyszy o nas!

Po tych słowach Manfred wyszedł do ogrodu., skoczył zwinnie na konia i odjechał galopem.

Rabelais napełnił swą szklanekę i podniósł ją do światła, potem bardzo powoli, delektując się, zaczął pić wino.

— I pomyśleć tylko, że ludzie całe swe życie marnują, by mordować innych, podczas gdy na świecie jest tyle wspólnej radości. I pomyśleć, że marzą o przelewaniu krwi, podczas gdy matka natura pozwala im przelewać wino!

— Panowie królowie nie byli bardzo zadowoleni z obiadu, nieprawdaż? — rzekła służąca Gertruda.

— Mylisz się, moja córko, byli nim zachwyceni.

— Nie zaszczycili ani pulardy, ani pasztetu... Zamiast jeść, tylko się spierali.

— To królewski zwyczaj, moja córko. Nie martw się i naley mi wina z tej butelki... stoi tam... ta właśnie... ta napoczęta. Nie ma na świecie nic lepszego nad wino... to nektar boski.

## ROZDZIAŁ II

### JAKIŚ GŁOS WZYWA MANFREDA

Księżna Beatrix siedziała przy robótce we wspaniałym pałacu, w którym zamieszkała z mężem w czasie swego pobytu w Paryżu. Haftowała już od kilku godzin, pragnąc w ten sposób odwrócić uwagę od gnębiących ją myśli.

Ból jej był jednak zbyt silny. Łzy same napływały do oczu.

Jej syn... Kto zwróci jej syna?

W ciągu dwudziestu lat szukała go po całych Włoszech, sięgając złotem na prawo i na lewo, a Ragastens, jej ukochany małżonek, narażał się na największe niebezpieczeństwa, aby tylko zdobyć jakąś wiadomość, wskazówkę, ślad.

Nic... nic zgoła... ciągle nic!

W końcu, opierając się na niejasnych słowach jakiegoś Cygana, napotkanego przypadkowo w jednej z traktierni neapolitańskich, udali się do Paryża. Znowu rozpoczęli poszukiwania.

Na próżno. Dni mijały, a oni nadal nie mogli odnaleźć ukochanego syna.

Wpadła w rozpacz. Na pewno już nie żyje. Konwulsyjny płacz wstrząsnął jej piersią. Od samego rana niestrudzony

Ragastens włożył się po ulicach miasta. Właśnie wracał. Odgłos kroków zmusił ją do podniesienia głowy.

Jakie nowiny przyniósł? Czy znów jak zawsze powie: „Nic!”?

Otarła oczy, aby nie zauważył, że płakała i rzuciła się na jego powitanie. Stał w drzwiach w pełnym świetle.

Uczuła wzruszenie. Co wyrażała jego twarz? Radość? Smutek? Nie była w stanie odgadnąć.

Wierny Spadacape stał przy panu, szczypiąc swą małą bródkę.

— Co się stało? Co jest? Mów, prędzej — najdroższy, dręczysz mnie!

Wziął ją w ramiona z bezgraniczną czułością;

— Uspokój się, moja droga... Nie ma nic jeszcze... Uspokój się, opowiem ci wszystko!

Uczyniła najwyższy wysiłek, aby opanować wzruszenie. Jedynie oczy błyszczały gorączkowo.

— Słucham — rzekła głucho.

— Bądź mężna, Beatrix. Sam nie wiem, co ci przynoszę, rozczarowanie czy też nadzieję. Dziś rano udałem się znowu do Dzielnicy Cudów. Nie wiem dlaczego, ale coś mnie tam ciągnie. Jeśli syn nasz jest w Paryżu, zdaje mi się, że tam go odnajdę...

— Tam widział go neapolitański Cygan — wtrąciła.

— Tam widział młodzika, którego imienia nie znał. Mówiono o nim, że był ukradzionym dzieckiem. Obiegliśmy ze Spadacape'em wszystkie sąsiednie uliczki, zajrzeliśmy do wszystkich szynków, wypatrując i nawiązując rozmowy.

— No i co?

— Otóż dowiedziałem się czegoś od jednego z nocnych stróżów, żebracy bowiem zachowują posępne milczenie i nawet nóż na gardle nie zmusi ich do opowiedzenia, co się dzieje w ich państwie. Powiedział, że przed wielu laty jakaś Cyganka przywiozła do Dzielnicy Cudów...

— Mów, na Boga! błagam cię!

— Nie jedno, lecz dwoje ukradzionych dzieci.

— Jednocześnie... dwoje?

— Nic więcej nie wie.

Księżna Beatrix podbiegła do męża i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Jedno z tych dwojga dzieci — to nasz syn!

Odprowadził ją do fotela.

— Nadzieja mnie podtrzymuje, jak i ciebie — rzekł.

— Po otrzymaniu tych wyjaśnień uczyniłem wszystko, aby się dostać do Dzielnicy Cudów. Przekonywałem, proponowałem cały majątek... Próżne wysiłki! Ci złodzieje mają wartość, której niepodobna przekupić. Drwili ze mnie.

„Sam król tu nie wejdzie” — rzekł do mnie jeden z nich. Spadacape chwycił swój rapier. Kazałem mu włożyć go do pochwy... Bo i co by nam przyszło z walki? Uleglibyśmy pod naciśkiem przeważającej liczby przeciwników i w najlepszym razie wrócilibyśmy z niczym. Żałuję bardzo, że mi się nie udało — dodał — lecz na to już nic nie poradzę. Sami sobie winni, że nie chcieli mnie przyjąć jak przyjaciela. Tym gorzej dla nich! Powrócę do nich, ale już jako wróg! I tym razem... postawię na swoim. Król Francji jest po mojej stronie.

— Czy sądzisz, że Franciszek I uczyni zadość twej prośbie?  
— Jestem tego pewny. Wie o moich wpływach w misji włoskiej, mającej przybyć na dwór francuski...

— I znowu czekać! — szepnęła biedna kobieta.

— Tak! znowu! Lecz to jeszcze nie koniec... zawróciłem... Musiałem stawić się na oznaczoną porę w Luwrze, gdzie miałem uzyskać audiencję. Nagle na rogu jednej z ciemnych uliczek usłyszałem szloch tak bolesny, że zatrzymałem się. Nadstawiłem ucha, lecz zapadło milczenie... Już miałem udać się w dalszą drogę, gdy nagle rozległ się znowu głos kobiety, a raczej młodej dziewczyny. W głosie tym drżał niepokój, błaganie o pomoc. Wypowiedziała imię, które było dla niej niewątpliwie boleścią i całą jej nadzieją, imię mężczyzny, który słysząc to wołanie, przyszedłby jej z pomocą.

Beatrice wstrząsana nadzieją i lękiem słuchała.

— Jego imię! Jego imię! — wyszeptwała.

Ragastens przejęty również do głębi wzruszeniem, ukląkł u stóp żony i otoczył ją ramieniem. Beatrice mówiła dalej:

— Zdaje mi się, że odgadłam to imię: powiedz mi jednak, powiedz — niech je usłyszę. Jakie to było imię?

— Głos kobiecie wzywał Manfreda!

Zadrżała.

— Manfred! Wzywała Manfreda?! Jesteś tego pewny? Czy dobrze słyszałeś? Ta nieszczęśliwa wzywała Manfreda? A więc Manfred żyje! Nasze dziecko żyje! Czy się nie pomyliłeś? Czasem słuch zawodzi.

— Tak, wzywała Manfreda — odparł bardzo blady Ragastens.

— Wołająca była gdzieś blisko, słyszałem jej głos wyraźnie. Spadacape słyszał go również.

— Cóż tedy uczyniłeś?

— Słuchałem — rzekł przygnębiony — słuchałem chciwie, całym sercem, całą myślą... W półmroku, jaki zalega wiecznie tę nędzną dzielnicę, trudno było zorientować się, skąd płynie wołanie... Wkrótce głos zamilkł... Zacząłem szukać... Zaczepiłem jakąś kobietę, która również słyszała ten krzyk. Powiedziałem jej, że głos zdawał się dolatywać z nędznej lepianki znajdującej się w pobliżu. Kobieta wyjawiała, że mieszka tam jakaś wariatka o imieniu Margentyna...

„Mieszka w domku zupełnie sama. Często krzyczy — dodała kobieta. — Nie zwracamy już na to uwagi. Wariatka nie jest wcale złośliwa. — Wtedy zapytałem kobietę — czy jest pani pewna, że mieszka sama? — Znam ją już, od kilkunastu lat. Wszyscy wiedzą, że Margentyna żyje sama jak dzikie zwierzę”.

Beatrix wpatrywała się w męża płonąącym wzrokiem. Powtórzyła pytanie:

— A potem? Co uczyniłeś potem?

— Podszedłem do tej rudery, w której mieszkała, i zapukałem do drzwi. Nikt mi nie otworzył. Wyważyłem drzwi. W mieszkaniu nie było nikogo. Zacząłem wołać. Po chwili u szczytu schodów ujrzałem wreszcie straszliwą postać rozczochranej kobiety, która przyglądała mi się nieufnie. Rzekłem do niej: „Kto wzywał pomocy? Czy to ty wołałaś?” Wtedy ona przyłożyła palec do ust i odpowiedziała: „Cyt! nie budź ze snu tajemnicy Blois. Śmieję się, a ty przyprawiasz mnie o łzy”. Odchodząc,

dałem jej złotą monetę. W oczach jej błysnął promyk rozsądku: „Mam jeszcze pieniądze, dużo pieniędzy. Teraz jestem bogata. Dobra pani rzuciła mi sakiewkę pełną złotych monet”. Oddaliłem się! — zakończył Ragastens z gestem strasznego znużenia.

Beatrix nie słuchała dalszego opowiadania. Wpatrując się uporczywie w jeden punkt, zapytała:

— Ten domek, ten domek wariatki znajduje się w pobliżu ulicy Wolnych Łuczników?

Ragastens uczynił gest zdumienia.

— Tak jest istotnie. To drugi czy też trzeci dom za rogiem. Ale skąd wiesz o tym?

— Nie mam pewności. Domyślałam się tylko. Zdaje mi się, że to wszystko jest snem. Gdyby nadzieje zawiodły, nie przeżyłabym tego. Posłuchaj — rzekła — wczoraj pozwoliłeś mi towarzyszyć sobie. Zostałam w powozie wraz ze Spadacape'em, podczas gdy ty prowadziłeś poszukiwania w całej dzielnicy. Wtedy koło mej karocy przejechał jakiś młodzieniec. Nie przyjrzałam mu się, choć zamienił ze Spadacape'em kilka słów, ale głos jego wstrząsnął mną do głębi. Kiedy wychyliłam się z powozu, był już daleko. Nie uśmiechaj się, mój drogi... ja słyszałam już kiedyś ten głos! I... pomyśl tylko, czy to nie dziwny zbieg okoliczności: w jednym i tym samym miejscu moje spotkanie z młodzieńcem, którego głos jest mi dziwnie znany, i... twoja dzisiejsza przygoda... to wołanie... Manfred! Ach! — zawołała — wyminął mnie, był ode mnie zaledwie o kilka kroków, a ja nie przywołałam go i nie przytuliłam go do serca? To był on!

Spojrzała na Ragastensa.

— Może! — szepnęła.

Był również zdumiony tym spotkaniem.

— Jutro — rzekł — powrócę tam i przeszukam wszystkie domy jeden po drugim. Muszę się dowiedzieć, kto wzywał Manfreda!

— Jutro! — szepnęła Beatrix z wyrzutem.

— Kochanie, w tej chwili czeka mnie audiencja u króla. To też ma związek z naszym poszukiwaniem.

— Idź więc, lecz czy możesz zostawić mi Spadacape'a? Może go będę potrzebowała.

— Zostanie z tobą — odparł Ragastens wychodząc.

Beatrix odprowadziła go do drzwi, patrząc na niego z tkliwością.

— Ach! Gdybym go odnalazła! — westchnęła pełną piersią.

Serce napełnione nadzieją zabiło silniej. Przywołała Spadacape'a.



## ROZDZIAŁ III

### KTO WZYWAŁ MANFREDA?

Księżna d'Etampes, powróciwszy do Luwru po swej nocnej wizycie u Margentyny, udała się bezpośrednio do apartamentów zajmowanych przez księżnę de Fontainebleau.

Apartamenty te miały podwójne wyjście. Jedno prowadziło przez znany już nam duży przedsionek, a drugie wiodło do pokoju położonego w głębi, w którym gromadziły się dworki księżnej de Fontainebleau po przygotowaniu swej pani do snu: po jej uperfumowaniu, rozczesaniu włosów, wygrzaniu łóżka. Czynności te odbywały się pod czujnym okiem pani de Saint-Albans.

Kiedy księżna d'Etampes weszła do pokoju służby, w kominiku płonęła pochodnia, a w świetle dogasających głowni, wtulona w głęboki fotel, drzemała zacna pani de Saint-Albans. Księżna dotknęła ręką jej ramienia.

Pani de Saint-Albans obudziła się, podniosła z miejsca, złożyła głęboki ukłon i zastygła w pełnej uniżoności pozie, zupełnie tak, jakby Anna de Pisseleu była królową Francji.

— A więc moja pocziwa Saint-Albans? — zapytała księżna d'Etampes.

- Błazen przychodził tu ubiegłej nocy...
- Doprawdy?
- Najświętsza prawda! Wszystko widziałam i słyszałam...
- Opowiedz mi...
- Błazna wprowadziła tu panna de Croizille...
- Jeszcze jedna zdrada...

Pani de Saint-Albans uśmiechnęła się jadownicie. Panna de Croizille była młoda i piękna, podwójnie więc zasłużyła sobie na nienawiść starej weredyczki.

— Kiedy błazen wszedł, księżna rzuciła mu się w objęcia ze słowami: „Mój ojciec!” Potem i to i owo. Zaczęła narzekać na Luwr i mówić, że chce się stąd wydostać...

Oboje płakali.

Anna de Pisseleu zdumiała się:

— A więc to prawda — rzekła — że ona jest córką Tribouletta. Nie kłamała, nie była obłąkana, gdy wobec całego dworu porwała go za rękę wołając: „Oto mój ojciec!”

— Należy przypuszczać, że jest to prawda — uważała za właściwe podkreślić pani de Saint-Albans.

— No, a potem?

— Błazen ma wrócić dziś o północy i wyprowadzić dziewczynę z pałacu, aby mogli razem ratować się ucieczką.

— Co? dziś o północy? Dlaczegoś nie uprzedziła mnie o tym w ciągu dnia? Stara wariatko!

— Stara!

Na dźwięk tego wyrazu panią de Saint-Albans zatkało z oburzenia.

— Pozwolę sobie uczynić uwagę, że nie miałam wcale sposobności porozmawiania z księżną panią na osobności.

— Zamilcz już! Ale do rzeczy! Nie jesteś tu przecież sama?

— Nie rozumiem, co chcesz pani przez to powiedzieć? — odparła stara, czyniąc wysiłek, aby wywołać na swej twarzy rumieniec zawstydy.

— Gdzie się kryje twój kochanek... Alais Le Mahu?

— O... pani! — wybełkotała pani de Saint-Albans.

— Prędeż. Widzisz przecież, że nie mam czasu.

Drzwi od gabinetu otworzyły się nagle. Ukazał się w nich oficer, który zbliżając się do księżnej, pozdrowił ją ukłonem i rzekł:

— Jestem na rozkazy pani...

Był to Alais Le Mahu, oficer gwardii przybocznej. Miał około pięćdziesiątki. Był biedny i od trzydziestu blisko lat bezskutecznie wyczekiwał na uśmiech fortuny. Nie miał żadnych skrupułów ani wyrzutów sumienia, był zdecydowany na wszystko. Służył co prawda w stopniu oficera, lecz również dobrze mógł zostać zwykłym włóczęgą. Był namiętym graczem w kości i zawsze w dniu otrzymania żołdu przegrywał go co do grosza.

Stara weredyczka, cnotliwa pani de Saint-Albans, zrozpaczona tym, że nigdy jeszcze nie zaznała prawdziwej miłości, płaciła mu dosyć drogo za złudzenie, jakim ją darzył, dodajmy — dosyć skąpo, ten żołdak.

Tego dnia właśnie albo, ściślej mówiąc — tej nocy, Alais Le Mahu przyszedł właśnie do swej kochanki po pięćdziesiąt pistoletów, których na gwałt potrzebował.

Wiedli na ten temat spór, gdy weszła do pokoju księżna. Alais Le Mahu, ukryty przez kochankę w małym gabinecie, był świadkiem całej rozmowy. Usłyszał także ostatnie słowa księżnej d'Etampes. Pomyślał:

— Mam potrzebne mi pięćdziesiąt pistolów...

Otworzył więc odważnie drzwi i podszedł do księżnej.

— Panie Le Mahu — spytała — czy chcesz pan zarobić sto pistolów?

Le Mahu rzucił pogardliwe spojrzenie w stronę pani de Saint-Albans i padł przed księżną na kolana.

Odpowiedź ta była bardzo wymowna. — Dobrze, mój panie! — rzekła księżna. — Te sto pistolów otrzymasz pan jutro u mnie. A może znajdzie się jeszcze jaki zarobek.

— Nareszcie los się uśmiechnął! — pomyślał oficer, olśniony nagłym powodzeniem. Głośno zaś dodał:

— Co mam uczynić?

— Przede wszystkim poprzysiąc dyskrecję.

— Przysięgam na honor.

— Pozostaw pan swój honor w spokoju, mój panie. Przysięgniesz mi tylko dyskrecję. Zapłacę za milczenie. A jeśli piśniesz bodaj jedno słowo, pamiętaj waść, że Bastylia ma dużo lochów...

Le Mahu chrząknął znacząco, co miało znaczyć, że można liczyć na jego milczenie i że nie zawaha się w wyborze pomiędzy Bastylia a stu pistolami.

Księżna d'Etampes przyjrzała się jego brutalnej twarzy, Egzamin wypadł pozytywnie.

— Czy czujesz się waść na siłach powstrzymać czyjeś krzyki?

Alais Le Mahu wyjął z kieszeni szarfę i odparł lakonicznie:

— Oto — knebel...

— Dobrze. A czy czujesz się na siłach zmusić tego kogoś do towarzyszenia sobie, grożąc mu użyciem gwałtu, jeśli zajdzie tego potrzeba?

Le Mahu zamiast odpowiedzieć — wyciągnął sztylet. Wzrok księżnej błysnął posępnym ogniem, wzdygnęła się. Zawahała się przez chwilę, potem zaczęła mówić dalej.

— Nie!... niepotrzebna zbrodnia jest głupotą. Wolę już co innego...

— Czy ten ktoś jest silny? — zapytał Alais Le Mahu.

— To młoda kobieta... dziewczyna.

Żołdak uśmiechnął się.

Zniknął w drzwiach gabinetu, po chwili powrócił z pękiem sznurów w ręku.

— Zwiążę ją i zarzucę sobie na plecy.

— A więc bądź pan przygotowany... Jeśli zawołam, wejdź za mną. Pochwycisz od razu księżnę de Fontainebleau, zwiążesz ją i zakneblujesz jej usta. Potem zobaczymy, co robić dalej.

— A jeśli pani mnie nie zawoła?

— Opuszczę tamten pokój sama i... pan wyjdiesz wraz ze mną.

— A owe sto pistolów? Czy dostanę je mimo wszystko?

— Już je masz...

— Jestem gotów; dla pani mogę narazić się nawet na gniew królewski...

Słowa te uświadomiły księżnej, że ten niebezpieczny żołdak przy nadarzącej się sposobności może wykorzystać posiadaną przez siebie tajemnicę.

Zmarszczyła brwi, na wycofanie się było już jednak za późno. Dała znak oficerowi i jego kochance, która nie mogąc dotychczas strawić wyrazu „stara”, stała obrażona z boku.

Księżna d'Etampes weszła do pokoju Hiletki. Dziewczyna z wieczora pozwoliła się rozebrać swym dworkom do snu, a gdy wyszły z jej pokoju, zaczęła przygotowanie do ucieczki. Była już ubrana w podróżny płaszcz i, stojąc na środku pokoju, czekała z bijącym sercem... Spoglądała na drzwi, którymi ubiegłej nocy wszedł Triboulet.

Nagle za jej plecami rozległ się szmer kroków. Odwróciła się i... ujrzała księżną d'Etampes. Zbladła.

Anna de Pisseleu zbliżyła się do niej, ujęła obie jej ręce w swe dłonie i rzekła gorączkowo przyciszonym głosem:

— Pośpiesz się moje dziecko! Na szczęście jesteś już gotowa do drogi! Twój ojciec czeka na ciebie...

— Pani... — szepnęła Hiletka.

Nie знаła wcale księżnej, nie znała nikogo z dworu królewskiego. Nagłe ukazanie się księżnej d'Etampes, jej słowa wywołały w Hiletce głębokie wzruszenie. Księżna zrozumiała, że musi ją uspokoić.

— Jestem księżna d'Etampes — rzekła. — Posłuchaj mnie. Jestem kochanką króla... Nie piecz raków... nie czas teraz na pruderie! Zajmuję na dworze wysokie stanowisko, ale nie wiadomo jak długo jeszcze. Dziś potężna i groźna, jutro przegrana, jeśli król odwróci się ode mnie. Czy mnie rozumiesz?

— Gdzie jest mój ojciec? — spytała Hiletka drżącym głosem.

— Wysłuchaj mnie do końca. Król odwróci się ode mnie, jeśli ty pozostaniesz na dworze. Twój ojciec, który zna stosunki i wszystkie dworskie tajemnice, padł mi do nóg błagając, abym mu dopomogła wykraść cię z Luwru. Co ty na to?

Oslupiała, wstrząśnięta do głębi duszy, Hiletka uwierzyła jej słowom. Ich nieco brutalna szczerłość nieprzyjemnie dotknęła niewinną dziewczynę, lecz jednocześnie upewniła ją, że księżna mówi prawdę.

— A więc ojca nie ma w Luwrze? — zapytała drżąca.

— Czekaj na ciebie o jakieś sto kroków poza murami pałacu. Udało mi się zdobyć karoce, która zawiezie was tam, dokąd tylko zechcecie. Najważniejsze jest dla mnie to, żebyś opuściła Luwr. Wybacz mi, moje dziecko, że mówię do ciebie tak brutalnie... ale, mój Boże! nie traćmy czasu...

— Jestem gotowa pójść za panią! — oświadczyła Hiletka.

— Chodź więc, moje dziecko! Chodź!.

Hiletka pośpiesznie nasunęła na twarz kaptur od płaszcza i księżna d'Etampes pociągnęła ją w stronę parku, gdzie oczekiwał już na nie Alais Le Mahu.

Gdy przeprowadził obie kobiety przez posterunek przy jednej z bram Luwru, Hiletka znowu zapytała:

— Gdzie jest mój ojciec?

— Chodź! Chodź! — odparła księżna, wlokąc ją za sobą.

Alais Le Mahu postępował o kilka kroków za nimi, rękę trzymał na rękojeści sztyletu.

— Mój ojciec! Chcę widzieć mojego ojca! — zawołała nagle zatrwożona Hiletka.

— Zobaczysz go za chwilę... Pójdź! Chodźże prędzej! Dziewczyna opierała się.

— Panie Le Mahu! — zawołała księżna.

Oficer nadbiegł.

— Dopomóż pan...

Z tonu jej głosu żołdak zrozumiał, o co chodzi. Porwał Hiletkę brutalnie za rękę i pociągnął gwałtownie.

— Pani! — zawołała nieszczęsna — dokąd mnie prowadzi? Och! ten człowiek tak mnie ściska za rękę!

Tym razem księżna nic nie odpowiedziała. Hiletka miała wrażenie, że wiodą ją gdzieś, gdzie spotka ją coś strasznego. Zaczęła się opierać, chciała się cofnąć...

— Ratunku! — wołała. — Pomocy!

— Zakneblować! — rzekła zimno księżna.

— Pomocy! — zawołała raz jeszcze Hiletka.

Był to ostatni jej krzyk, wprawna ręka oficera stuliła jej usta.

Nie upłynęło dwadzieścia minut, gdy księżna d'Etampes zatrzymała się przy ulicy Wolnych Łuczników. Żoldak, któremu wydała rozkaz, wszedł do domku i wkrótce powrócił wraz z Margentyną.

Księżna wzięła wariatkę za rękę.

— Czy widzisz tę dziewczynę? — rzekła.

— Widzę ją...



— Jest to córka owej złej kobiety, która sprawiła ci tyle bólu... Oddaję ci ją...

— A moja córka?

— Zobaczysz ją... Tymczasem pomścij się na tej dziewczynie.

Le Mahu odwiązał Hiletce usta...

Obłąkana Margentyna zbliżyła się do niej, porwała ją za rękę. Drżąca Hiletka uczuła, że ramię wariatki ujmuje ją wpół... Pociągnęła ją za sobą, niosąc ją prawie do swej ciemnej nory.

Na widok krętych i połamanych schodów, spróchniałych stopni i dziur w podłodze, strach Hiletki wzmógł się jeszcze bardziej.

Wydało jej się, że idzie tymi schodami, aby już nigdy nie zejść na dół, że żegna się w tej chwili ze swą młodością, urodą, miłością, z całym światem.

— O, pani — zawołała.

Cofnęła się, drżąc z przerażenia.

Oddałaby pół życia, aby się znaleźć w tej chwili na ulicy, aby widzieć niebo i gwiazdy, aby móc odetchnąć świeżym powietrzem nocy.

Czuła, że dusi się w tym straszliwym więzieniu.

— Pani, wypuść mnie stąd... Chcę wyjść... Pani...

Nie skończyła jeszcze tych słów, gdy uczuła, że kobieta unosi ją w górę jak dziecko. Porwała ją w ramiona i zaczęła iść schodami.

Nienawiść dodawała jej sił.

Gdy stanęła na progu swej izdebki, w której przez tyle lat dniami i nocami wołała w ciemnościach: „Zwróćcie mi moją córkę!”, otworzyła ramiona i postawiła Hiletkę na ziemi.

Zaczęła biegać po pokoju krokiem lekkim i cichym jak tygrys w klatce. Zamknęła na zasuwę drzwi wychodzące na schody, zapaliła lampę, a potem, trzymając ją w ręku, zbliżyła się do przerażonej dziewczyny.

— Chcę zobaczyć, czy jesteś piękna? — rzekła.

Głos jej drżał radością, której nie starała się nawet ukryć. Twarz kobiety odmłodziła. Powtarzała nieustannie:

— Chcę wiedzieć, czy jesteś piękna!

Postawiła lampę na stole i podeszła do Hiletki.

— Tak! Jesteś bardzo piękna! — szepnęła.

Hiletka zdrząła, uczuła, że piękność jej podnieca jeszcze bardziej nienawiść owej złej istoty, której spojrzenie napępiało ją trwogą.

— Kiedyś również byłam piękna. Tak piękna jak ty. Mój kochanek mówił mi, że jestem najpiękniejszą na świecie.

Zbliżyła się do Hiletki i wykrzyknęła:

— Cóż mi zostało z mej piękności?

— Pani... — wybełkotała dziewczyna.

— Ach! cóż mi zostało z mej piękności? Przemineła. Oczy moje za dużo wylały łez, usta za dużo się modliły, kolana wytarły mi się o kamienie, na których kłęczałam, ognie piekielne spaliły mą delikatną i białą skórę, rozsiałam me włosy po przydrożnych cierniach. Margentyna — wariatka jest większą wariatką, niż się wydaje. Twierdzi, że była piękna!

Wybuchnęła długim i posępnym śmiechem. Hiletka patrzyła na nią przerażona. Nie myślała już wcale o księżnej d'Etampes. Zadawała sobie jedynie pytanie, dlaczego ta obca kobieta

czuje do niej tyle nienawiści. Nagle zrozumiała wszystko. Księżna wydała ją tej wariatce pewna, że zadane przez nią cierpienia będą dotkliwe.

Margentyna chodziła po wąskim pokoju tam i z powrotem. Znowu rozległ się jej ostry głos:

— W jakim jesteś wieku, piękna panienko?

— Mam siedemnaście lat.

Wariatka powtórzyła:

— Siedemnaście lat.

Nagle twarz jej drgnęła niepokojem, jak gdyby w myśli zestawiała jakieś daty i wydarzenia, jak gdyby coś chciała sobie przypomnieć.

— A jak się nazywasz?

Hiletka uczuła iskrę nadziei. Głos wariatki stał się łagodniejszy, nie śmiała się już dziko, nie rzucała na nią krwiożerczych spojrzeń. Siedząc na podłodze, zdawała się marzyć.

Hiletka rzekła słodko:

— Mam na imię Hiletka. Nieprawdaż, że to ładne imię?

Jednym susem Margentyna znalazła się przy niej, porwała ją za ręce i, wyciągnawszy szyję, zbliżyła do niej swą twarz.

— Kłamiesz! kłamiesz! — ryknęła. — Przeklęta córko piekła! Hiletka! Ty masz się nazywać: Hiletka! Ty? Ośmiel się powtórzyć to raz jeszcze!

— Pani!

— Ty! Hiletka! Precz! Czy myślisz, że postradałam zmysły?

Wściekłym ruchem wbiła ostre jak szpony paznokcie w jasne włosy dziewczyny, która wydała bolesny okrzyk.

— Słuchaj — mówiła dalej z gniewem. — Czy jesteś moją córką?

Zaśmiała się, patrząc na dziewczynę błędnym wzrokiem, w którym płonął ogień śmiertelnej nienawiści.

— Czy jesteś moją córką? Nie ośmielisz się tego powiedzieć, widzisz, że nie ośmielisz się tego powiedzieć! Aha! a więc masz na imię Hiletka, a nie jesteś moją córką!

Zamyśliła się... Odstąpiła o parę kroków. Nagle złożyła ręce jak do modlitwy.

— Hiletka ma sześć lat! Moja córka Hiletka ma sześć lat! Jest piękna, jasnowłosa i łagodna, ma błękitne oczka. Jej złote włosy spływają aż na ramiona. Mówi do mnie: „Mamusiu, Kocham cię!”, a potem zasypia w mych objęciach. Nic nie wie o moim życiu, lecz widzi, że cierpię. Dobre serduszko mówi jej, że cierpię bezgranicznie, że już brak mi sił, a wtedy zaczyna mnie ścisnąć i cierpienie moje mija. Czuję się szczęśliwsza od królowej, klęcząc przy jej małym łóżeczku. Oto jaka jest moja Hiletka.

W oczach dziewczyny ukazały się łzy współczucia.

— Jeśli pani tak cierpisz — szepnęła — dlaczego mnie nie nawidzisz, mnie, która cierpi również?

Margentyna jednak zdawała się nic nie słyszeć.

— Jeśli nie jesteś Hiletka, gdzież jest ona? Nie widziałam jej ani dziś, ani wczoraj, ani przedwczoraj, ani od wielu, wielu dni. Gdzie ona jest? Szukam jej i nie mogę jej znaleźć. Jaka jestem zmęczona... Gdzie ona jest? Kto mi ją zabrał? Gdyby umarła, wiedziałabym o tym. Nie mów mi, że ona nie żyje; tajemnicze głosy, jakie słyszę nieraz, prowadzą mnie do niej...

Już, już zbliżam się... nagle widzę przeszkody... i znowu jej nie ma. Paryż ją schował. Franciszek ją ukrywa, pożąda jej na pewno... pożąda córki jak kiedyś matki... — a gdy już ją zhańbi, odrzuci jak mnie. Franciszku! Franciszku! zapłacisz za swoje zbrodnie. Piękno się zemści, miłość się zemści, kobieta pomści wszystkie dziewczęta, z którymi igrałeś jak z zabawkami.

— Pani — odezwała się Hiletka z wielką tkliwością w głosie — dlaczego nie wierzysz w odzyskanie swej córki? A może właśnie odzyskasz ją bardzo szybko...

Humor wariatki zmienił się nagle. Zaczęła się śmiać...

— Cicho — szepnęła. — Przyprowadzą ją do mnie natychmiast. Już przychodzili... mówili mi ludzie... Mówili: „Uczynisz to, o co cię prosimy, a córka zostanie ci zwrócona...” Uczynię to, o co mnie proszą i będę czekała...

Dziewczyna w słowach tych usłyszała groźbę. Uczuła, że znowu zawisło nad nią nieszczęście.

— Czego żądano od ciebie, pani, w zamian za oddanie ci córki? — zapytała, starając się mówić spokojnym tonem.

— Żądano ode mnie, abym zadała tobie cierpienie gorsze od samej śmierci — odpowiedziała zimno Margentyna — i kazono mi pilnować cię bardziej niż największego skarbu świata.

— I uczynisz to?

Zamiast odpowiedzi z ust wariatki wydarł się szydarczy śmiech.

— Pani, czy uczynisz to tylko dlatego, że jakaś zła kobieta, która mnie nienawidzi, kazała ci to zrobić? Tylko dlatego?

Margentyna potrząsnęła głową.

— Nie, nie! Uczynię to dlatego, że cię nienawidzę, bo sprawiając ci ból, pomszczę się na kobiecie, która mnie skrzywdziła... pomszczę się na twojej matce...

— Na mojej matce?

Okrzyk ten był tak bolesny, że zbudził w chorym mózgu Margentyny promień świadomości.

— Moja matka! — zawołała Hiletka, składając ręce jak do modlitwy — Pani znałaś moją matkę?

— Czy ją znałam — zawołała stara z wybuchem nienawiści. — Posłuchaj... Kochałam tego, który mnie kochał... miał na imię Franciszek... ta kobieta... ta twoja matka... zjawiała się u mnie... i od tej chwili oczy moje nie wysychają, pełne łez... widzisz więc, że muszę jej nienawidzić.

Te słowa przeraziły Hiletkę.

— Szalona! — szepnęła.

Margentyna porwała ją za ręce.

— Czy znam twą matkę! To ona przyniosła mi list! list, w którym Franciszek pisze, że mnie już nie kocha! To ona siedziała na kolanach u Franciszka wtedy, kiedy pił ze swymi przyjaciółmi i śmiał się... i ty mnie pytasz, czy znam twoją matkę! Ależ ty jesteś szalona!

Wybuchnęła posępnym śmiechem, miażdżąc w swych rękach dłonie Hiletki.

Dziewczyna największym wysiłkiem starała się uwolnić z tego uścisku.

— Wariatka! — bełkotała. — Wariatka! Ona mnie zabije!

Ścierpła ze strachu i głosem pełnym przerażenia zawołała:  
— Manfredzie! Manfredzie!

Imię to wyrwało się z jej ust mimo woli. Wariatka jeszcze silniej ścisnęła ją za rękę. Hiletka jęknęła, potem upadła na kolana, wreszcie obsunęła się na podłogę zemdlona ze strachu.

Margentyna patrzyła na nieruchomo leżącą u jej stóp dziewczynę. Zdawała się marzyć, lecz po twarzy jej przebiegały nerwowe drgawki.

Myślała o swym dziecku, o swej Hiletce. Oczy płonęły wściekłością. Ukarze tę dziewczynę, pomści swą córkę. Przede wszystkim dlatego, że taki był rozkaz dobrej pani. Ale jak to zrobić?

Czas płynął. Za oknem błysnął świt. Nagle podniosła się z miejsca... już wie. Dobra pani będzie zadowolona, na pewno zwróci jej córkę.

Zaśmiała się.

— Prędko! Prędko! — szepnęła.

Pobiegła do rogu pokoju i porwała długi sznur. Wróciła do Hiletki. Zaczęła wiązać jej nogi, potem ręce.

Hiletka nie otworzyła nawet oczu, nie wydała ani jednego jęku.

Wariatka obrzuciła skrępowaną dziewczynę pełnym - radości spojrzeniem. Teraz może wyjść spokojnie. Więźniarka nie ucieknie.

Wzięła sakiewkę pełną złota. Miała dosyć pieniędzy, aby

zapłacić za swą zemstę.

Wybiegła.

Po godzinie wróciła. Biegła zdyszana, przeskakując po kilka stopni.

Czuła, że gdyby nie mogła dopełnić swej zemsty, serce pękłoby jej z żalu.

Odetchnęła. Hiletka nie poruszyła się z miejsca. Uspokojona usiadła. Po chwili jednak zabrała się do roboty. Nie miała czasu do stracenia. Wyciągnęła z kieszeni kawałek sukna, z którego zaczęła wycinać coś w rodzaju maski. Potem wyjęła mały woreczek ukryty w kieszeni i flaszkę, na którą spojrzała z czułością.

Zapłaciła za nią bardzo dużo.

Ostrożnie wylała zawartość buteleczki na sukno. Odurzający zapach napełnił pokój.

Hiletka poruszyła się, otworzyła oczy.

Gwałtownym wysiłkiem podniosła się, lecz w tej samej chwili padła bez sił. Głowa jej uderzyła o podłogę.

Margentyna, pogrążona w swej tajemniczej pracy, nic nie słyszała, nic nie widziała.

Hiletka całkowicie odzyskała przytomność. Zrozumiała, że podczas omdlenia, w którym się znajdowała, skrępowano ją sznurem. Uczuła, że zaraz rozpocznie się straszna próba. Ogarnął ją lęk.

Wolała już jednak wszystko, niż tę niepewność.

— Pani — szepnęła.

Margentyna spojrzała na nią, nie dając odpowiedzi.

— Pani, dlaczego mnie skrępowowałaś? Obiecuję ci, że nie będę uciekać.

Potem dodała łagodnie:



- Te sznury sprawiają mi ból... proszę mnie rozwiązać.
- Margentyna nic nie odpowiedziała. Powstała, zbliżyła się do dziewczyny, uklękła i pochyliła się nad nią.
- Widzisz... jestem zajęta... to dla ciebie...
- Dla mnie?
- Tak, robię ci maskę...
- Nic nie rozumiem — szepnęła Hiletka przerażona.
- Posłuchaj... czy słyszysz mnie?
- Hiletka odpowiedziała skinieniem głowy.
- Nienawidzę cię! nienawidzę cię, ponieważ jesteś córką tej, której nienawidzi cała moja dusza. Chciałam zadać cierpienie twojej matce... chciałam, by ona cierpiała tak, jak ja nigdyś! Czy rozumiesz mnie? Nic nie rozumiesz! Ale to nie szkodzi! Chcę, aby twoja matka płakała tak, jak ja płakałam... i dlatego robię tę maskę.
- Potrząsnęła z triumfem wilgotnym kawałkiem sukna.
- Zrobiłam tę maskę, którą zaraz przykryję ci twarz. Kiedy ją zdejmę, twoje oblicze nie będzie już nigdy takie jak dotąd...
- Wesoło pobiegła po lustro i przysunęła je do twarzy Hiletki.
- Przyjrzyj się! Przyjrzyj się uważnie i naciesz się sobą po raz ostatni. Jesteś piękna! Powtarzano ci często, że jesteś piękna! Przyjrzyj się teraz sobie dobrze Nie będziesz już piękna nigdy więcej!
- Nie będę już piękna! — zawołała Hiletka, potrząsając głową. — Niestety! Co mi teraz po urodzie!
- Wariatka nie słyszała tych słów.
- Za trzy dni — rzekła — maska zrobi swoje. Czarodziej

neapolitański, który sprzedał mi ten środek, powiedział: „Za trzy dni maska będzie gotowa”. Jeszcze masz trzy dni. A potem wszystko się skończy. Odprowadzę cię do twojej matki, zdejmę maskę i powiem:

— Patrz, co się stało z twoją córką... To będzie okropny widok! Jak ja się będę śmiać!

Te trzy dni przeszły dla Hiletki jak straszliwy sen. Wariatka nie oddalała się ani na chwilę, nie spuszczała z dziewczyny oczu... Nawet w nocy Hiletka czuła na sobie jej okropne spojrzenie.

Wzywała Manfreda głosem słabym i drżącym, głosem dziecka, które cierpi. Wariatka przez ten czas nie wyrządziła jej żadnej krzywdy. Powiesiła tylko swą maskę na gwoździu i czasem zbliżała się do dziewczyny kiwając głową, aby przyjrzeć się jej z bliska.

## ROZDZIAŁ IV

### PAN DE MONCLAR U SIEBIE I U KRÓLA

Do obitego czarnym sukniem gabietu zaczął wdzierać się świt.

Mondclar siedział przy stole i wskrzeszał w pamięci obrazy dawno minionej przeszłości. Z zadumy wyrwało go dyskretne pukanie do drzwi.

Mężczyzna, który stanął w progu, wyglądał podejrzanie. Oblesny uśmiech błędził po jego ustach. Był to Tytus Neapolitańczyk, zaufany pana de Monclara. Niejedną już usługę wyświadczył prefektowi. Nie był ani przyjacielem Monclara, ani jego sługą, lecz współnikiem.

Dziwna to była postać. Przed kilkunastu laty przybył z Włoch i osiadł w pobliżu Luwru, otwierając mały sklepik, nad którego drzwiami zamiast szyldu zawiesił pęk suchych ziół.

Zaciekawieni przechodnie wchodzili do sklepu, pytając co oznaczają te zioła.

Tytus odpowiadał, że przywiózł je z bardzo dalekich krajów jako lekarstwo przeciw wszystkim chorobom. Po takim oświadczeniu drzwi jego sklepu przez jakiś czas nie zamykały się. Potem jednak ilość klientów zmalała.

Co pewien czas zawieszał nowy pęk ziół, lecz nikt już nie przychodził do niego po leki.

Zaczęto nawet omijać jego sklep tak, jak gdyby znajdowało się tu ognisko zarazy. Powodem tego nie była jednak mała skuteczność ziół.

Tytus sprzedawał jednocześnie inny towar, towar, który budził w ludziach strach. Tym towarem była trucizna.

Poinformowany o wszystkim prefekt przywołał go do siebie.

Nikt nie wiedział, o czym mówili ze sobą ci dwaj ludzie. Tytus powrócił jednak do swego sklepu uśmiechnięty. Więcej go nie niepokoiono. Oburzenie obywateli miasta przybrało inną formę. Zaczęto go prześladować, obrzucać kamieniami i grozić mu.

Tytus nie skarżył się. Czekał.

Po pewnym czasie jakaś dziwna epidemia zaczęła dziesiątkować dzieci w całej dzielnicy. Najślawniejsi lekarze nie umieli powiedzieć, co było tego przyczyną.

Po śmierci trojga dzieci pozostawiono handlarza ziołami w spokoju. Bano się go. Przypuszczano, że tajemnicza choroba była jego dziełem.

Tytus rzadko zresztą otwierał sklep w ciągu dnia, w nocy za to niejedyn sąsiad słyszał pukanie do jego okna. Handlarz wyglądał przez okienko w drzwiach i wpuszczał tajemniczego gościa. Widocznie wizyty tych nocnych klientów były korzystne, zapewniano bowiem, że sklepikarz ulokował już duże sumy u różnych bankierów.

Tytus był niskiego wzrostu. Jego wieku nie dało się określić. Chudy, z czarnymi gładko zaczesanymi włosami, błąd na

twarży, z oczami biegającymi niespokojnie, nosem ostrym, chudymi rękami, lekko utykający Tytus Neapolitańczyk byłby śmieszny, gdyby nie budził lęku.

— Czy nie przeszkadzam panu prefektowi? — zapytał.

— Nigdy, Tytusie, przecież zawsze przynosisz mi jakąś wiadomość. — Tytus wsparł się obu rękami o poręcz fotela i rzucił spojrzenie na pana domu.

— Dzisiejsza wiadomość jest bardzo ważna.

Mówił powoli, cedząc słowa.

— A więc słucham.

— Miałem tej nocy dziwną wizytę.

— Ktoś ze dworu?

— Ktoś z najmożliwszych, z najbardziej wpływowych, jeśli nie dziś to w przeszłości.

Pan de Monclar nie zadawał nowego pytania. Myślał.

— W przeszłości... A więc kobieta?

— Kobieta.

— Księżna d'Etampes.

— Przenikliwość pana prefekta jest zdumiewająca! — zawołał Włoch głosem pełnym podziwu.

— Czego chciała księżna?

— Pan wie, że pani de Saint-Albans jest w więzieniu już od trzech dni, od chwili tajemniczego zniknięcia... Ale mówmy dalej. Otóż księżna d'Etampes chciała posłać pani de Saint-Albans trochę owoców, aby osłodzić jej uwięzienie...

Pan de Monclar podskoczył.

Nie zaskoczyła go chęć posłania czegoś uwięzionej, dużo bowiem było na dworze nienawiści, ubierającej się w szaty przyjaźni... Zdziwiło go tylko to, że księżna d'Etampes chciała

się pozbyć pani de Saint-Albans. Dlaczego?

— Księżna nic więcej nie powiedziała?

— Nic, prócz tego, że owoce powinny być jej przesłane dziś jeszcze, bezwzględnie dziś.

— Obiecałeś?

— Obiecałem.

— No i?

— Teraz, panie prefekcie, chcę pana prosić o radę.

Pan de Monclar uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie ważysz się na nic beze mnie?

— Na nic, od chwili, kiedy mnie pan przyjął do siebie na służbę.

Prefekt spojrział uważnie na mówiącego. Zrozumiał jego grę, zrozumiał, że chce przygotować dla siebie alibi.

— Tytusie — rzekł poważnie — nie mogę sprzeciwić się rozkazom księżnej d'Etampes... Poślij te owoce!

— Poczcwiwa pani de Saint-Albans! — szepnął Włoch.

Była to krótka mowa pogrzebowa.

De Monclar patrzył na Tytusa, który jeszcze nie miał zamiaru odchodzić.

— Czy masz również inne nowiny? — zapytał posepnie.

— Zgadł pan — rzekł Włoch chytrze. — Ta druga jest jeszcze ważniejsza: znalazłem pana de Sansac.

— Ach!

— Ranny i z pokierszowaną twarzą kryje się w małym domku w Vincennes.

— Ukrywa się? — zapytał de Monclar zdziwiony.

— Pan de Sansac pysznił się trochę swą urodą. A teraz ostrze

sztyletu przeorało mu buzię od czoła aż do podbródka. Wygląda okropnie.

— Król będzie zły — rzekł spokojnym tonem de Monclar. — Pojedynek?

— Bójka... a właściwie zasadzka.

— Na pana de Sansaca?

— Na pana de Sansaca.

— Tłumacz jaśniej!

— Pan de Sansac wraz z dziesięcioma zbirami chciał zabić pewnego młodzika, którego pan Sansac nie znosi. Napadnięty bronił się.

— Znasz jego imię?

— Pan prefekt zna je również i będzie bardzo niezadowolony, gdy się dowie, że włóczęga ten wyszedł z bójki zdrów i cały.

— Jego imię! Prędko!

— Manfred, o ile to nie był Lanthenay!

Pan de Monclar wydał głuchy okrzyk podobny do ryku zwierzęcia:

— Lanthenay!!

Przelotny rumieniec zabarwił jego policzki.

— Za często znajduję go na mej drodze — rzekł gniewnie. — Nie, nie żałuję, że wyszedł z bójki zdrów i cały. Każę go ująć i łamać kołem.

— To niebezpieczne — rzekł Tytus, udając, że zabiera się do wyjścia.

— Niebezpieczne... dlaczego?

— Wszyscy żebracy kochają tę parę, a żebracy mają broń.

— Pamiętaj o tym — rzekł prefekt, żegnając odchodzącego -

— że przeciw broni żebraków mam swoją. Gdybym musiał wystąpić na czele całego wojska królewskiego, w ich podłej dzielnicy nie zostanie kamień na kamieniu. Manfred i Lanthenay będą łamani kołem na placu Grève!

Z tymi słowami przypasał szpadę i udał się do Luwru.

Miał wolny dostęp do komnat królewskich o każdej porze.

Posępne oblicze Franciszka I rozjaśniło się na jego widok.

— Drogi prefekcie — rzekł król uprzejmie — oczekiwałem cię z niecierpliwością. Jak odnajdziemy księżnę de Fontainebleau?

— Bywa i tak, że nigdy nie odnajduje się osób zaginionych.

— Nie chcesz chyba przez to powiedzieć...

Prefekt przerwał królowi zimnym tonem:

— Sire, jeżeli żebrak trzyma Waszą Królewską Mość w szachu i morduje twych przyjaciół, dlaczego nie mógłby trzymać cię w szachu również spisek dworski?

Czoło królewskie zachmurzyło się.

— Mówisz dziwne rzeczy: kto trzyma mnie w szachu? O jakim przyjacielu mówisz?

— O panu de Sansac, rannym, z oszpeconą przez włóczęgę na całe życie twarzą, który rzucił tobie, Sire, wyzwanie tu w Luwrze.

— Manfred!

— Tak, on! A także ktoś inny, kto rozzuchwalił się jeszcze bardziej — Lanthenay!

W oczach króla zapłonął gniew.



— Panie de Monclar — rzekł wyniośle — prawdą jest, że zostałem znieważony przez tych włóczęgów, i przypuszczam, że obowiązkiem prefekta było przeszkodzić temu!

— Trudno, Sire, nie dałeś mi po temu środków.

— A czegoż ci wreszcie potrzeba?

— Całego pułku wojska i rozkazu zrównania z ziemią Dzielnicy Cudów.

— Rozkaz ten...

Franciszek zawahał się przez chwilę. Nie czuł się tak pewny swego tronu, aby być przekonany, że bunt ludu nie może go pozbawić władzy.

— Sire, jeśli nie jesteś zdecydowany na wszystko i jeśli lęk przejmuje zwycięzcę spod Marignan, nie dawaj rozkazu.

— Dosyć, mój panie, już go masz. Dostaniesz również wojska tyle, ile tylko zechcesz.

## ROZDZIAŁ V

### W DOMU STEFANA DOLETA

Stefan Dolet pochylił się nad greckim rękopisem.

Przy nim, z głową pochyloną nad robotą, siedziała Avetka. Ani ojciec, ani córka, pogrążeni w swej pracy, nie zwracali najmniejszej uwagi na to, co się dzieje na ulicy. Jak zwykle pracowali blisko siebie, w samotności cichego pokoju.

— Nie męcz się zbytnio, córeczko — mówił co chwilę Dolet do haftującej dziewczyny.

Lecz Avetka podnosiła się z miejsca, stawała cichutko przy ojcu i kładła chłodną rękę na jego rozpalonym czole.

— Dostyc już się napracowałeś dzisiaj, ojcze. Proszę — zamknij już te książki.

Jednak wielki myśliciel i erudyta nie słuchał próśb córki. Bardzo łagodnie, z uśmiechem odsuwał ją od siebie odpowiadając:

— Siejba moja jeszcze nieskończona.

Wzdychała więc tylko i zabierała się do porzuconej robótki.

Tego wieczoru Stefan Dolet przerwał swoją pracę w chwili, gdy Avetka przyniosła lampę.

Wybiła czwarta. Dzień był ciemny i chłodny.

— Dziwi mnie córeczko, że nie widzieliśmy dziś Lanthenaya. Obiecał mi, że przyjdzie.

— Jeśli obiecał, to przyjdzie — rzekła z prostotą dziewczyna.

W tym krótkim zdaniu zawierała się cała miłość i wiara w ukochanego człowieka.

— Pewnie. Jeżeli nic mu nie przeszkodzi.

— A cóż mogłoby mu przeszkodzić? — zapytała Avetka z odcieniem niepokoju w głosie.

— Czy ja wiem? Jakiś drobiazg.

Potrząsnęła głową z uśmiechem:

— Nie, ojcze, nic nie powstrzyma Lanthenaya. Przyjdzie do nas.

Teraz Dolet uśmiechnął się z kolei:

— Przypuszczasz więc, że czar, który go tu przyciąga, jest aż tak potężny?

— Jestem tego pewna — odparła.

— O, dumna istoto! — zażartował.

Stojąca przed nim córka położyła mu rękę na ramieniu:

— Nie, ojcze, nie jestem wcale dumna. Jestem pewna, że gdyby Lanthenay słyszał mnie, nie zaprzeczyłby moim słowom.

— Ale może chciałby zaprzeczyć w duchu?

Potrząsnęła głową z powagą.

— Na pewno nie. Przyznałby mi rację, że wierzę w niego, że ufam mu i że oddaję mu sprawiedliwość, która mu się słusznie należy. Gdyby nie był równie godny szacunku jak miłości, nie kochałabym go mniej, a i ty także mój ojcze. Zresztą, dlaczego się ze mną przekomarzasz?

Jesteś o nim równie dobrego, jak ja, zdania.

— To najuczciwszy chłopak w świecie — rzekł poważnym tonem Dolet — i gdybym zmuszony był cię opuścić, bez najmniejszych zastrzeżeń powierzyłbym mu twój los, pewien, że uczyni cię szczęśliwą.

Zaległo milczenie. Avetka wzruszona spojrzała na ojca. Dolet, zapatrzony przed siebie, zdawał się widzieć jakiś smutny obraz przyszłości.

— Dlaczegoś to powiedział, ojcze? — szepnęła wreszcie.

— Dlatego, że jakkolwiek jeszcze dzieckiem z wieku, jesteś już kobietą z serca i rozumu, moje drogie dziecko.

— Tylko dlatego?

— Nie mam innych powodów. Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

— Czy mogę otworzyć? — zapytała Avetka.

— Otwórz! — rzekł Dolet.

Po chwili w drzwiach pokoju ukazali się Lanthenay i Manfred.

— Już się niepokojono o ciebie, mój synu! — rzekł Dolet z dobrotliwym uśmiechem. — Siadaj, Manfredzie.

Lanthenay uścisnął Avetkę, potem usiadł i rzucił porozumiewawcze spojrzenie na Doleta.

— Moje dziecko — rzekł Dolet do Avetki — pójdź do matki, pomóż jej przy gospodarstwie. Będziemy dziś mieli na kolacji obu naszych przyjaciół.

Avetka odeszła, rzucając narzeczonemu od ust pocałunek. Zamyślony Lanthenay nawet go nie zauważył.

— Masz mi coś ważnego do powiedzenia? — rzekł Dolet, gdy zostali sami.

— Tak, ojcze. Niech Manfred wszystko opowie.

Dolet spojrział na Manfreda pytająco.

— Przyjeżdżam z Meudon.,

— Mistrz Rabelais nie był już u mnie od dwóch tygodni, to źle... jak mu się powodzi?

— Mistrzu — rzekł Manfred — jadłem u niego obiad z dwoma niebezpiecznymi ludźmi.

— Oho! — Muszą być naprawdę niebezpieczni, jeśli zdołali cię zaniepokoić.

— Osądź sam: jeden z nich to Kalwin, a drugi — Ignacy de Loyola!

— Ignacy de Loyola!

— Tak, sam dźwięk jego imienia poruszył cię... to naprawdę jedyny człowiek, którego należy się w tej chwili bać.

Manfred zbliżył się do Doleta.

— Mistrzu — rzekł szeptem — musisz uciekać.

— Uciekać? ja?

— Tak. Wiem, co mi odpowiesz... znam twe usposobienie, lecz wiem również, jakimi krętymi drogami chadza Loyola. I... boję się... słyszałem, co mówił ten człowiek. Patrzyłem na niego... przyjrzałem się jego czarnym oczom, w których zapalają się błyski mieczów katowskich, krwawe ognie stosów. Przyjrzałem się jego ustom, wyrażającym niezłomną wolę... jego czołu, pod którym tłoczą się posępne myśli i, powiadam ci, mistrzu, człowiek ten obudził we mnie lęk. Stał przede mną, tuż-tuż. Sam nie wiem, co powstrzymało mnie od wyzwania go, od zmuszenia do przyjęcia walki. Należy uwolnić ludzkość od tego groźnego człowieka. Obawiam się o Rabelais'go. Posłuchaj mistrzu. Człowiek ten przechwala się, że ma posłuch u króla.

Pewnie mówi prawdę — dodał z akcentem nienawiści - król bowiem wierzy jedynie nikczemnikom i ludziom okrutnym. Loyola pragnie twej śmierci. Dolet powstał z miejsca.,

— Wiedziałem o tym — rzekł z prostotą — Loyola to wielki umysł. Znam go i jestem dumny, że moja osoba budzi w nim niepokój! Pragnie mej śmierci albo raczej pragnie zniszczenia drukarni! W mojej osobie chce zabić naukę i książkę...

— Ojczy, trzeba uciekać!

— Nie! — odparł Dolet z łagodną stanowczością. — Religia despotów miała swych męczenników. Nauka musi mieć również swoich.

Lanthenay wskazał na drzwi, za którymi znikła Avetka. Stefan Dolet zbladł.

— Moja żona! — szepnął. — Moje dziecko! Całe szczęście mojego życia...

— Ojczy — rzekł Lanthenay — czy sądzisz, że masz prawo poświęcać te dwie istoty? Czy sądzisz, że możesz bez wyrzutów sumienia zadać im taki cios?

Dolet zaczął nerwowo chodzić po pokoju z głową spuszczoną na piersi. Powoli uspokajał się.

— Loyola — rzekł — jest jednym z tych biczów Bożych, które pozostawiają w historii ludzkości niezatarty ślad swego istnienia. Jednakże to, czego oni chcą, jest dążeniem do własnej sławy, a nie do szczęścia powszechnego. Ludzie ci przez szereg wieków powstrzymują postęp i niszczą prawdę. Ludzkość tęskni do ideału tak dalekiego, tak wielkiego, że wielkości tej nie

może nawet całkowicie ogarnąć. Chwilami napotyka przeszkodę, zbacza z drogi, lecz idzie dalej myśląc, że ciągle kroczy prostym traktem, gdy tymczasem błądzi po rozdrożach. Wtedy musi nastąpić przewrót tak w umysłach, jak w obyczajach, aby ludzkość mogła znowu iść prostą drogą. Taką przeszkodą byli: Aleksander Wielki, Cezar, Czingiz-han a teraz Loyola. Tak, Loyola to prawdziwy bicz Boży, jeden z wielkich morderców. Jego zbrodnie mają specjalny charakter. Najstraszniejsze jest to, że zabija nie tylko ciało, lecz chce również osiągnąć duszy. Biada ludzkości, jeśli Loyola zatriumfuje!

Twarz Doleta nabrała uroczystego wyrazu. Zapomniał, zdawało się, o niebezpieczeństwie, jakie mu groziło.

Manfred i Lanthenay patrzyli na niego z zachwytem.

Dolet mówił dalej:

— Dziękuję ci, mój synu, za to, żeś mi przypomniał o moich obowiązkach. Masz słuszność, nie mogę poświęcać żony i córki... ucieknę...

— Kiedy? — zapytał ożywiony Lanthenay.

— Już jutro.

— Należy uciekać jeszcze dzisiaj, natychmiast! — rzekł Manfred.

— Nie ma gwałtu... drogi Loyoli są powolne... jutro będzie czas...

Obrzucił swój gabinet spojrzeniem.

— Dziś wieczorem chcę być z wami. Pragnę spędzić w waszym gronie ostatni dzień spokojnego życia, w otoczeniu, do którego się tak przywiązałem... ta szafa, te rzeźby, te schody, ten stary fotel, ten stół zavalony moimi ulubionymi książkami,

te makaty... to wszystko muszę pożegnać... brakuje tylko mistrza Rabelais'go.

W tej chwili zapukano gwałtownie do drzwi wejściowych. Manfred otworzył, trzymając sztylet w pogotowiu.

— Zdawało mi się, że droga będzie trwała wiecznie — rozległ się wesoły głos. — Mój muł jest taki uparty, jak imć pan Kalwin, a tak przewrotny, jak nasz wielki Loyola...

— Mistrz Rabelais! — zawołał Dolet z rozjaśnioną twarzą.

— We własnej osobie! Chyba żeby to był sam szatan! Bo trzeba chyba być szatanem, aby się zdecydować na taką podróż w nocy!

— Powody musiały być bardzo poważne...

— Widzę z waszych twarzy — rzekł Rabelais — że sprawa, która mnie tu sprowadza, była już poruszana.

— Tak — rzekł Dolet — jestem zdecydowany na ucieczkę...

— Dobrze! Oddycham... a oddycham tym milej, że wciągam jednocześnie godny królewskiego nosa zapach smakołyków, płynący z twej kuchni. Co u diabła smaży tam czcigodna pani Julia?

— Są to skowronki w słoninie, duszone na wolnym ogniu we własnym sosie — rzekł Stefan Dolet z uśmiechem. — To specjalność mojej żony...

— Zaczyna kobieta! Wiesz pan, że stawiam skowronka wyżej nawet niż bekasa. Obłożony słoninką musi udusić się we własnym sosie. Zbrodnią byłoby dolewać jakichkolwiek barbarzyńskich soków.

— Mistrzu Rabelais, nowina, którą mi przynosisz, musi być



bardzo poważna i bardzo groźna dla mnie...

— Ano, ni mniej, ni więcej, tylko dwudziestu zbrojnych wdarło się przed godziną do mego domu, aby aresztować imé pana Kalwina, który już od trzech godzin był w drodze do Genewy. Pośpiech jednak z jakim zabrano się do pościgu, wzburzył we mnie obawę, by nie uczyniono tego samego i z tobą, mój przyjacielu. Uciekaj, póki czas...

— Jutro! — rzekł Dolet.

Rabelais spowaźniał.

— Do jutra daleko! — zauważył.

— Postanowiłem wyjechać jutro — rzekł Dolet stanowczym tonem — i wyjadę jutro. Ani słowa przed kobietami. Moi chłopcy, bądźcie tu jutro o dziesiątej. Powierzę waszej opiece wszystko, co mi na świecie najdroższe. Odjadę o świcie.

— Przyjedziemy, aby cię pożegnać, ojczy — rzekł Lanthenay z głębokim wzruszeniem.

— Nie, mój drogi... zastosujcie się do mojej woli.

— Słuchamy.

— Odjadę o świcie i postaram się dotrzeć do Szwajcarii, stamtąd skieruję się do Włoch i zatrzymam się we Florencji. Po tygodniu, mój Lanthenayu, zabierzesz obie kobiety, które ci powierzam, i udasz się również w podróż. A teraz, pożegnajmy się i ani słowa o tym wszystkim...

Po kwadransie wszyscy siedzieli dokoła stołu przy świetle lampy. Nikt; kto by słyszał- ich wesole żarty i dowcipy Rabelais'go albo widział promienny uśmiech Avetki i Julii, nie domyśliłby się dramatu, jaki zawisł nad głowami zgromadzonych.

## ROZDZIAŁ VI

### NAZAJUTRZ

Okolo północy Manfred i Lanthenay pożegnali gospodarza. Ani Julia, ani Avetka nie zauważyły nic podejrzanego.

Rabelais, któremu przygotowano łóżko w gabinecie Doleta, zaczął z nim jeszcze toczyć dyskusję filozoficzną. Kobiety poszły spać.

O świcie Dolet wstał, ubrał się i rzekł do żony:

— Idę na Uniwersytet robić korektę.

Uściskał dłoń Rabelais'go i wyszedł. Julia pożegnała się z nim bez cienia niepokoju. Dolet często wychodził o świcie do swej drukarni, która mieściła się przy Uniwersytecie. Avetka spała.

Stefan Dolet w nocy obmyślił swą ucieczkę.

Zamierzał wyjść z Paryża pieszo, w pierwszej wsi kupić konia i ruszyć w stronę granicy szwajcarskiej.

Jeszcze było ciemno, gdy znalazł się na ulicy. Otulony w płaszcz szedł spokojnym krokiem.

O jakieś sto kroków od jego domu przyłączyli się do niego Manfred i Lanthenay.

— Byłem niespokojny — rzekł Lanthenay — przez całą noc staliśmy na straży przed domem.

- Kochani chłopcy!
- Najwyższa pora! Uciekaj, mistrzu! — rzekł Manfred.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Jacyś podejrzani ludzie włóczyli się dokoła twego domu, za parę godzin mogłoby już być za późno.
- To prawda — szepnęła Lanthenay. — Nie mam pewności, czy już teraz nie jesteśmy śledzeni...
- Zatrzymali się, oglądając się na wszystkie strony.
- Ulica była spokojna, wszystkie domy zatarasowane, zaledwie w kilku oknach migotały drżące światełka, przyświecające jakimś rannym ptaszkom.
- Musimy się rozstać — rzekł stanowczym głosem Dolet.
- Jestem tego samego zdania — potwierdził Manfred. — Łatwiej jest zauważyć trzech ludzi niż jednego.
- Ojczce — odezwał się Lanthenay — zostawiasz pod moją opieką panią Julię i Avetkę. Czy nie sądzisz, że przezorniej byłoby umieścić je gdzie indziej niż w domu do którego już może w tej chwili zmierzają słudzy królewscy?
- Myślisz więc, że mogą się posunąć nawet do dręczenia kobiet! — zawołał Dolet zatrzymując się w miejscu. — Jeśli tak...
- Nie sądzę — rzekł żywo Lanthenay. — Mają pretensję tylko do ciebie, lecz lepiej może uchronić je przed niepotrzebnym wzruszeniem.
- Masz rację, mój synu.
- W takim razie już za godzinę będą w bezpiecznym miejscu.

— Rozstańmy się więc. Synu, tobie powierzam mój skarb.  
Zbyt wzruszony, aby mówić, Lanthenay rzucił się w objęcia Doleta. Drukarz uściśnął dłoń Manfreda i oddalił się szybkim krokiem.

— Wszystko spokojnie — zauważył Manfred — jestem pełen nadziei.

— Tak, lecz, jak to powiedziałeś przed chwilą, już najwyższy czas! Zabierzemy Avetkę i jej matkę i odprowadzimy je do Dzielnicy Cudów. Tam będą najbardziej bezpieczne do chwili wyjazdu.

— Podzielam twoje zdanie.

W tej chwili na ulicy ukazał się jakiś człowiek.

Szedł w kierunku, w którym udał się Dolet. Idąc chwiał się na nogach i śpiewał jakąś pijacką piosenkę.

— Jak ci się zdaje — rzekł Manfred — czy on jest tak bardzo pijany, czy chce się tylko takim wydawać?

Podszedł do pijaka i położył mu rękę na ramieniu.

— Za wcześnie jeszcze — rzekł — na pijackie piosenki...

— Hola! — zawołał pijak ochrypłym głosem' — czy chcesz mi coś postawić? Eee... co widzę? Pan Manfred!

— Tricot! — zawołał Manfred.

— Król złodziei pozdrawia was — wybełkotał żebrak, wybuchając śmiechem. — Czy chcesz się napić z Jego Królewską Mością?

— Wracaj do domu, prześpij się — rzekł Lanthenay uspokojony — wszystkie szynki jeszcze zamknięte...

— Zamknięte! Kto powiedział, że szynki są zamknięte? Każ je otworzyć!

Manfred i Lanthenay oddalili się, pozostawiając na ulicy pijaka, który ciągle jeszcze przeklinał szynkarzy.

Spotkanie Tricota upewniło ich, że w pobliżu nie ma żadnego ze zbirów Monclara.

Zaledwie jednak znikł i na zakręcie. Tricot wyprostował się i już zupełnie pewnym krokiem pobiegł dalej w stronę, w którą udał się Dolet.

O jakieś dwadzieścia kroków od domu drukarza Manfred i Lanthenay zauważyli włóczęgę. Włóczęga zbliżył się do nich i zawołał płaczącym głosem:

— La carita, signor mio!

— Co tu robisz, nicponiu?

— Non capisco... la carita, la carita, per la Madonna!

— Idź do diabła ze swoją żebranią! — rzekł Manfred groźnym tonem.

Żebrak prawdopodobnie zrozumiał, bo oddalił się jęcząc żałości.

W owej epoce, kiedy żebracy wszystkich narodowości włóczyli się po ulicach tłumnie od rana do wieczora, obecność żebraka — Włocha nie mogła wzbudzić niepokoju w naszych przyjaciółkach. Nie zwracając na niego więcej uwagi, zapukali do drzwi mieszkania Doleta.

Tymczasem żebrak ukryty w jakimś zagłębieniu muru, śledził bacznie Manfreda i Lanthenaya.

Kiedy ujrzał ich wchodzących do domu, ruszył szybko w stronę pałacu prefekta.

Żebrakiem tym był Tytus Neapolitańczyk.

Stefan Dolet udał się spokojnym krokiem w kierunku bramy miejskiej. Postanowił sobie, że stanie przed nią wtedy, gdy

ją zaczął otwierać. A ponieważ było jeszcze wcześnie, nie śpieszył się.

Rozwidniało się. Na ulicach pokazały się kobiety. Zaczęto otwierać sklepy, lecz przechodniów było jeszcze bardzo mało.

Na mieście panował spokój.

Minął mosty i stanął przed Uniwersytetem. Dzielnica ta była jeszcze spokojniejsza i bardziej cicha niż miasto budzące się ze snu.

Studenci, którzy późno szli spać, również późno wstawali.

Dolet przechodził właśnie koło swej drukarni. Serce ścisnęło mu się na myśl o wszystkich niedokończonych pracach.

Do drukarni wiódł wąski korytarz. Dolet zapragnął rzucić na niego ostatnie spojrzenie.

Podchodząc bliżej, zadrżał ze zdumienia i niepokoju. Drzwi w głębi były otwarte. W drukarni tonącej w półmroku, kręciło się dwóch mężczyzn.

Poznał ich.

— Brat Thibaut i brat Lubin — szepnął.

Stefan Dolet był odważny, lubił niebezpieczeństwu spojrzeć w oczy. Wszedł więc po cichu do korytarza, zatrzymał się przy drzwiach. Stwierdził, że dwaj zakonnicy byli sami.

Wykonywali dziwną pracę.

Otworzyli dużą paczkę, która, jak się zdawało, zawierała książki i broszury, wyjmowali z niej książki i układali je porządnie na półkach.

Dolet podszedł do nich.

— Dziękuję wam, moi bracia — rzekł spokojnym głosem. — Właśnie wydałem rozporządzenie, aby dziś rano uporządkowano trochę półki.

Brat Thibaut, trzymający właśnie stos książek, upuścił go zdjęty strachem. Brat Lubin, który ustawiał książki na półce, odwrócił się. Obaj, osłupiali ze zdziwienia, stali nie mogąc wymówić ani słowa, twarze ich pobladły, zaczęli drżeć na całym ciele...

— Powiedzcie mi — mówił dalej Dolet — od kiedy to zakonnicy wyłamują drzwi, aby się dostać do cudzego mieszkania? Jak tu weszliście?

— Łaski, przebaczenia, mistrzu! — jęknął płaczącym głosem brat Thibaut i padł na kolana.

— Jak tu weszliście? — zapytał twardo Dolet. — Odpowiedzcie albo potraktuję was jak nocnych złodziejasków i nie wyjdziecie stąd cało!

Ostrze sztyletu, które błysnęło w ręku Doleta, upewniło czcigodnych nicponi, że nie myślał żartować.

— Otworzono nam! — rzekł żałośliwie brat Thibaut.

— A co tu robicie? Kto wam otworzył? — To mówiąc Dolet pochylił się nad książkami. Wziął jedną z nich i zbladł.

— Och! Nędznicy! — szepnął.

Wszystkie książki traktowały o kalwinizmie. Za posiadanie takich wydawnictw skazywano na dożywotnie więzienie, a jeśli posiadacz ich był drukarzem, na karę śmierci.

Dolet zrozumiał.

Zatrzymał na zakonnikach długie spojrzenie, w którym nie

było już nienawiści, lecz bolesne zdziwienie, jakie ogarnia człowieka na widok niegodziwości.

— I ja was przyjmowałem w moim domu! Przyjmowałem jak przyjaciół i wy podawaliście mi rękę z uśmiechem.

Zakonnicy spojrzeli po sobie zmieszani.

— Mistrzu — wybełkotał Thibaut — zmuszono nas...

— Zmuszono?! Kto mógł was zmusić do nikczemności, mówcie nędznicy!

Ręka Doleta spadła na ramię jednego z mnichów.

— Czcigodny Ignacy de Loyola! — zawołał brat Thibaut.

Dolet odepchnął gwałtownie mnicha, który padł na ziemię z jękiem. Brat Lubin zaszył się w ciemny kąt.

Dolet skrzyżował ręce na piersiach, głowa opadła nisko na piersi. Nie czuł już gniewu do tych dwóch nędzników, jedynie pogardę. Gniew jego kierował się wyżej... Ku zawziętemu na niego Loyoli. Ku królowi Franciszkowi, który po zaprzysiężeniu mu przyjaźni, po nadaniu mu przywileju drukarza królewskiego, zdjęty lękiem, jak tchórz pozwolił działać sługom ciemności! W sercu Doleta zbudziła się chęć walki.

Czuł się na siłach przeciwstawić samemu Loyoli. Nie będzie już uciekać.

Wyjął z paczki trzy książeczki i ukrył je pod płaszczem. Pójdzie do Luwru. Stanie przed królem — bodaj siłą, oskarży spisowców, rzuci do stóp królewskich te książki i oświadczy:

— Sire, czy jesteśmy teraz oddani na łaskę i niełaskę fanatycznego Hiszpana? Czy podobna nikczemność może dziać się



zupełnie bezkarnie tuż pod tym pałacem? Czy może rządzić się we Francji, jak we własnym domu, ten cudzoziemiec marzący o skazaniu na stos „połowy jej mieszkańców”?

Nie zwracając już uwagi na przerażonych mnichów, skierował się ku drzwiom prowadzącym na ulicę. Przed gmachem dostrzegł kilkunastu strażników, którzy stali wsparci na halabardach.

Nieco dalej zgromadziła się kupka przechodniów.

— Za późno! — szepnął Dolet.

Chciał zatrzaskać drzwi i wtedy zauważył mężczyznę wyglądającego na żebraka, któremu nieraz dawał jałmużnę. Żebrak przytrzymał drzwi, opierając się o nie.

To był Tricot — król złodziei.

W tej samej chwili strażnicy wdarli się tłumnie do korytarza, a stamtąd do sali. W chwilę potem Dolet miał już ręce zakute w łańcuchy. Oficer podał mu papier z ukłonem.

— Pan wybacz, aresztowałem pana z rozkazu królewskiego.

— To dobrze! — rozległ się surowy głos. — Przeszukać drukarnię! — Dolet odwrócił głowę i zobaczył prefekta.

Wzruszył ramionami.

Obok Monclara stał mężczyzna owinięty w szeroki płaszcz. Jego twarz ukrywała maska.

— Proszę przejrzeć również kieszenie pana Doleta! — rzekł zamaskowany mężczyzna.

— Gdyby chciano poszperać w twoim sumieniu — rzekł Dolet bardzo spokojnym głosem — znaleziono by tam stokroć więcej zbrodniczych myśli, niż się ich kryje w zakazanych

książkach przyniesionych tu z twego rozkazu, mości de Loyola!  
Człowiek w masce zadrzał.

Monclar zwrócił się do pisarza uzbrojonego w pióro i inkaust, przygotowującego się do spisania protokołu.

— Pisz, zapisz, że przeklęta nauka, dzieło szatana, pozwoliła oskarżonemu rozpoznać nawet pod maską czcigodnego Ignacego de Loyolę. Zapisz również, że oskarżony obraził czcigodnego ojca...

— Zapisz i to — rzekł Dolet — że prefekt miasta Paryża, przedstawiciel króla Francji, jest współnikiem nikczemników.

Tymczasem oficer uchylił brzeg płaszcza Doleta i wyjął trzy książki, które nieszczęsny drukarz ukrył tam przed chwilą, chcąc udać się z nimi do króla.

Loyola porwał je chciwie i wydał okrzyk triumfu.

— Widzisz pan! — rzekł do Monclara. — Oskarżony nie może zaprzeczyć, ma przy sobie przeklęte księgi, które na pewno niósł jakiejś biednej zbłąkanej duszy... — szczęśliwie ocaliliśmy ją przed upadkiem!

— Pisz! — rzekł Monclar do skryby.

Dolet zamknął oczy, aby nie okazać wzruszenia, jakie go ogarnęło.

Przeszukiwanie drukarni zakończono szybko. Paczka przyniesiona przez zakonników, była dowodem namacalnym. Książki zgromadzono, zapakowano i opatrzone pieczęcią królewską.

— Ojciec oficjał, inkwizytor kościelny, osądzi sprawę — oświadczył poważnym głosem de Loyola.

— A wy? — odparował Dolet. — Kto was będzie sądzić?  
— Chodźmy już, panie — rzekł łagodnie oficer, biorąc za rękę Stefana Doleta.

— Dokąd mnie prowadzicie? — zapytał drukarz spokojnie.

— Do Conciergerie — odparł Loyola.

Dolet zwrócił się do niego.

— Triumfujesz pan — rzekł wolno. — Albo właśnie triumfuje nikczemność. Popelniecie dziś jeszcze jedną zbrodnię. Chcecie zabić naukę, lecz to, co chcecie zabić, jest wieczną i niezłomną prawdą. Zbrodnia wasza jest daremna, nikczemność wasza jest zbędna. Wiecie o tym równie dobrze jak i ja... najwyższej prawdy nie zgasicie... przyjdzie czas, gdy zatriumfuje. Zamordujecie mnie, lecz wy również staniecie się łupem śmierci. Przyjdzie dzień, w którym imię wasze będzie synonimem hańby, a ludzie wspomną rozczuleniem imię Doleta! Pomyślcie o tym. A teraz prowadź mnie pan do więzienia...

Zniknął za drzwiami.

Ignacy de Loyola porwał za rękę Monclara.

— Panie — rzekł gwałtownie — jeśli ten człowiek ujdzie śmierci, pan zginiesz na stosie zamiast niego!

Po upływie pół godziny wtrącono Doleta do lochu i przyku-  
to go do muru.

— O, prawdo — szepnął — jak daleko jeszcze jesteś!

Przed oczami więźnia stanął obraz żony i córki.

Jego żelazna wola załamała się, oczy przysłoniła mgła łez.  
Szepnął:

— Żono! Córko!

## ROZDZIAŁ VII

### OJCIEC

Triboulet kończył ubieranie się.

Franciszek I zdecydował się na zaszczytowanie swą obecnością zabawy dworskiej, zaplanowanej na wieczór.

Już od trzech dni, to jest od chwili zniknięcia Hiletki, wszystkich niepokoił posępny wygląd i smutek króla. Tymczasem dziś Franciszek I, mistrz w sztuce pozorów, chciał pokazać wszystkim wesołe oblicze.

Triboulet, który błądził dokoła pałacu, nad słuchując i podglądając, dowiedział się od Bassignaca, że Jego Królewska Mość raczy ukazać się na zabawie.

Przywdział strój błazeński z barwami króla Francji, u pasa zawiesił pęcherz, na głowę wdział kaptur z długimi uszami i grzebieniem z czerwonego sukna, godło mistrza błazeństwa. W rękę trzymał kaduceusz.

Pobrzękując dzwonkami, z upacykowaną twarzą, z garbem dla facecji jeszcze wypuklejszym niż w rzeczywistości, udał się na królewskie pokoje.

Posępne zuchwalstwo i rozpacz nadawały jego twarzy jakiś szczególny wyraz.

Triboulet chciał się dowiedzieć, co król uczynił z Hiletką.

Był bowiem przekonany, że to Franciszek I kazał uprowadzić dziewczynę z Luwru.

Król musi powiedzieć prawdę. W przeciwnym razie zamorduje go, czyniąc ze swego życia ofiarę.

Postanowienie to dodało mu sił.

Gdy wszedł do komnat królewskich, serce nie uderzyło mu w piersi szybszym tętnem. Mógł tam wchodzić niewzywany, miał nawet prawo mówić w obecności króla, nie czekając na zadanie mu pytania. Było to przywilejem błazna.

Ogarnęło go teraz jedno wielkie, niezłomne postanowienie. Wszystkie inne uczucia zamarły.

W korytarzach spotkał moc dworzan winszujących mu tego, że wrócił do łask królewskich. Bali się znowu jego złośliwości. Nikt nie pomyślał bowiem, że mógłby stanąć przed obliczem królewskim w swym błazeńskim stroju, gdyby między nim a królem nie nastąpiła zgoda.

Triboulet odpowiadał monosylabami.

Za chwilę wszedł na salę, w której tego dnia zgromadził się cały dwór królewski.

Podniósł się gwar:

— Triboulet! Triboulet powrócił!

— Triboulecie, a więc twój kaduceusz znudził się w samotności? Co? — zagadnął go d'Essé.

— O, tak! — nudził się, bo nie mógł oglądać waćpana!

— Triboulecie? Czy dobrze nadmuchałeś twój pęcherz? — zadrwił stary margrabia d' Annezay.

— Oo... dobrze! wydmuchałem pustkę... jest on teraz jak twoja głowa, margrabio! — odgryzł się Triboulet.

Pogłaskał ręką pęcherz przywiązany do pasa. Ręka jednak,

ledwie dotykając pęcherza, namacała rękojeść krótkiego sztyletu.

Skacząc, pelzając, potrząsając swym kaduceuszem, roztrącając jednych, przepychając się między innymi, Triboulet posuwał się od jednej grupki zgromadzonych do drugiej i w końcu stanął, śmiejąc się szyderczo, przed Franciszkiem I.

Król uśmiechnął się, rozmawiając właśnie półgłosem z księżną d'Etampes.

— O czym oni mówią? — pomyślał błazen. — Może o niej! Jaki on jest szczęśliwy!

Twarz Tribouleta wykrzywiła się.

Król zauważył go w tej chwili. W oczach jego błysnął gniew.

Nakazał sobie jednak łagodność i wesołość. Obecność błazna mogła tylko utwierdzić dworzan w mniemaniu, że król promienieje radością i że już nie myśli wcale o księżnej de Fontainebleau.

W rzeczywistości zaś Franciszek I układał w myślach plan zemsty. Przypuszczał, że to Triboulet uprowadził Hiletkę z Luwru. Nie kazał jeszcze aresztować błazna i wrzucić go do jednego z podziemi, aby tam zginął z głodu i pragnienia, jedynie dlatego, że chciał najpierw wydrzeć mu jego tajemnicę.

Przybrał więc najweselszą ze swych min i zawołał:

— Jesteś więc, mości błaznie! Skończyłeś już z dąsami? Niech będzie błogosławiony twój powrót... bo, na Boga! dwór francuski od kilku dni jest zbyt posepny!

— Sire, nie z mojej przyczyny nie śmieją się już więcej w Luwrze! A przecież tematów do śmiechu taka obfitość! Śmiejcie

się, waszmościowie! śmieJCie się! Król chce, żeby się śmiano, ja pierwszy jestem posłuszny i śmieję się!

Wybuchnął śmiechem

Szczęściem śmiech ten utonął w gwarze braw i oklasków, był bowiem tak żalobny i złowieszczy, że zmroziłby zgrozą wszystkich zebranych.

Jedynie księżna d'Etampes przeczuła prawdę. Podczas gdy dworzanie rozmawiali gwarnie, pochyliła się w stronę króla i pod wpływem szalonego zuchwalstwa, którego nieraz składała dowody, zapytała dostatecznie głośno, aby być słyszaną przez błazna:

— Sire, czy mamy nareszcie jakieś nowiny o biednej małej księżniczce?

Triboulet wlepił płonący wzrok w króla.

To, co ujrzał, wstrząsnęło nim i napęłniło zdumieniem.

Na pytanie zadane przez księżnę, król nie uśmiechnął się zwycięsko, jak to zwykł czynić w podobnych okolicznościach.

Zbladł tylko...

Wyraz smutku rozlał się po jego twarzy. Oczy zamglily się i łza błysnęła pod powieką!

Piorun z jasnego nieba nie zdziwiłby więcej Tribouleta i nie wstrząsnąłby nim gwałtowniej.

Król odpowiedział głosem posepnym i zdławionym:

— Zapytaj pani mego błazna! On wie chyba o tym coś więcej niż jego król!

Triboulet znał Franciszka I doskonale. Wiedział, jaki z niego komediant, wiedział również, jak lubi miłosne intrygi. Umiał

czytać z czoła królewskiego jego najtajniejsze myśli.

Tym razem był przekonany, że król jest szczerzy.

Zbliżył się do monarchy, nachylił się, jak to czynił zawsze, chcąc rozśmieszyć go jakimś zbyt tłustym żartem:

— Sire — szepnęła, bohaterskim wysiłkiem zmuszając się do uśmiechu — Sire, wyrwij mi z piersi serce, aby wyczytać z niego całą prawdę... Przysięgam na życie moje i mojej córki, że nie wiem, gdzie się ona znajduje!

Król uśmiechnął się dla zachowania pozorów, jak gdyby usłyszał coś bardzo zabawnego i również cicho odpowiedział:

— A ja daję ci parol królewski, że nie wiem, co się z nią stało!

W innym czasie i o innej porze Triboulet, błazen, uczulby szalony przyплыw dumy:

Król rozmawiał z nim, jak z równym sobie!

Król odkrył przed nim swe serce!

Król zstąpił ze swego tronu albo raczej wywyższył swego błazna!

Lecz Franciszek I szybko się opamiętał... Triboulet, nie zwlekając ani chwili, rzucił się przed siebie i zaczął przepychać się przez tłum dworzan, którzy widząc, że wrócił do łask królewskich, rozstępowali się przed nim z widocznym szacunkiem.

— Mości Triboulet — rzekł do niego Montgomery, zatrzymując go w przejściu — przypomnij pan sobie, że to ja zwlekalem z odprowadzeniem cię do Bastylii, aby król miał czas ochłonąć z pierwszego gniewu.

Triboulet, który wiedział doskonale, co ma sędzić o życzliwości



kapitana, już chciał odpowiedzieć na jego słowa jakąś dotkliwą drwiną, gdy nagle powściągnął się i odparł:

— Panie de Montgomery, wyświadczyłeś mi pan przysługę, której nie zapomnę panu do końca życia... Pójdź pan do kordegardy, spotkamy się tam i porozmawiamy o tym, jak mógłbym przemówić za panem do króla, aby zjednać dla ciebie jego względy.

Odwrócił się do niego plecami, a rozpromieniony Montgomery zaczął myśleć nad tym, o co ma poprosić Tribouleta.

Tymczasem błazen szybko przesuwiał się między szeregami zgromadzonych w sali dworaków. Szukał kogoś.

Gdy mijał Dianę de Poitiers, rzekła do otaczających ją pań:

— Oto Triboulet goniący za małą księżniczką, której na imię Panna Cnota...

— Mam poważną obawę, że jej nie znajdę — rzekł Triboulet z gorzkim uśmiechem.

— Dlaczego, błaznie?

— Dlatego, że ty pani tu jesteś, a przecież niepodobieństwem jest w pani obecności znaleźć tę, którą pani ochrzciła mianem Panny Cnoty.

— Jeszcze bardziej bezczelny niż kiedyś — warknął jeden z dworzan.

— Zostaw go pan w spokoju! — rzekła Diana de Poitiers wzgardliwym tonem, kryjąc pod płaszczykiem uśmiechu wściekłość.

Błazen już był daleko. Przysłuchiwał się rozmowom, obrażał sobie bowiem, że wszyscy muszą mówić tylko o Hiletce.

Podchodził do różnych osób, nieraz ostro atakowany, odpowiadał jeszcze zjadliwszym słowem.

Nagle ujrzał w jednej z nisz Monclara, który stał błądy i samotny z założonymi na piersiach rękami. Triboulet zbliżył się do niego z ukłonem:

— Sługa pokorny wielmożnego pana prefekta dobrodzieja!

Monclar obrzucił go posępnym spojrzeniem i pogrążył się znowu w zadumie, nie racząc nawet odpowiedzieć na jego pozdrowienie.

Triboulet stanął tuż przy nim, skrzyżował ręce jak on i przybrał tak melancholijny wyraz twarzy, że kilku panów widząc to, wybuchnęło śmiechem.

— Macie! — rzekł Triboulet — byłem pewien, że się tak stanie! Czy nie zauważyłeś pan, mości prefekcie, że boleść ludzka wywołuje zawsze wesołość w szeregach innych ludzi?

— Jak na błązna, wcale dobrze powiedziane — raczył wreszcie otworzyć usta pan prefekt.

— Moje błazeństwo świetnie pasuje do pańskiej mądrości — rzekł Triboulet. — Trzymamy z panem za dwa końce ten łańcuch, który wlecze za sobą cały dwór. Z pierwszym ogniwem połączony jest Triboulet albo raczej jego kaduceusz i głośny śmiech. Ponury to śmiech, bo kryją się pod nim łzy. Ostatnie ogniwo — to Monclar, innymi słowy — szubienica, boleść, która odrzuca maskę śmiechu.

Prefekt spojrział zdumiony na błązna.

— Dlaczego przemawiasz pan tak do mnie? — zagadnął głucho.

— Dlaczego nie mówi pan do mnie po imieniu, jak zwykle? Nie masz odwagi odpowiedzieć na me pytanie, panie prefekcie! A więc! ja odpowiem za pana! Wiesz, że cierpię, wiesz o tym pan, bowiem przed tobą nic nie jest ukryte! I boleść moja wy-daje ci się godna szacunku, bo pan cierpisz również!

— Kto ci to powiedział, mości Triboulet?

— Cierpisz pan! Nigdy jeszcze nie rozumiałem tak dobrze twego bólu, jak teraz! Ach! noce pańskie na pewno są wypeł-nione wspomnieniami o kobiecie młodej, zachwycającej, prze-pięknej, o tej kobiecie, którą zabiło cierpienie!... albo ta jasna głowa zaginionego dziecka. Dziecka, które już od tylu lat nie żyje... Budzisz pan lęk we wszystkich sercach, panie prefekcie... we mnie zaś budzisz współczucie!

— Dostyc tego! — warknął Monclar. — Czego chcesz ode mnie?

— Chcę powiedzieć panu, że ja również mam serce! Że ja również miałem dziecko! Nie kochałem żadnej kobiety! Dziec-ko to było mą jedyną miłością. Cała potrzeba kochania, jaka żyła we mnie, skupiła się na tym dziecku! A więc, panie prefek-cie, czy nie ulitowałby się pan nad moim bólem, jak ja ulitowa-łem się nad twoim?!

Dziwny to był widok! Błazen przemawiający ze swobodą do tak ponurego i groźnego człowieka, jakim był Monclar...

Monclar nie czuł się tym upokorzony. Za dużo wylał w swym życiu łez. Skamieniał. Już nie potrafił się wzruszyć.

Z niebywałą, jak na niego, łagodnością zapytał Tribouleta:

— Czegóż więc chcesz?

— Chcę wiedzieć, czy to król kazał uprowadzić moją córkę?

— To nie był król! — rzekł poważnie Monclar.

Triboulet zamyślił się.

Podniósł wreszcie głowę.

— Nie będę pana pytał, kto to zrobił! W tym nastroju, w jakim pan jesteś teraz, powiedziałbyś mi to, gdybyś wiedział.

— Tak! — potwierdził Monclar. Triboulet pożegnał go ukłonem.

— Żegnaj, panie de Monclar.

## ROZDZIAŁ VIII

### MONTGOMERY

Triboulet przedarł się przez tłum dworzan, opuścił salę, wpadł do swego pokoju i rozebrał się szybko z błazeńskiego stroju.

Opasał biodra trzosem wyjętym z kufra: miał w nim złoto.

Wreszcie zarzucił na ramiona płaszcz, upewnił się, czy sztylet dobrze chodzi w pochwie i poszedł do kordegardy.

Tam spotkał się z Montgomerym, który już na niego czekał.

— Wyjdźmy na miasto — odezwał się Triboulet bardzo naturalnym tonem — będziemy mogli spokojniej porozmawiać.

Jakkolwiek Triboulet był w ostatnich czasach więźniem Luwru, a sam Montgomery wydał w imieniu króla zakaz wypuszczania go poza mury pałacu, dziś błazen znowu wrócił do łask królewskich. Kapitan widział to na własne oczy...

W tej sytuacji propozycja Tribouleta nie obudziła w nim najmniejszego podejrzenia.

Wzięli się poufale pod ręce i wyszli na miasto. Dokoła pałacu królewskiego panowały ciemności. Kilku biedaków, jak to

zwykle bywało w dniu przyjęć na dworze, wyczekiwało pod murami Luwru, aby zdobyć parę groszy od strojnej pani lub wielmoży w dworskim stroju.

Montgomery roztrzącił groźnym ruchem ręki stłoczoną na ulicy bandę włóczęgów.

— No, teraz możemy spokojnie pomówić, drogi panie Fleurial — rzekł do błazna.

— Chodźmy dalej! — odparł Triboulet, przyspieszając kroku, a potem dodał:

— Powiedz mi teraz pan, co mógłbym dla pana uczynić?

— Obiecujesz mi więc pan pomówić z królem o mnie?

— Nie później niż jutro od samego rana.

— Zawsze mówiłem, że z pana porządna człowiek, panie Fleurial...

— Nazywaj mnie pan Tribouletem...

— Dlaczego? — zapytał Montgomery zdziwiony.

— To imię bardziej mi się podoba... Triboulet... to cierpienie, to coś brutalnego, ostrego — to bardziej pasuje...

— Drogi panie Fleurial...

— Podczas gdy Fleurial... — to kwietna łąka, to poezja i idylla... A tymczasem mało mam w sobie z poetycznego kwiatka, więcej z ciernia...

— Jesteś więc pan nieszczęśliwy! — zawołał kapitan z przesadą, nadając głosowi akcenty współczucia.

— Nieszczęśliwy! cóż znowu? Nikt nie jest szczęśliwszy ode mnie! panie Montgomery... Odzyskałem królewską łaskę, chcę ją wykorzystać dla dobra moich przyjaciół, do których zaliczam ciebie, panie kapitanie. Czegóż mogę żądać jeszcze?

— To prawda, panie Fleurial!  
— Mów pan Triboulet, do licha!  
— Niech i tak będzie! A więc, drogi mój Triboulecie, oto co chciałbym otrzymać za twym pośrednictwem...  
— Czekaj pan... czekaj... czy nie widzisz tam... na zakręcie tej uliczki...

— Nic nie widzę... to tylko gra cieni...  
— Pójdę jednak, przekonam się... Nic nie wiadomo. Ktoś mógłby podsłuchać naszą rozmowę...

Triboulet podbiegł żwawo we wskazanym przez siebie kierunku. Montgomery podążył za nim, nie śpiesząc się zbytnio i mrużąc pod nosem:

— Do diabła z tym wizjonerem! Wiecznie mu się coś marzy! No i co, Triboulecie?!

Błazen nie odpowiedział na jego wołanie.

— Triboulet! — krzyknął już z niepokojem Montgomery.

Znowu cisza.

— Czyżby go zamordowano? — pomyślał kapitan, wyjmując sztylet z pochwy... — Triboulet! Gdzie jesteś?

— Tutaj! — rozległ się w mroku nocy głos Tribouleta.

— Idę do ciebie!... Zaczekaj!

— Niepotrzebna fatyga, drogi kapitanie, żegnaj! Powiedz jutro rano królowi, że odprowadziłeś mnie aż tutaj, a możesz być pewny, że otrzymasz w nagrodę wszystko, czego tylko zapragniesz.

— Ach ty, nędzniku! — zawołał Montgomery widząc, że Triboulet wystrychnął go na dudka.

Rzucił się w stronę, skąd dochodził głos błazna ślącego mu szydercze pozdrowienie.

Lecz tam właśnie krzyżowało się kilka wąskich uliczek. Zabłądził. Jego nadaremne poszukiwania trwały blisko godzinę.

Zdyszany, nieprzytomny z gniewu i oburzenia, wrócił do Luwru i wszedł na jarzącą się ogniami salę właśnie w chwili, gdy Franciszek I wezwał go przed swój tron.

Zbliżył się.

— Blżej! — rzucił król rozkaz.

Montgomery postąpił jeszcze parę kroków i pochylił się nad królem siedzącym w swym szerokim fotelu.

— Nie trać waść z oczu mego błazna Tribouleta!— rzekł Franciszek I półgłosem.

— Dobrze, Sire...

— Wyczekasz chwili, kiedy uda się do swego pokoju...

— Dobrze, Sire...

— Wtedy nie czyniąc hałasu, nie budząc nikogo ze snu, wsadzisz go do dobrze zamkniętego powozu i odwieziesz do Bastylii...

Franciszek I nie potrzebował już Tribouleta, był bowiem przekonany, że błazen nie wie nic o kryjówce Hiletki. Mścił się więc na nim i uwalniał się od niego na zawsze, polecając wtrącić go do więziennego lochu.

— Rozkaz Waszej Królewskiej Mości zostanie wypełniony — rzekł Montgomery, który mimo próby panowania nad sobą, widocznie zbladł.

— Liczę na to — dodał król posepnym głosem. — Każesz gubernatorowi Bastylii osadzić nowego gościa w jakiejś odosobnionej celi, aby nikt nie mógł słyszeć śmiechu mego błazna, jeśli będzie miał ochotę śmiać się, ani tego, co będzie



mówić, jeśli mu się zachce rozmowy...

— Ani szlochów, jeśli będzie miał ochotę na lzy... Zrozumiałem...

Na ustach króla ukazał się okrutny uśmiech.

— Ostatecznie zaś, jeśliby dozorczy zapomnieli zupełnie o więźniu...

— To znaczy, jeśliby zapomnieli o jedzeniu i wodzie dla niego... nieprawdaż?

— Możesz sobie tłumaczyć moje słowa, jak ci się podoba... A więc, jeśliby zapomniano o Triboulecie siedzącym w lochu, jeśliby mu pozostała jako jedyna ucieczka— miłosierdzie boskie, nie byłoby to wielkim nieszczęściem!...

Na drugi dzień rano Bassignac wprowadził Montgomery'ego do pokoju króla.

Franciszek I odbywał naradę z prefektem.

Zaledwie jednak dowiedział się, że kapitan straży przybocznej prosi o posłuchanie, natychmiast rozkazał wpuścić go.

Król był pośpny, błądy i przygnębiony, można by sądzić, że bardzo źle spędził noc.

— No i?... — zapytał pośpiesznie.

— Wszystko odbyło się tak, jak Jego Królewska Mość tego sobie życzył — odpowiedział Montgomery z rozpaczliwym zachwalstwem człowieka, który wie, że stawia na jedną kartę nie tylko swą karierę, lecz i życie.

I rzeczywiście, gdyby na przykład prefektowi strzeliła myśl

udania się do Bastylli i widzenia się z Tribouletem, pan kapitan przyplaciłby swe kłamstwo głową.

Tymczasem nieustraszony śmiałek ciągnął dalej, spoglądając na Monclara.

— Złapaliśmy tego jegomościa, załadowaliśmy do zamkniętej karocy i w tej chwili, jeżeli nie jest jeszcze całkowicie zapomniany przez Boga, ludzie na pewno o nim już nie pomyślą!

— A... co mówił?

— Sire... nie mam odwagi powtórzyć — rzekł Montgomery po chwili wahania.

— Pewnie jakieś obelgi?

— Nie, Sire.

— A więc, mów waćpan!

— Nie śmiem sprzeciwić się woli Waszej Królewskiej Mości... Powiedział dosłownie: „Jutro rano powiedz królowi, że odprowadziłeś mnie aż tutaj, a możesz być pewny, że otrzymasz w nagrodę wszystko, czego tylko zapragniesz”.

Bezczelność Montgomery'ego była wielka, jednak z drżeniem serca czekał na odpowiedź króla.

— Tak powiedział? — szepnął Franciszek I w zamyśleniu. — A więc stary hultaj nie pomylił się, wyświadczyłeś mi niezapomnianą przysługę... Gdy będziesz czegoś potrzebował — licz na mnie... A teraz, żegnam waćpana!

Montgomery uklonił się nisko, aż do samej ziemi, i wyszedł z pokoju. Serce jego pełne było szalonej radości z powodu wielkich łask króla. Czuł jednak również straszny niepokój na myśl, że jego oszustwo może być wykryte.

## ROZDZIAŁ IX

### POSZUKIWANIA

Triboulet szybko oddalił się. Znał doskonale Paryż, nawet w nocy szedł bez wahania krętymi uliczkami otaczającymi Luwr gęstą siecią.

Przechodził właśnie ulicą Wolnych Łuczników, gdy nagle dwa groźne cienie wynurzyły się przed nim z ciemności. Znajdował się przy wejściu do Dzielnicy Cudów. Dwa cienie szły za nim już przez pewien czas. Uczuł uścisk mocnych ramion, które ciągnęły go silnie za rękę. Jednocześnie rozległy się dwa ochryple głosy:

— Kto pan jest?

— Przyjacieli! — odpowiedział twardo Triboulet.

— Przyjacieli! — zawołał jeden z włóczęgów — nie jesteś przecież ani złodziejem, ani żebrakiem, ani włóczęgą.

— Nie jesteś obywatelem Egiptu!

— Ani Galilei!

Triboulet słuchał cierpliwie paplaniny włóczęgów.

— Czy słyszysz, Fanfare? — rzekł jeden z nich.

— Uśmiełem się, Cocardére!

— Zostawcie mój płaszcz w spokoju — odezwał się Triboulet

łagodnie — uprzedzam was, że nie znajdziecie u mnie nic.

I rzeczywiście — zręczne palce łotrzyków rozpoczęły już swą pracę, a ich ogłuszająca paplanina miała jedyny cel: odwrócić uwagę tego, który był przez nich uważany za dobrego „klienta”.

— Czegóż chcesz? — zapytali go jednocześnie.

— Rozmówić się z jednym z waszych przywódców.

— A więc znasz jednego z nich?

— Może?

— I chcesz zaangażować się do nas?

— Może! Zemsta kieruje mnie do was...

Słowa te były wymówione tak posępnym tonem, że nawet zaprawieni w łotrostwach mężczyźni, nie mogli powstrzymać się od dreszczu grozy.

— Z kim chcesz mówić? — zapytał Cocardére już mniej ostro.

— Z tym spośród waszych szefów, który ma na imię Manfred.

— Manfred! — zawołali z nieukrywanym szacunkiem. Czego chcesz od niego?

— To nie wasza rzecz. Powiedzcie mu tylko, że przychodzę z Luwru, to wystarczy. Znajdzie się dla każdego z was śliczny talarek z salamandrą.

— Patrzcie, patrzcie! A mówiłeś, że nie masz pieniędzy.

— Mówilem tylko, że nie znajdziecie ich. A więc idźcie. Idźcie do przywódcy.

— Dobrze! Już się robi. Pozostań z nim, Fanfare.

Cocardére ruszył pośpiesznie i zniknął im sprzed oczu.

Wkrótce powrócił. Towarzyszył mu mężczyzna, którym był Manfred.

Z trudem ukrywając wzruszenie, Manfred zapytał:

— Mówisz, że przychodzisz z Luwru?

— Tak! — rzekł Triboulet, starając się rozpoznać rysy mówiącego. — Czy jesteś Manfredem?

— Tak to ja — rzekł Manfred poruszony. — A kto pan jesteś?

— Dowiesz się wtedy, gdy zostaniemy sami.

Manfred zawahał się.

— Czy... przychodzisz pan... w czymś imieniu?

— Nie! Przynoszę jednak wiadomości, które mogą pana zainteresować.

— Chodź pan! — zawołał Manfred.

Triboulet wyjął z trzosa dwa talary i podał je włóczęgom, którzy odsłoniли głowy, ukłonili się aż do samej ziemi i rzekli:

— Śliczne dzięki, księżę panie!

Manfred odciągnął Tribouleta o jakieś sto kroków, potem wprowadził go do domu, którego schody były oświetlone światłem lampy. Na pierwszym piętrze weszli do obszernego, bardzo pięknie umeblowanego pokoju. Znajdował się w nim młodzieniec, który spacerował tam i z powrotem, zaciskając pięści.

Był to Lanthenay.

W szerokim fotelu siedziała płacząca cicho pani Dolet, a Avetka, która stała przy niej, głaskała ją po twarzy i płakała wraz z nią.

Triboulet zdjął beret i rzekł poważnym głosem:

— Pokój niech będzie z wami... pewnie przeszedł tędy król

Franciszek, widzę was bowiem pogrążone w smutku.

Lanthenay zadrżał.

— Król nie przeszedł tędy — odparł również poważnie — lecz on jest przyczyną nieszczęścia, które nas spotkało.

Triboulet pokiwał głową z politowaniem, potem wszedł za Manfredem do sąsiedniego pokoju. Młodzieniec wskazał mu krzesło i rzekł:

— Zrób mi pan zaszczyt i powiedz, kim jesteś.

Triboulet chciwie przyglądał się Manfredowi.

W tej chwili oddałby dziesięć dni swego życia, aby móc czytać w jego sercu, w myślach, aby poznać jego losy i charakter. Więc to był człowiek, którego kochała jego Hiletka!

Jego znajomość ludzi mówiła mu, że ten człowiek nie może być zły. W szczerych, prosto patrzących oczach, wyczytał niezłomność charakteru, szerokie czoło mówiło o inteligencji, potężna pierś świadczyła o sile, a pełen dobroci uśmiech budził zaufanie.

Manfred czekał cierpliwie.

— Panie — rzekł wreszcie z odcieniem gniewu — nie mam zwyczaju poddawać się tak ścisłemu badaniu, jakiemu poddaje pan moją osobę. Jakikolwiek są pobudki pana ciekawości, uprzedzam, że zaczyna mnie ona niecierpliwić. Pytałem pana, jak się pan nazywasz. Jestem Manfred i żałuję — dodał z odcieniem goryczy w głosie — że nie mogę panu podać bardziej znakomitego nazwiska. A pan? kim pan jesteś?

Triboulet odpowiedział powoli:

— Ja, mój panie, jestem ojcem Hiletki.

Manfred zbladł i stłumił okrzyk. Ramiona jego wyciągnęły się bezwiednie jakby do uścisku. Lecz w tej samej chwili zbudziła się w nim cała jego nienawiść i ból, innymi słowy — cała jego miłość. Ujrzał znowu, oczami wyobraźni, postać króla i Hiletki połączonych uściskiem.

Rzucił więc z lodowatym chłodem:

— To wielki zaszczyt dla mnie poznać ojca kochanki...

— Nieszczęsny! nie bluźnij! — krzyknął Triboulet.

Wyprostował się, drżąc na całym ciele. Twarz zajaśniała majestatem.

— Obyś nie odkupił krwawymi łzami podejrzania, jakie rzucasz nieuczciwie na czyste jak kryształ, dziecko... Żegnaj. Pomyliłem się. Wybacz mi.

Skierował się do drzwi.

Manfred jednym susem zastąpił mu drogę. Porwał go za rękę i szepnął głosem świszczącym, nabrzmiałym wzruszeniem:

— Co mówisz pan? Co mówisz?

— Mówię, że bluźnisz, oskarżając czystą lilię.

— A więc zapewniasz, że Hiletka nie należy do króla? Powtórz! Och! na Boga... powtórz! Upewnij mnie! Przysięgnij!

— Mówię, że Hiletka jest czysta...

Manfred donośnym głosem przywołał Lanthenaya. Słyszając wołanie przyjaciela, Lanthenay wpadł do pokoju ze słowami:

— Co się stało?

Jednocześnie rzucił groźne spojrzenie na Tribouleta. Manfred wpadł w ramiona przyjaciela.

— Co się stało, mój bracie? To — że posądziłem ją niesłusznie,

że jestem nędznikiem i że nigdy nie byłem tak szczęśliwy, jak w tej chwili...

— Bracie — rzekł Lanthenay poważnie — podzielam twe szczęście...

Postępowanie Lanthenaya było pełne nadzwyczajnego opamiętania. W sąsiednim pokoju płakała dziewczyna, którą uwielbiał i której rozpacz nie był w stanie uciszyć.

Manfred zbliżył się do Tribouleta i wziął go za rękę:

— Czy jest w Luwrze?

— Nie ma jej tam. Porwano ją.

— Porwano! — rzekł Manfred. — Kto taki? Kiedy?

— Kiedy? Trzy dni temu... Kto? Nie wiem. Najpierw podejrzewałem króla, lecz teraz nabrałem pewności, że przynajmniej ta zbrodnia nie jest jego dziełem.

— Porwana! porwana! — szeptał Manfred, chodząc po pokoju w podnieceniu. — Och! odnajdę ją! A ja ją podejrzewałem! Jakim jestem nędznikiem! Tak, tak, odnajdę ją... chociażbym miał cały Paryż zatopić we krwi.

Nagle zwrócił się do Tribouleta:

— Dlaczego jednak przyszedłeś pan z tą wiadomością do mnie?

— Dlatego, że ona mówiła mi o panu.

— Ona mówiła o mnie! — szepnął Manfred.

— Tak... płacząc...

— Dokończ pan!

— Płakała, ponieważ pan pogardziłeś nią... ponieważ pan przestałeś ją kochać!

— Ja przestałem ją kochać? A więc mówisz pan, że ona płakała! A więc... a więc...



— Tak, kocha cię — rzekł łagodnie Triboulet.

Manfred padł w objęcia Tribouleta, bełkocząc słowa bez związku, mówił do niego „ojcze”, słowem czynił wszystko, co czynią ludzie kochający po raz pierwszy w życiu, co czynią ludzie, którzy nagle nabierają pewności, że są również kochani.

Gdy już pierwszy wybuch wzruszenia minął, potoczyła się rozmowa spokojniejsza i bardziej rzeczowa.

Lanthenay chciał wrócić do dwóch nieszczęśliwych kobiet.

— Bracie — rzekł do niego Manfred, zatrzymując go — wybacz mi mój wybuch egoistycznej radości... nie powinienem był się cieszyć, lecz to było silniejsze ode mnie.

— Gdybyś się nie cieszył szczęściem, które na ciebie spadło — odparł Lanthenay — świadczyłoby to, że nie masz dostatecznie wielkiego serca, aby się interesować nieszczęściem, jakie mnie spotyka.

— Cóż to za nieszczęście? — zapytał Triboulet z wyraźną sympatią w głosie.

— Mój przyjaciel Lanthenay — objaśnił Manfred — mój brat kocha córkę sławnego Stefana Doleta.

— Drukarza?

— Tak. Wkrótce miał nastąpić ich ślub. Ale nad rodziną Doleta zawisło nieszczęście. Ten wielki człowiek został aresztowany i osadzony w Conciergerie na skutek fałszywych denuncjacji hiszpańskiego mnicha...

— Ignacego de Loyoli! — zawołał Triboulet.

— Tak. Skąd pan o tym wie?

— Pewnego dnia znajdowałem się w gabinecie króla...  
— Pan... w gabinecie króla? — przerwał Lanthenay zdumiony.

— Dziwi to pana, nieprawdaż? Właściwie nie jestem ani dworzaninem, ani służącym Jego Królewskiej Mości... stoję dużo wyżej, a jednocześnie dużo niżej niż oni...

— Wy tłumacz się pan, proszę — rzekł Manfred, zdumiony goryczą, z jaką wymówił te słowa Triboulet.

— Panowie — ciągnął dalej błazen królewski, uśmiechając się smutnie — znajdowałem się owego dnia w gabinecie królewskim, bo tego wymagał mój zawód...

Zawahał się przez chwilę, potem dodał z wielką prostotą:

— Panowie, jestem błaznem królewskim...

— Triboulet! — zawołali obaj przyjaciele.

W okrzyku tym, wbrew ich woli, zabrzmiała ciekawość i antypatia.

— Tak — rzekł Triboulet, podnosząc głowę. — Imię to jest synonimem złośliwości i upodlenia. Nie brońcie się panowie — imię moje przeraża wás, mówicie w tej chwili w duchu: oto jest ów podły błazen, który, aby rozśmieszyć króla, nie waha się zatruć swymi dowcipami całego szeregu ludzkich egzystencji. Niestety, panowie, nie możecie o tym wiedzieć, ile w gorzkim śmiechu kryje się nikomu nieznannej boleści.

— Nie śmiemy sądzić pana — rzekł łagodnie Lanthenay.

Triboulet pokiwał głową i odwrócił się do Manfreda.

— Uspokój się pan — rzekł uśmiechając się — powiedziałem

panu przed chwilą, że nazywam się „ojcem Hiletki”. To tylko nazwa. W rzeczywistości Hiletka nie jest moją córką, jakkolwiek od wielu już lat kocham ją całym sercem.

— Panie — rzekł Manfred głęboko wzruszony bolesnym tonem jego słów — kimkolwiek jesteś, błogosławię cię za bezgraniczną radość, którą mi przyniosłeś; kimkolwiek jesteś, kocham cię, ponieważ ty kochasz Hiletkę! Nie obchodzi mnie twe imię i twój zawód — jesteś człowiekiem o wielkim sercu, a to wystarcza memu przyjacielowi i mnie...

— A więc są jeszcze na świecie ludzie, których nie zepsuło kłamstwo i których złość ludzka nie dotknęła swym nieczystym skrzydłem! — zawołał Triboulet.

Wyciągnął do młodzieńców obie ręce, a oni uścisnęli je z gorącą sympatią.

— O czym to mówiliśmy? — rzekł Triboulet, przesuwając ręką po czole. — Nie mamy czasu do stracenia.

— A więc, mówiłeś pan, że znajdowałeś się pewnego dnia w gabinecie króla...

— Ach! Tak. Otóż oznajmiono wtedy przybycie de Loyoli. Król dał mi znak, abym się oddalił. Miałem wszystkie po temu powody, aby chcieć poznać, co mówi i myśli Franciszek I. Było to bowiem nazajutrz po porwaniu Hiletki.

Manfred zadrżał.

— Oddaliłem się więc do sąsiedniego pokoju i tam słyszałem i widziałem wszystko: Hiszpan żądał głowy Doleta. Król obiecał mu ją, jeśli tylko dostarczone zostaną dowody winy

drukacza. Widzę więc, że Loyola postarał się zgromadzić te dowody...

— Nędznik! — warknął Lanthenay.

— Panowie, to okropny człowiek. Nigdy nie widziałem na twarzy ludzkiej, a widywałem różne twarze, wyrazu tak strasznej nienawiści.

— Lecz — zawołał Lanthenay — Franciszek I wie, że Dolet nigdy nie nadużywał swych przywilejów nadanych mu przez króla, że z drukarni jego nie wychodziły nigdy zakazane książki...

Triboulet porwał za rękę Lanthenaya.

— Nie dowierzaj królowi — rzekł posępnym głosem — nie dowierzaj mu, tak jak się nie dowierza spróchniałej i desce, jeśli się chce przejść przez most... Król jest tchórzem...znam go. Dzielnym jest w bitwie, gotów jest na czele oddziału swego wojska skoczyć w sam wir potyczki, drży jednak, gdy się znajdzie w obecności umysłu wyższego niż jego umysł. W Madrycie, w niewoli, drżał przed Karolem. W Luwrze — drży przed Loyolą. Cesarz jest uosobieniem siły, której nie zna Franciszek I, siłą tą jest dyplomacja. Loyola reprezentuje również potęgę, której boi się Franciszek — Kościół. Król Francji wolalby raczej posłać na szafot delfina, niż narazić się papieżowi...

— Co robić? co robić? Och! Jeśli Doleta spotka nieszczęście, Loyola zapłaci drogą za swe smutne zwycięstwo!

— Panowie — rzekł wreszcie Triboulet — postarajmy się spojrzeć na sytuację jasno, streśćmy się...

Błażen mówił z powagą. Zdawało się, że już jest członkiem rodziny.

Manfred i Lanthenay odpowiedzieli:

— Mów pan...

— Stoimy wobec dwóch zupełnie różnych dramatów — ciągnął dalej Triboulet. — Z jednej strony pan Stefan Dolet aresztowany i uwięziony w Conciergerie, z drugiej strony Hiletka porwana z Luwru...

— Dodaj pan jeszcze — ciągnął dalej Manfred — że Dzielnica Cudów jest również zagrożona.

— Należy więc usunąć się stąd jak najprędzej.

— Przeciwnie, zamierzamy osiąść tu jeszcze mocniej niż kiedyś. Mieszkańcy Dzielnicy Cudów nie wahali się napaść na Luwr w mojej obronie. Gdybym ich teraz opuścił, byłbym nędznikiem.

Lanthenay przytaknął skinieniem głowy.

— Niech i tak będzie! — rzekł Triboulet. — Musimy więc dokonać trzech wysiłków: odnaleźć Hiletkę, uwolnić Doleta i bronić Dzielnicy Cudów.

— Właśnie...

— Można się uciec do dwóch sposobów — mówił dalej Triboulet — po pierwsze połączyć się i wykonać kolejno każdą z tych prac Herkulesa...

— No, a drugi sposób?

— Prawdopodobnie zostaniemy przy nim — podzielimy pracę.

Triboulet mówił jasno, poważnie, bez cienia wzruszenia; jego spokój podniósł obu przyjaciół na duchu.

— Rzeczywiście, najlepiej będzie pozostać przy drugiej metodzie — rzekł Lanthenay. — Chcę podjąć się wydobycia Doleta z więzienia, jest to sprawa niecierpiąca zwłoki. Z drugiej zaś strony, niepodobna, aby Manfred odłożył swe poszukiwania

bodaj na jeden dzień. Działajmy więc każdy na swoją rękę, postanawiając, że ile razy któryś z nas będzie potrzebował pomocy, powiadomi o tym pozostałych.

— Zgoda.

— Wracam więc do pani Dolet i postaram się wlać do jej serca chociaż trochę otuchy.

Z tymi słowy Lanthenay udał się do sąsiedniego pokoju.

— Ja — rzekł Triboulet — zostanę również tutaj. Znajdziesz pan dla mnie na pewno jakieś mieszkanie.

— W tym samym domu — odparł Manfred — tam... obok pokoju; który ja zajmuję.

Triboulet zrozumiał: Manfred chciał mieć go ciągle przy sobie. Niewątpliwie płonął chęcią dowiedzenia się szeregu szczegółów o Hiletce. Wziął więc Manfreda za rękę i rzekł:

— To jeszcze nie wszystko... przedtem, nim udamy się na poszukiwanie Hiletki, musisz się pan dowiedzieć rzeczy bardzo ważnej.

— Mów pan! — rzekł skwapliwie Manfred.

— Powiedziałem już panu, że Hiletka nie jest wcale moją córką.

— Rzeczywiście. Czy zna pan jej ojca?

— Oo... znam go! Spotkałem Hiletkę wtedy, gdy była jeszcze biedną, małą, porzuconą dziewczynką... przywiązałem się do niej... wychowałem ją... lecz powtarzam panu, że znam jej ojca.

— Któż to jest?

— Franciszek I, król Francji.

Manfred podskoczył:

— Co pan mówisz!

— Mówię, że Hiletka jest córką króla Francji.

— Lecz skąd pan wiesz o tym?

— Sam mi to powiedział! Posłuchaj...

Opowiedział teraz Manfredowi swoją rozmowę z Franciszkiem I. Manfred słuchał uważnie.

— Król jest ostatnim nędznikiem! — zawołał, gdy Triboulet skończył swe opowiadanie. — Jak to! więc sam mówi, że Hiletka jest jego córką i chce popełnić na niej akt gwałtu... porywa ją. Dobrze go osądziłem owego wieczoru, kiedy odebrałem mu jego „łup”! To był oszalały kochanek, a nie ojciec odnajdujący swe dziecko.

— Może wówczas nie wiedział jeszcze o tym.

— Tkwi w tym jakaś tajemnica...

— Którą wyjaśnimy wspólnymi siłami...

— A ona? co mówi, co myśli? Czy świadomość, że jest córką króla, nie zmieniła jej serca?

— Mało ją znasz. Boi się króla...

— A jednak to — jej ojciec...

— Tak! lecz stoimy wobec drugiej tajemnicy, którą można sobie wytłumaczyć jedynie zamroczeniem rozumu... Franciszek jest ojcem Hiletki i wie o tym. Mimo to miłość, jaką czuł do niej, nie uległa zmianie...

Manfred zbladł.

— A więc — wycedził — prześladował Hiletkę swą miłością i w Luwrze...

— Umiała się bronić — odpowiedział Triboulet z dumą. — To odważne dziecko...

## ROZDZIAŁ X

### KSIEŻNA BEATRIX

Na audiencję u króla Franciszka I kawaler de Ragastens udał się do Luwru konno, we wspaniałym stroju możnego florentyńskiego pana. Strój ten jeszcze bardziej podkreślał jego rycerski wygląd.

Król wiedział dobrze o dużych wpływach Ragastensa w ambasadzie włoskiej w Paryżu. Przyjął go więc nadzwyczaj uprzejmie. Tak gorąco zapewniał gościa o swej sympatii, że trudno było poznać, czy sympatia ta jest prawdziwa czy też udana.

— Nosisz pan francuskie imię, mości Ragastens, pozwól wyrazić mi żal, że nie mogę pana zaliczyć do grona mych dworzan. Na moim dworze odwaga i rozum są uważane za największą cnotę, a jednego i drugiego na pewno ci nie brak.

Ragastens złożył ukłon.

— Sire — rzekł z uśmiechem — podobny jestem do Cezara, który wolał być pierwszym na wsi niż drugim w Rzymie...

— To znaczy?

— Że tam, w moim księstwie Alma, jestem pierwszym,



podczas gdy tu nie byłbym nim chociażby dlatego, że tutaj królujesz ty, Sire.

W zdaniu tym zawierało się dużo uznania dla Franciszka I. Komplement pochlebił dumie króla Francji. Lecz słowa Ragastensa tchnęły również wielkim poczuciem osobistej godności i dumy.

— Panie — rzekł Franciszek I — widzę, że oddajesz każdemu należną mu sprawiedliwość. Lecz czy mogę wiedzieć, od kiedy jesteś pan we Włoszech? Czy od czasu wypraw świętej pamięci ojca mego, króla Francji?

— Nie, Sire. Ot po prostu znalazłem się pewnego pięknego dnia na bruku, bez grosza, mając tylko podłą szpadę, świetny apetyt, dużo projektów, ogromną chęć przyjrzenia się szerokiemu światu i zdobycia w nim jakiegoś stanowiska, a na sumieniu kilka zatargów z poprzednim prefektem miasta Paryża... Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem, że we Francji nic dobrego nie działo — za dużo tu ludzi obdarzonych ostrzejszymi zębami niż ja, a zbyt mało widoków na jadło. Udałem się więc do Włoch. Tam walczone, walczyłem więc także i wobec tego, że mam mocne pięści, wyszedłem zwycięsko... Lecz może nudzę Waszą Królewską Mość?

Król Franciszek słuchał ze zdumieniem tego człowieka, który z taką prostotą opowiadał rzeczy, zdające się być legendą z czasów rycerskich.

— Mów pan dalej, jestem bardzo zainteresowany pana opowiadaniem.

— Otóż, wyszedłem zwycięsko, to znaczy zdobyłem przytułek na stare lata i miłość. Przytulkiem tym jest zarząd księstwem stanowiącym własność mojej żony. Posiadłem również

miłość kochanej kobiety, co jest jeszcze lepsze...

— Tam, do licha, mój panie — zawołał król — strasznie mi się waść podobasz. Chciałeś się ze mną widzieć. Czy mogę coś uczynić dla ciebie? Obawiam się, że nic, bo taki człowiek jak pan, myśli sam o własnych potrzebach, nie pozwalając innym wtrącać się do swoich spraw...

Czoło Ragastensa zachmurzyło się.

— Wasza Królewska Mość może dużo uczynić dla mnie, a wobec tego, że zyskałem jego życzliwość...

— Mów pan, mów bez obawy. Jeżeli to, czego chcesz, zależy tylko ode mnie, życzenie twoje będzie spełnione.

— Dziękuję! Otóż wracam do mego opowiadania, którym Wasza Królewska Mość raczył się zainteresować. Po burzliwym okresie mego życia spotkało mnie niezakłócone żadnym cieniem szczęście. Przerażony tą nagłą odmianą losu zadawałem sobie nieraz pytanie, czy takie niezmacone szczęście może trwać wiecznie... I oto nastąpiła tragedia... Miałem syna... nie będę mówił o miłości, jaką darzyłem to dziecko. Otóż tego syna... uprowadzono.

— Niewątpliwie ktoś, kto pozazdrościł ci twego szczęścia?

— Tak, Sire. A co najgorsze — tę zbrodnię popełniła kobieta...

— Kobieta! Pewnie opuszczona kochanka?

— Nie, Sire. Ale nie mówmy o tej nieszczęsnej, już nie żyje. Niestety, umierając zabrała ze sobą tajemnicę. W poszukiwaniu syna przemierzyliśmy całe Włochy. To było nasze jedyne dziecko. Z chwilą jego zniknięcia, z naszego domu odleciała

radość. Już mieliśmy wyrzec się nadziei i poniechać bezowocnych poszukiwań, gdy nagle dowiedziałem się, że porwane dziecko odwieziono do Paryża, gdzie prawdopodobnie mieszka. Natychmiast udaliśmy się w drogę.

— No i?

— Tu właśnie udział Waszej Królewskiej Mości mógłby zapewnić nam nadzieję na powodzenie. Syn został oddany Cyganom, którzy wyemigrowali z Włoch i osiedlili się w Dzielnicy Cudów.

— W Dzielnicy Cudów! Mój Bassignac, dowiedz się, czy nie ma w Luwrze hrabiego de Monclara.

— Sire — odparł pokojowiec królewski — pan prefekt właśnie przybył przed chwilą.

— A więc powiedz mu, że go oczekuję.

W chwilę potem do gabinetu królewskiego wszedł de Monclar. Pozdrowił cudzoziemca w milczeniu i usunął się w ciemny kąt pokoju.

— Oho! — pomyślał Ragastens, spoglądając na prefekta — cóż to za chudzielec! Wygląda na to, jakby tylko co opuścił piekło albo jakby się tam właśnie wybierał!

— Panie de Monclar — rzekł król — zechciej wysłuchać uważnie tego, co ci powie kawaler de Ragastens. Abyś zrozumiał, o co chodzi, dowiedz się, że miał dziecko, które mu zostało porwane.

Monclar drgnął — twarz jego, zwykle blada, stała się szara jak popiół.

— Otóż — mówił dalej król — pan de Ragastens dowiedział się, że jego syn znajduje się w Paryżu i przebywa prawdopodobnie

w Dzielnicy Cudów. Nieprawdaż, kawalerze?

— Tak jest, Sire. Otóż mówię dalej... nadaremnie usiłowałem dostać się do Dzielnicy Cudów, aby tam rozpocząć poszukiwania. Wybacz mi, Najjaśniejszy Panie, mą szczerość, lecz łatwiej jest zobaczyć króla w jego Luwrze, niż ujrzeć któregoś z tych panów włóczęgów i złodziei w ich stolicy!

W kącie pokoju rozległo się mruczenie. To Monclar dawał znak, że się zgadza ze słowami Ragastensa.

— Są dwa sposoby — odezwał się prefekt — przy pomocy których pan de Ragastens mógłby przekroczyć granice Dzielnicy Cudów i rozpocząć tam poszukiwania. Panie kawalerze, proszę mi odpowiedzieć na kilka pytań.

— Słucham — rzekł zimno Ragastens.

— W jakim wieku może być syn pański, jeżeli żyje jeszcze?

— Ma dwadzieścia dwa lata.

— Dwadzieścia dwa — szepnął Monclar — mój miałby dwadzieścia siedem. Kiedy go porwano?

— Czternastego października 1503 roku.

— Czy są jakieś znaki szczególne, po których mógłbyś pan poznać swe dziecko?

— Nie! — rzekł Ragastens.

— Hm! to będzie trudne...

— Powiedzże pan, jakie masz sposoby wejścia do Dzielnicy Cudów — rzekł król, którego cała ta sprawa zajęła bardziej, niż chciałby to okazać.

— A więc Wasza Królewska Mość wie na pewno, że Dzielnica Cudów składa się z trzech wielkich części: Cesarstwa

Galilejskiego, Księstwa Egipskiego i Królestwa Złodziei. Jednak cesarz Galilei i książę Egiptu są osobistościami podrzędnymi w porównaniu z królem złodziei, który cieszy się prawdziwą władzą wśród mieszkańców dzielnicy. Otóż owym królem jest w tej chwili niejaki Tricot. To mój człowiek, udało mi się go pozyskać.

— Brawo, Monclarze!

W oku prefekta błysnął ogień triumfu.

— Jak to zrobiłeś?

— Podnieciłem w nim uczucie, które zakorzeniło się w jego sercu — zazdrość.

— Zazdrość! Czego może zazdrościć taki nicpoń?

— Chorobliwie zazdrościł pewnemu człowiekowi albo raczej dwom ludziom, ich władzy i miru, jakim się cieszą w grodzie włóczęgów i złodziei. Dowiedziałem się o tych szczegółach od Cyganki — Gypsie. Jest to dziwne stworzenie! W jej życiu na pewno tkwi jakaś tajemnica, która mnie intryguje. Gypsie przysłała do mnie, aby mi powiedzieć, że Tricot — król złodziei, uczyni wszystko w celu pozbycia się dwóch ludzi, przed którymi czuje lęk. Przywołałem go do siebie i zawarliśmy pakt.

— Fe! mości Monclar! — rzekł król śmiejąc się. — Kompromitujesz się paktem z samym szatanem!

— Dla dobra Waszej Królewskiej Mości.

— Wiem o tym... mów dalej.

— Podałem Tricota próbie. Dzięki niemu ujęliśmy Stefana Doleta. Teraz jestem pewien zwycięstwa. Zresztą wykorzystywanie czyjejś zazdrości jest z dawna wypróbowanym środkiem. Nawiązanie kontaktów z Tricotem to świetny sposób na dostanie się do Dzielnicy Cudów. Pod opieką króla złodziei pan

Ragastens może zwiedzić jak najszczegółowiej całe królestwo i jego okolice.

Ragastens skrzywił się z niesmakiem. Jakkolwiek silna była jego chęć poznania dobrze Dzielnicy Cudów, myślał z odrazą o nawiązaniu stosunków z tak podejrzaną osobistością jak Tricot.

— No a drugi sposób?

— O drugim sposobie mówiliśmy już z Waszą Królewską Mością, radząc nad losami Dzielnicy Cudów...

— Mów, panie de Monclar, spokojnie, pan de Ragastens jest naszym przyjacielem.

— Wpadniemy do Dzielnicy Cudów z bronią w rękę i zmieciemy z powierzchni ziemi całe to gniazdo włóczęgów. Jeśli kawaler zechce należeć do tej wyprawy, szpada jego znajdzie doskonale pole do popisu.

— To mnie nie nęci — rzekł Ragastens. — Walczyć z tymi biednymi odrapańcami!... Przyznaję się, że wybierałem dotychczas poważniejszych nieprzyjaciół.

— Widać, że źle pan znasz tych „biednych odrapańców”. Mają oni dobre muszkiety i jeszcze lepszych przywódców. Aby dać panu jasny obraz sytuacji, powiem tylko to, że niedawno ująłem jednego z nich — najbardziej nieokiełznanego — i zamknąłem go w więzieniu. Sądziłem, że nie uda mu się stamtąd wydostać. Więzienie to posiadało żelazne drzwi. I cóż? Uciek! Pilnowało ich dwunastu strażników.

— Tam do diabła, to dzielny człowiek!

— Powiedz jeszcze Monclarze, w jakim to było więzieniu...

— Więzieniem tym, mości kawalerze, była kostnica przy Montfaucon.

Ragastens drgnął.

— Kostnica przy Montfaucon! — zawołał.

— Tak — przytaknął król — nieprawdaż, że pomysł był świetny?

— Bardzo — rzekł Ragastens, opanowując się.

W duszy zaś pomyślał:

— Ładnie sobie pocynam! Zabawiam się w wypuszczanie z więzienia przywódcy złodziei! Jednakowoż ten młodzieniec...

— A więc, co postanawiasz pan? — zapytał król.

— Jeśli pozwolisz. Najjaśniejszy Panie, porozumiem się z panem prefektem.

— Upoważniam pana do tego, kawalerze. Mości de Monclar, oddaję cię do dyspozycji pana de Ragastensa. Kawalerze, jestem szczęśliwy mogąc ci w czymś pomóc. Widzę, że jesteś mi również życzliwy.

— Sire, jestem ci oddany całą duszą i nigdy nie zapomnę przyjęcia, jakiego dziś doznałem.

— Dobrze! Przypomnę ci kiedyś te słowa.

— Zawsze, kiedy tylko zechcesz. Wasza Królewska Mość...

— Otóż... — rzekł Franciszek I niepewnym tonem — możliwe jest, że będę kiedyś we Wło... szech... no, ale o tym potem... żegnaj kawalerze. A daj mi znać przed wyjazdem, i to osobiście, czy poszukiwania twe odniosły pomyślny skutek.

— Wasza Królewska Mość psuje mnie — rzekł Ragastens.

Wychodząc pomyślał:

— Będzie we Włoszech... tak, tak! Zdaje się, że lekcja jaką dostał w Pawii, powinna poskutkować...

Monclar odprowadził go aż na podwórze Luwru. W chwili, gdy Ragastens wkładał nogę w strzemię, prefekt rzekł:

— Mości kawalerze, mój dom jest dla ciebie otwarty o każdej porze dnia i nocy.

— Dziękuję, panie prefekcie — odparł Ragastens, sadowiąc się w siodle. — Po obiedzie będę miał zaszczyt złożyć panu wizytę, jeśli to panu nie sprawi różnicy.

— Król pozostawił mnie do pańskiego rozporządzenia, rozporządzaj więc pan moją osobą bez żadnych skrępołów.

— Jeszcze raz dziękuję!

Już ruszając z miejsca, Ragastens zwrócił się raz jeszcze do prefekta:

— Ale, ale, jak ma na imię ten przywódca żebraków?

— Który?

— Ten, który w tak cudowny sposób uciekł z kostnicy pod Montfaucon?

— Ma na imię Manfred.

Ragastens zbladł i drgnął nerwowo. Monclar jednak nie zauważył tego dziwnego wzruszenia i dodał:

— Zapomniałem panu zadać jeszcze jedno bardzo ważne pytanie, a mianowicie — jakie imię nosi dziecko, którego pan poszukuje?

Ragastens miał czas ochłonąć, odpowiedział więc najnaturalniej w świecie:



— Ludwik, dałem mu to imię ku czci świętej pamięci króla Ludwika XII.

Ragastens wrócił pośpiesznie do pałacu, który wynajął na czas swego pobytu w Paryżu.

W drodze powrotnej uczuł, że teraz dopiero drży ze strachu. Był to strach ogarniający ludzi po nieszczęściu, które minęło. Powtarzał sobie dygocząc:

— O mały włos podczas mojej rozmowy z Monclarem i królem nie powiedziałem im, że mój syn ma na imię Manfred. — Potem nagle dodał: — Ale, ale, jak widzę, ów sławny Manfred jest właśnie moim synem. Jakiż jednak jest dowód, że to prawda? Przecież może być dwustu albo trzystu Manfredów w całym Paryżu.

Po przybyciu na miejsce, udał się pośpiesznie do pokoju swej żony, księżnej Beatrix.

Służba jednak oświadczyła mu, że księżna wyszła już przed godziną w towarzystwie Spadacape'a.

Rzeczywiście, gdy tylko kawaler de Ragastens opuścił pałac, księżna Beatrix kazała przywołać do siebie wiernego sługę i dała mu jakieś rozporządzenia, które pospieszył wypełnić.

Nie upłynęło dziesięć minut, a księżna wyjeżdżała już z pałacu w lektyce konnej.

Towarzyszył jej tylko Spadacape. Był uzbrojony od stóp do głowy. Prócz długiego sztyletu za pasem, z którym się nigdy nie rozstawał, miał jeszcze przy sobie dwa dobrze nabite pistolety i spory zapas nabojów. Poza tym— we wnętrzu lektyki ukrył

muszkiet, a w rękę trzymał rapier, którego pozazdrościłby mu niejeden śmiałek.

Zacny Spadacape nie mógł się pozbyć pewnych dawnych przyzwyczajęń. Wychodził z domu uzbrojony jak na wojnę, kiedy wybierał się na włóczęgę po ulicach zrewoltowanego Rzymu, towarzysząc swemu panu.

Tego dnia jednak Spadacape miał specjalne powody, aby się tak uzbroić. Zaledwie zajął miejsce przy woźnicy, natychmiast rzucił mu rozkaz jazdy na ulicę Wolnych Łuczników.

Powóz zatrzymał się przy wylocie, albo raczej na rogu, wąskiej i czarnej uliczki, przy której stały brudne, nędzne lepianki. Księżna Beatrix wysiadła. Spadacape udał się za nią. Turkot powozu, który zatrzymał się w takiej podłej dzielnicy, zwrócił uwagę jej mieszkańców. W uchylonych drzwiach zaczęły się pokazywać głowy ciekawych; z ciemnych kątów wychylały się podejrzanе figury. Spadacape widział błyszczące oczy, z których wyzierała zawiść. Wzbudzał ją widok pięknych klejnotów, które miała na sobie księżna.

Przed domy wyległy kobiety w łachmanach. Beatrix zwróciła się do nich:

— Czy słyszano jakieś krzyki? Czy nie wołał ktoś o pomoc?

Odpowiedzi były bardzo sprzeczne. Albo nie słyszano nic, albo, jeśli ktoś nawet krzyczał lub wzywał pomocy, co w tej dzielnicy było rzeczą powszechną, nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Pytania były daremne. Na próżno księżna powtarzała szczegóły opowiedziane jej przez Ragastensa. Było widoczne, że

mieszkańcy zaułka trzymali się na baczności i że ostrożność nie pozwalała im nic mówić.

Księżna i Spadacape szli dalej, wypytyując napotykanych ludzi. Im dalej się posuwali, tym więcej podejrzanych osobników, skrytych przedtem po kątach, gromadziło się na ulicy.

— Pani — szepnął wierny sługa — sądzę, że już najwyższy czas zawrócić.

Spadacape bał się. Gdyby był sam, spróbowałby niewątpliwie przedrzeć się przez tłum, przyglądający im się z wrogą ciekawością. Księżna nie stawiała oporu i zawróciła, wypytyując zebranych na prawo i na lewo, zawsze jednak bez żadnego wyniku.

Nagle, gdy przechodzili koło małego posepnego domku, jeszcze bardziej zrujnowanego niż inne, rozległ się rozdzierający krzyk. Nie była to skarga. Nie było to wołanie. To był krzyk przerażenia.

— Kto mieszka w tym domu? — zapytała księżna starą kobietę, przechodzącą koło nich.

Stara zatrzymała się i spojrzała badawczo na Beatrix.

— Czy słyszałaś dobra kobieto? Pytałam, kto mieszka w tym domu?

— Nie wiem — odpowiedziała spokojnie Cyganka, jedna z tych, od których roilo się w Dzielnicy Cudów.

Wzięła Beatrix za rękę.

— Przyjeżdżasz pani z Włoch — rzekła z zimnym uśmiechem.

— Istotnie — odpowiedziała zdumiona księżna.

— Otóż nie znajdziesz pani tego, czego szukasz albo przynajmniej będzie już na znalezienie tego za późno.

Księżna w osłupieniu chciała prosić Cyganke, by wytłuma-  
czyła jej te słowa, lecz czarownica odeszła szybko w kierunku  
Dzielnicy Cudów. W tej samej chwili jeszcze jeden krzyk rozległ  
się wewnątrz domu.

— Chodźmy tam! — rzekła zdecydowanym tonem Beatrix.

— Zdaje mi się, że to niepotrzebne — rzekł Spadacape —  
pytałem właśnie jedno z dzieci. Powiedziało mi, że to wariatka  
tak się śmieje. Sądzę, że ten domek należy do niej.

— Nic nie szkodzi! Wejźmy tam!

Beatrix wstąpiła szybko do wnętrza, zaczęła wchodzić po  
spaczonych schodach, czepiając się sznura, który biegł wzdłuż  
muru.

Jeszcze jeden krzyk rozległ się w chwili, gdy księżna i Spa-  
dacape stanęli na ostatnim szczeblu schodów.

Znaleźli się przed zamkniętymi drzwiami, zza których do-  
biegł odgłos kroków i hałas przewracanych mebli.

— Maska! maska! — rozległ się przeraźliwy głos.

— Łaski, pani — odpowiedział głos młodszy. Wstrząśnięta  
księżna zwróciła się do Spadacape'a:

— Tu popełniają jakąś zbrodnię.

Spadacape bez słowa odpowiedzi spróbował otworzyć  
drzwi. Stawiły jednak opór. Wtedy zapukał trzykrotnie.

— Na pomoc! na pomoc! — wołał za drzwiami pełen prze-  
rażenia głos. — Och! jestem ocalona! To Manfred przychodzi  
mi na pomoc...

Zaległo milczenie.

Beatrix wydała okrzyk radości i przerażenia.

— To tam! to tam! — mówiła drżąc.

Spadacape podważył zamek ostrzem swego sztyletu, nacisnął ramieniem drzwi i pchnął. Rozległ się trzask.

— Prędko! prędko! — powtarzała księżna. — Och! już nie słyhać!

W tej chwili drzwi ustąpiły, Spadacape wpadł do wnętrza, a za nim księżna Beatrix.

Tuż pod oknem stała młoda dziewczyna, zastawiając się stołem, który przyciągnęła do okna.

Po przeciwległej stronie stołu, próbując go przeskoczyć, aby dosięgnąć dziewczynę, rzucała się kobieta o błędnym spojrzeniu, z rozpuszczonymi włosami. Wywijiała jakimś przedmiotem w rękę, powtarzając z uporem wariatki:

— Mask! Mask!

Spadacape rzucił się na kobietę, a tymczasem dziewczyna, prawdopodobnie wyczerpana odbytą walką, padła na kolana, wyciągając ręce do księżnej.

Beatrix podbiegła do nieszczęśliwej dziewczyny, podtrzymała ją i, wstrząśnięta przeżytą sceną, szepnęła:

— Nie obawiaj się niczego, moje dziecko, masz we mnie przyjaciółkę...

— Przyjaciółkę! — szepnęła Hiletka z uśmiechem wdzięczności. — Tak! Przyjaciółkę! Widzę to z pani pięknej twarzy.

Obsunęła się półprzytomna na ziemię. Beatrix starała się ją uspokoić.

Tymczasem Spadacape przytrzymał Margentynę. Krzyknęła dziko, potem wybuchnęła śmiechem.

— Pomożesz mi założyć jej maskę? — zapytała, wywijając w

powietrzu kawałkiem wilgotnego sukna, wydającego silny zapach.

Spadacape był Włochem. Rzym zaś słynął ze swych trucicielki i Cyganów. Być może wierny sługa księżnej znał dobrze ten zapach, zbladł bowiem i zaklął po włosku.

Porwał wariatkę za rękę i ścisnął.

Margentyna zaczęła krzyczeć z bólu i wściekłości, potem zwyciężona upuściła sukno, które Spadacape kopnięciem nogi odrzucił w róg pokoju.

— Zachowuj się spokojnie — rzekł do Margentyny — w przeciwnym razie zwiążę ci ręce.

— Chcę jej założyć maskę! — krzychała wariatka.

— Dlaczego?

— Żeby przestała być piękna! Żeby nie była taka, jaka jest teraz! Żeby nikt nie mógł jej poznać! Chcę założyć jej maskę.

— Uczynisz to jutro! Dopomogę ci!

Uspokoila się.

— Naprawdę?

— Przysięgam.

Wariatka zaśmiała się, potem nagle, jakby siły odmówiły jej posłuszeństwa, upadła na podłogę, przyczołgała się do kąta, przykucnęła tam i, dziwnie łagodnym głosem, zaczęła nucić cichutko starą kołysankę.

— Biedna kobieta — szepnęła Beatrix, przyglądając się jej badawczo.

W tej chwili Hiletka odzyskała przytomność.

— Moje dziecię — rzekła księżna — czy czujesz się na siłach, aby pójść ze mną?

— Och! tak, pani. Zabierz mnie. Boję się!

— Nie bój się już niczego.

Wzięła dziewczynę wpół i poprowadziła ją do drzwi. Margentyna dostrzegła to. Porwała się z miejsca ze straszonym rykiem:

— A więc zabieracie mi ją! Nie chcę! Kim jesteście? Dlaczego tu przyszlście?

Beatrix odwróciła się w jej stronę.

— Uspokój się pani... — rzekła. — Nie życzę ci nic złego.

Głos jej był tak słodki, brzmiało w nim tyle dobroci, że wariatka zdumiona, niepewna padła na kolana.

— Jeśli mi ją zabierzecie, co ja pocznę?

— Biedna kobieta! — szepnęła Beatrix.

— Och! pani — wtrąciła Hiletka — nie opuszczaj mnie!

— Nie, nie, moje dziecko, nie opuszczę cię. Ale — rzekła zwracając się do Margentyny — zdajesz się żałować, że ta dziewczyna cię opuszcza, a jednak chciałaś zrobić jej krzywdę...

— Dlaczego mówisz pani do mnie tak łagodnie? — mruknęła wariatka. — Kto pani jesteś?

Beatrix odpowiedziała:

— Jestem skrzywdzoną matką... czy rozumiesz mnie?

— Skrzywdzoną matką? Dlaczego?

— Bo muszę szukać mego dziecka, które mi zginęło.

Wariatka spojrzała na nią dziwnie, oczy jej napełniły się łzami.

— Ach! — rzekła — pani szukasz dziecka. W takim razie ulituj się nade mną, bo i ja szukam mego dziecka. I wiesz co? Obiecano zwrócić mi moją córkę, jeśli zrobię jakąś wielką

krzywdę tej oto dziewczynie... i ja mam córkę! Gdzie ona jest? Ja nie wiem. Może już umarła...

Ukryła głowę w dłoniach, potem z konwulsyjnym szlochom zaczęła powtarzać:

— Umarła! Umarła!

— Biedna matka! — pomyślała Beatrix. Zawahała się przez chwilę.

Wobec tego, że wariatka pogrążyła się w bólu, jaki jej sprawiała myśl o śmierci córki, Beatrix „bez przeszkód pociągnęła za sobą Hiletkę, dając znak Spadacape'owi, aby szedł za nią.

Ten położył na kulawym stole nędznego mieszkańka sakiewkę pełną złota, potem po przeczekaniu paru chwil spojrzął raz jeszcze na wariatkę, zszedł ze schodów i stanął przy księżnej w momencie, gdy wsadzała Hiletkę do powozu.

Spadacape usiadł przy woźnicy i powóz ruszył pędem w kierunku pałacu.

W chwili, gdy Beatrix odjechała sprzed domu wariatki, mężczyzna i kobieta ukryci w jednym z ciemnych zakątków ulicy, której nieprawidłowo stojące budynki tworzyły moc takich kryjówek, przyglądali się z zaciekawieniem księżnej i młodej dziewczynie.

Była to Gypsie, ta sama kobieta, która przepowiedziała Beatrix przyszłość. Towarzyszył jej Tytus Neapolitańczyk.

— I jesteś pewna tego, coś mi powiedziała? — zapytał Neapolitańczyk, gdy powóz zniknął za rogiem.

Gypsie wzruszyła ramionami.

— Idź, mój synu — rzekła — idź... jeśli jesteś inteligentnym



chłopcem, jak przypuszczam, skorzystasz z moich informacji.

Rzuciła przenikliwe spojrzenie na Tytusa i dodała, cedząc wyrazy:

— Sądzę, że niektóre osoby drogo zapłaciłyby za to, by się dowiedzieć tego, o czym z tobą mówiłam.

— Jakie osoby? — zapytał Neapolitańczyk z naiwnym wyrazem twarzy.

— Czy ja wiem? Na przykład prefekt.

— Dlaczego mówisz mi o nim, matko Gypsie... nie znam go! — zawołał z żywością Tytus.

— Przecież nie mówię, że go znasz.

— Jestem zbyt wielkim nędzarzem, aby mieć odwagę zaczepić człowieka takiego jak prefekt.

— To się rozumie. Wymieniłam prefekta tylko jako przykład. Jestem jednak pewna, że i on dałby dużo temu, kto powiedziałby mu o pobycie matki Manfreda w Paryżu i o prowadzonych przez nią poszukiwaniach!

— Jesteś więc pewna, że się nie mylisz?

— Znałam księżnę Alma, matkę księżnej Beatrix. Znałam jej ojca. Mieszkałam przez dziesięć dni przy księżnej i jej mężu, kawalerze de Ragastensie wówczas, gdy uprowadzono im syna.

— Musisz dużo wiedzieć o tym porwaniu matko Gypsie?

— Nic więcej ponad to, co ci powiedziałam.... nic więcej ponad to, co ty wiesz o panu de Monclar, prefekcie Paryża...

— To wystarczy, matko Gypsie! Zobaczę... pomyślę... sprawa poważna...

Gypsie odeszła.

Skręcając w ulicę wiodącą do Dzielnicy Cudów, odwróciła się i ujrzała Tytusa Neapolitańczyka przebiegającego pędem na drugą stronę ulicy.

Uśmiechnęła się szepcząc:

— Za godzinę prefekt będzie już wiedział o wszystkim.

W powozie Hiletka porwała w swe ręce dłoń księżnej Beatrix:

— Pani — zawołała — jak mam tobie dziękować! Ocaliłaś mi życie!

— Zamilcz moje dziecię... wypocznij... za chwilę porozmawiamy. Pozwól mi jednak zadać ci jedno pytanie... jedyne...

— Mów pani...

— Czy to ty, wołając pomocy, wymówiłaś pewne imię?

Hiletka zarumieniła się.

— Wzywałaś Manfreda! — z tymi słowy księżna spojrzała na dziewczynę.

— Tak, pani — odpowiedziała Hiletka z prostotą. — To ja go wzywałam!

— To dobrze — rzekła Beatrix wstrząśnięta radością.

— Nie mów już nic więcej.

## ROZDZIAŁ XI

### WIZYTA RAGASTENSA U PREFEKTA

Po przybyciu do pałacu, księżna Beatrix zastała już Ragastensa, który, wróciwszy z Luwru, czekał na żonę z niecierpliwością, a nawet z niepokojem.

Księżna, promieniejąc radością, opowiedziała mężowi o swej przygodzie i przedstawiła mu Hiletkę. Ragastens nie czynił żonie żadnych wymówek za jej nieostrożność — uwagi takie z reguły były bezskuteczne. Uścisnął ją tylko czule i rzekł:

— Jesteś dzielniejsza i bardziej przedsiębiorcza ode mnie.

Potem zwrócił się do dziewczyny i podał jej ramię, aby ją zaprowadzić do wspaniałej jadalni.

Była to właśnie pora obiadowa. Przy stole gospodarze domu pilnowali się, by nie męczyć Hiletki pytaniami, choć spalała ich ciekawość. W tej chwili dziewczyna była dla tych pełnych subtelności ludzi jedynie ich gościem, którego należało zabawić i rozerwać.

Hiletka jednak zrozumiała ich ukryte życzenie i zwróciła się do księżnej:

— Pani — rzekła — czuję się dosyć silna, aby zacząć mówić

o rzeczach, które, jak sądzę, interesują panią i jej męża.

— Drogie dziecko! Mój mąż i ja chcielibyśmy bardzo dowiedzieć się niektórych szczegółów, a przynajmniej jednego. Lecz zanim postawimy to pytanie, powiedz nam, jakim sposobem znalazłaś się u tej niebezpiecznej wariatki? Nie masz już rodziców?

— Mam jeszcze ojca.

— A twój ojciec?

— Mój ojciec nazywa się Fleurial. Jest błaznem króla Franciszka I. Na dworze królewskim przewano go Tribouletem.

Mówiła o tym bez cienia pomieszanania. Ragastens i Beatrix spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

Tymczasem Hiletka opowiadała dalej, jak zaplanowali z ojcem ucieczkę z Luwru i o tym jak została podstępnie porwana przez nieznaną kobietę.

— Miałaś uciec z Luwru! — zawołał Ragastens.

Hiletka zawahała się z odpowiedzią.

— Moje dziecko — rzekła z żywością Beatrix — widzę, że masz jakąś tajemnicę, o której przykro ci jest mówić. Nie chcemy tobie sprawiać bólu.

— Rzeczywiście — rzekła Hiletka blednąc — trudno by mi było wytłumaczyć, jak zostałam więźniem Luwru. Nie potrafię myśleć bez przerażenia o nieszczęściu, które mogłoby spaść na mnie!

— Biedna mała! Lecz w takim razie ojciec twój nie wie, gdzie jesteś i co się z tobą stało!

— Niestety! To w tej chwili sprawia mi najsroższy ból! Ojciec kocha mnie bardzo i obawiam się, że moje zniknięcie może

być dla niego zbyt wielkim ciosem... Co pomyślał sobie, gdy się o nim dowiedział.

— Podejmuję się powiadomić go — rzekł Ragastens.

— Och! panie! Mój ojciec będzie pana błogosławił.

— Dziś jeszcze pójdę do Luwru. Uspokój się.

— Tak! Ale on jest również więźniem. Jeśli uda się panu zobaczyć z nim, opowie panu, z jakich powodów trzymano nas w pałacu pod czujną strażą.

— Nie myśl już więcej o tym, moje dziecko. Mój mąż zobaczy się z twoim ojcem i uda mu się na pewno znaleźć sposób połączenia was.

— Och, oby to było możliwe! — rzekła Hiletka, składając ręce jak do modlitwy.

— Uczynię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy! — zapewnił Ragastens. — Księżna poświadczy, że mam zwyczaj dotrzymywać słowa.

Hiletka była zachwycona. Nie mogąc znaleźć słów odpowiedzi, spojrzała tylko z wdzięcznością na Beatrix, która uściskała ją czule.

— Teraz przyszła chwila — rzekła księżna, czyniąca dotychczas bohaterские wysiłki, aby nie zadawać żadnych pytań dotyczących spraw, które ją tak gorąco obchodziły — przyszła teraz chwila zapytać cię o to, co nas interesuje najbardziej.

Wzruszenie ścisnęło jej gardło. Ragastens, jakkolwiek pozornie spokojny, był nie mniej wstrząśnięty.

— Mów, pani — zawołała Hiletka — będę szczęśliwa, mogąc pani wyświadczyć jakąś przysługę!

— Otóż — rzekła Beatrix — wzywając pomocy, wymówiłaś pewne imię...

- Manfred! — zawołała Hiletka mimo woli.
- Tak, moje dziecko. Przybyliśmy do Paryża, aby odszukać kogoś noszącego to imię. Ten Manfred, którego wzywałaś... którego znasz...
- Pani — wyjąkała Hiletka — znam go bardzo mało...
- Wzywałaś go jednak! — zawołał Ragastens zdziwiony.
- Żywy rumieniec jaki wykwitł na policzkach Hiletki, zdradził jej tajemnicę.
- Beatrix skinęła na Ragastensa, dając mu znak, aby się oddalił. Wtedy przygarnęła dziewczynę do siebie, szepcząc:
- Mów ze mną jak z matką. Kochasz go?
- Tak! — rzekła Hiletka cichutko.
- A mówisz, że znasz go bardzo mało?
- Przechodził czasem pod oknami domku, w którym mieszkałam z moim ojcem.
- Lecz rozmawiałaś z nim? Wybacz jednak, może te pytania sprawiają ci przykrość?
- Nie, pani — odparła naiwnie Hiletka — mówimy przecież o nim.
- Beatrix uśmiechnęła się. Hiletka mówiła dalej:
- Rozmawiałam z Manfredem tylko jeden raz w życiu. Te- go wieczoru, kiedy mnie ocalił.
- Ocalił?
- Od strasznego niebezpieczeństwa... mój ojciec opowie to pani.
- A powiedz mi, moje dziecko, w jakim może być wieku?
- Ma około dwudziestu, może dwudziestu pięciu lat.

— Jeszcze jedno pytanie, najważniejsze ze wszystkich... czy ów Manfred ma ojca i matkę? Czy też może w rozmowie z tobą powiedział coś takiego, co pozwoliłoby ci przypuszczać, że nie zna wcale swych rodziców?

— Nie wiem nic. Nie wiem, kim są rodzice Manfreda... nie wiem o nim, prócz tego, że jest dzielny aż do zuchwalstwa.

Beatrix przywołała męża i powiadomiła go o informacjach udzielonych jej przez Hiletkę. Ragastens z kolei opowiedział księżnej o audiencji u króla i nadmienił, że chce dziś złożyć wizytę prefektowi.

Postanowiono, że Hiletka pozostanie w pałacu. Księżna zabrała ze sobą dziewczynę, aby ją umieścić w przeznaczonym dla niej pokoju i pomówić z nią o synu.

O drugiej po południu Ragastens dosiadł konia i w towarzystwie Spadacape'a, pełniącego obowiązki koniuszego, udał się do pałacu prefekta.

Wchodząc do posępnego mieszkania, w którym, jak się zdawało, zamarło życie i w którym przesuwiała się cicho, podobna do milczących cieni, ubrana na czarno służba, Ragastens uczuł, że mróz przechodzi mu po plecach.

— To przedsionek Bastylii! — szepnął.

Prefekt wyszedł na jego spotkanie, czego z zasady nie czynił w stosunku do swych gości.

Zauważył, jak przykre wrażenie sprawiło na przybyłym jego mieszkanie.

— Mości kawalerze — rzekł — musisz mi wybaczyć ten smutek, jaki panuje w moim domu, ale dom jest nieraz odzwierciedleniem usposobienia jego gospodarza.

— To znaczy, panie hrabio, że dręczy pana jakiś wielki smutek?

— Tak, panie... zajmij pan jednak miejsce i mówmy o sprawie, która pana tu sprowadza. Prefekt nie ma prawa być człowiekiem...

Ragastens zadrzał po raz drugi. Monclar wymówił te słowa tak lodowatym tonem i z tak głębokim przeświadczeniem o ich słuszności, że zdawał się być rzeczywiście nie człowiekiem lecz zimnym automatem.

— Lituję się nad nieszczęśliwymi, którzy musieli przejść przez ręce tego widma! — pomyślał Ragastens siadając.

— Mości kawalerze — oświadczył Monclar. — Jego Królew-  
ska Mość oddał mnie do pańskiej dyspozycji, czekam więc,  
abyś mi powiedział, jaką powzięłeś decyzję.

— Doznaję uczucia wstrętu na myśl, że mam wejść w kon-  
takt z którymś z tych złodziei. Z... owym...

— Tricotem!

— Tak! Z owym wstrętnym rzezimieszkim, który zdradza  
swoich...

— Służąc królowi! — przerwał Monclar sucho.

— Możliwe, panie hrabio. Lecz, widzi pan, przyjeżdżam z  
daleka. Już przeszło dwadzieścia lat mieszkam poza granicami  
Francji. Nauczyłem się więc myśleć inaczej. Tricot, przywódca  
złodziei, nie interesowałby mnie wcale, byłby mi zupełnie obo-  
jętny. Lecz Tricot, przywódca złodziei, zdradzający swych to-  
warzyszów, jest w mych oczach wielką kanalią.

Monclar uczynił ruch, którym chciał powiedzieć:

— Mało mnie to obchodzi... przejdźmy dalej!



— A więc — kontynuował Ragastens — Tricot budzi we mnie wstręt. Lecz jakkolwiek silne jest to uczucie i jakkolwiek postępowanie tego człowieka niewymownie mnie oburza, wolę jednak mieć z nim do czynienia, niż użyć broni przeciw ludziom, którzy mi nic złego nie uczynili.

— Mogę sądzić — rzekł powoli Monclar — że gdyby zaszła potrzeba, nie stanąłbyś pan po naszej stronie w walce z tą bandą opryszków?

— Mój panie, ci opryszkowie robią swoje, a ja swoje!

— Nie mówmy więc o tym. Jego Królewska Mość będzie zrozpaczony dowiedziawszy się, że nie ujrzy pana w szeregach obrońców prawa i sprawiedliwości.

— Zapewniono mnie — rzekł Ragastens wyniośle — że Jego Królewska Mość niczego tak nie ceni jak prawdę. Przenosi ją nawet ponad prawo. Jeśli to prawda, zrozumie i pochwali moją rezerwę...

Monclar przygryzł wargi.

— Wróćmy więc do Tricota — oświadczył posępnie. — Kiedy chcesz pan się z nim widzieć?

— Jak najprędzej. Dziś jeszcze, jeśli to możliwe.

Prefekt zadzwonił. Wszedł urzędnik, jak cała służba pałacowa odziany na czarno.

— Przysłać tu człowieka, który czeka w przedpokoju — rzekł prefekt.

Urzędnik zniknął. Po chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich Tricot.

— To on? — zapytał Ragastens.

Monclar skinął głową.

Tricot zbliżył się zgięty w ukłonie: Jego chytre oczy wpiły się

w Ragastensa ciekawie, co zdziwiłoby go na pewno, gdyby był mniej zajęty swymi myślami.

— Tricot — rzekł Monclar — oto pan, cudzoziemiec, który jest przejazdem w Paryżu. Chciałby obejrzeć wszystkie osobliwości miasta i Dzielnicy Uniwersyteckiej. Między innymi chce zwiedzić Dzielnicę Cudów. Czy podejmujesz się zaprowadzić go do swego królestwa i zadbać, aby nie przytrafiło mu się tam nic złego?

Tricot rozpląszczył się w ukłonie.

— Obiecuję pokazać wielmożnemu panu cudzoziemcowi wszystkie osobliwości naszej Dzielnicy Cudów i odpowiadam za to, że go nie spotka nic złego... o ile...

— O ile? — zapytał Monclar z surowością, która mogłaby się Ragastensowi wydać przesadna.

— O ile — ciągnął dalej Tricot — nie znajdą się na naszej drodze dwaj bandyci... dwaj prawdziwi bandyci...

— Ba! — rzekł Monclar. — Jest więc jeszcze ktoś w Dzielnicy Cudów, kto nie podlega twej władzy, panie Tricot?

— Tak, panie — ci dwaj, o których myślę!

— A cóż w nich widzicie tak straszego?

— Panie, to dwaj zuchwali nicponie! Pan prefekt przyzna chyba, że od czasu, gdy mam zaszczyt być u niego na służbie, od czasu gdy się wyparłem zbrodni, a przeszedłem do obozu cnoty, nawróciłem już niejednego grzesznika. Tylko ci dwaj, o których wspominałem, są głusi jak pnie na moje perory... nic ich nie jest w stanie wzruszyć...

Ragastens tak był pogrążony w słuchaniu tego, co opowiadał

Tricot, że nie zauważył wcale znaków dawanych włóczędze przez prefekta. Tricot mówił dalej:

— Ci dwaj nędznicy nie przestają organizować różnych zbrodniczych zamachów. Są nadzwyczaj odważni i wszystko im się zawsze udaje. Mogę zapewnić pana prefekta, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy nie było takiej kradzieży albo napadu na czyjś dom, do których ci dwaj nicponie nie przyłożyliby ręki...

— Tak, wiem o tym — potwierdził de Monclar. — Mam dokładne informacje na ten temat.

— A więc — ciągnął niestrudzony Tricot — odpowiadam za wszystko, jeżeli w drogę nie wejdzie nam Lanthenay...

— Lanthenay? — zapytał Ragastens.

— Tak — rzekł zimno Monclar — jest to jeden z owej groźnej pary złodziei, których tak barwnie scharakteryzował nam Tricot...

— Jeżeli nie spotkamy Lanthenaya — dokończył Tricot — i... Manfreda...

— Manfreda! — wykrzyknął głucho Ragastens.

— Coś się panu stało, mości kawalerze? — rzekł Monclar. — Zbladłeś...

— Bynajmniej! — rzekł Ragastens. — Mów dalej... to bardzo ciekawe.... Powiadasz więc, że Manfred...

— Ten Manfred to niewątpliwie największy łotr, jakiego ziemia nosi albo przynajmniej jakiego posiadała Dzielnica Cudów. Ot, na przykład, widziałem na własne oczy, jak ten łobuz zasztyletował jakąś biedną kobiecinę, za to tylko, że mu niedostatecznie szybko wręczyła pieniądze, z których chciał ją ograbić.

Ale robił on rzeczy jeszcze lepsze.

Tu Tricot zamilkł na chwilę.

— Mów dalej — rzucił rozkaz Monclar. — Widzisz przecież, że nasz czcigodny cudzoziemiec słucha z zaciekawieniem twego opowiadania.

Ragastens skinął głową potakująco, a Tricot zabrał znowu głos:

— Ja sam jestem niezłym łajdakiem, i jakkolwiek żałuję szczerze za wszystkie popełnione przeze mnie łotrstwa, wiem, że mało jestem wart w oczach porządnym ludzi... Jednak, przysięgam na rany Boga, że nigdy nie uczyniłbym tego, co zrobił Manfred, a co widziałem na własne oczy.

— Cóż takiego?

— Panie, nigdy bym się tego nie spodziewał, bo to jest zbyt ohydne. Ale skoro mam mówić całą prawdę... A więc! Manfred... zamordował własną matkę!

Ragastens porwał się z miejsca. Zbladł jeszcze bardziej. Wyraz „matka” zadał mu straszliwy ból.

— Ach, wielmożny panie — pośpieszył dodać Tricot — zbrodnia ta oburzyła pana, nieprawdaż?

— Mów dalej! — przynaglał Ragastens, odzyskując pozorny spokój.

— Oto jak się stało! Pewnego dnia, będzie temu dwa lata, Manfred poszedł do swego ojca.

— Do ojca! — wykrzyknął Ragastens.

— Tak, do ojca! Zażądał od niego pieniędzy, które stary trzymał w jakimś schowku i z których czerpał na swe codzienne

wydatki. Staruszek odmówił. Manfred porwał więc za kij i zaczął okładać nieszczęsnego starca.

— Swego ojca?

— Tak, swego ojca! — powtórzył Tricot. — Wtedy wmieszała się matka. Manfred, nieprzytomny z wściekłości, wydobył sztylet i uderzył nim biedną kobietę...

— Swoją matkę!

— Tak, wielmożny panie, swoją matkę! Stało się to właśnie w chwili, kiedy wszedłem do ich mieszkania, niestety, trochę za późno! Nieszczęsna zmarła w godzinę potem. Ojciec zaś zmarł ze zmartwienia w trzy miesiące po śmierci żony. Nieprawdaż, wielmożny panie, że to okropne?

Tricot był poruszony.

— To potworne! Ale powiedz mi, czy jesteś pewien, że ten starzec i ta kobieta byli naprawdę rodzicami... Manfreda?

— A dlaczegóż nie mieliby być — zapytał Monclar, spoglądając badawczo na Ragastensa.

— Czyn ten wydaje mi się tak przeciwny naturze...

— Ach! mości kawalerze! — zawołał ironicznie prefekt — widzę, jak mało znasz pan tych ludzi, przeciw którym nie chciałeś podnieść broni! Zdolni są do najgorszych zbrodni i przytoczony przez Tricota przykład nie jest odosobniony.

Tricot zapewnił skinieniem głowy:

— Mogę potwierdzić jak najsolennie, że Piotrusiowa była matką Manfreda.

— Piotrusiowa?

— Tak... żona Piotra kamasznika... ta, którą zabił Manfred.

Ale — dodał z odrażającym uśmieszkiem — nie przysięgłbym tylko, że Piotruś był jego ojcem, albo przynajmniej jedynym ojcem... Powiadano, że Piotrusiowa była kiedyś piękna...

— Już dobrze, mości Tricot — przerwał mu prefekt lodowatym tonem — nie obchodzą nas te szczegóły... Kawalerze, może zechcesz wydać temu człowiekowi rozkazy?

— To niepotrzebne! — rzekł Ragastens, wstając z miejsca.

— Co pan mówi?

— Mówię, że zrezygnowałem z wyprawy do Dzielnicy Cudów.

— Panie — zawołał Tricot — jestem w rozpacz... może przesadziłem trochę, mówiąc o wpływach Lanthenaya i Manfreda. Poradzę sobie z nimi... niech pan będzie spokojny...

— Milcz, nędzniku! — warknął kawaler.

— Przecież ponoszę stratę! — jęknął płaczliwie Tricot. — Liczyłem na hojność wielmożnego pana, na to, że nie omieszka wynagrodzić mnie za moje trudy... — wyciągnął rękę, rzucając na Ragastensa bezczelne spojrzenie.

Najlepszą nagrodą byłyby... dobre kije! — pomyślał kawaler.

Zwrócił się do prefekta:

— Panie hrabio, czy nie uważasz pan, że ten nicpoń nadużywa pozwolenia oddychania tym samym, co my — powietrzem?

Monclar skinął na Tricota, który opuścił pokój z oznakami

pokory. Lecz zanim zniknął za drzwiami, zerknął po raz ostatni na kawalera pełnym nienawiści wzrokiem.

— Upokarzasz mnie! — mruknął — chcesz szukać swojego syna w Dzielnicy Cudów i zaczynasz od upokarzania króla złodziei? Jesteś ojcem Manfreda — człowieka, którego nienawidzę! Dobrze więc, zobaczysz, co znaczy ściąganie na siebie nienawiści takiego jak ja, łajdaka! '

— Uff! Nie wytrzymałbym już dłużej! — zawołał Ragastens. — Cóż to za wstrętny i ponury typ bandyty! Jak możesz pan korzystać z usług takiego nieponia, panie hrabio!

— Prefekt musi wiedzieć o wszystkim, a więc —wszystkie środki są dobre! Lecz wróćmy do pana sprawy, kawalerze... Czy to opowieści Tricota, które są, nota bene, bardzo prawdopodobne, wpłynęły na zmianę pańskich projektów?

— Tak... przyznaję! — rzekł Ragastens dobrodusznie. — Muszę się jeszcze zastanowić i pozwolę sobie zjawić się u pana za kilka dni, aby mu zakomunikować wynik mych przemyśleń.

— Czy długo zabawi pan w Paryżu? — zapytał prefekt pośpiesznie.

— Może około trzech miesięcy. Wyznam panu, że nie raz jeszcze będę pana nudzić swą osobą.

— Jestem cały do pańskich usług — oświadczył Monclar skwapliwie. — Ale, ale, mości kawalerze, gdzie pan zamieszkał? Rozumie pan, jeśli usłyszę coś o pańskim synu — Ludwiku... Ludwik ma na imię, nieprawdaż?

— Takie daliśmy mu imię — odparł Ragastens, któremu

dziwny ton prefekta, jakim wymówił to imię, zmroził krew w żyłach.

— A więc, jeśli dowiem się czegoś o nim, uprzedzę pana o tym niezwłocznie...

— Świetna myśl! Wynająłem na trzy miesiące pałacyk przy ul, des Canettes, niedaleko od Notre-Dame.

— Ależ ja znam ten dom — rzekł Monclar ze zdziwieniem — ta pańska rezydencja należy, jak mi się zdaje, do rodziny Montmorency...

— Istotnie — odparł skromnie Ragastens. — Pałac jest obszerny, zgadzam się, ale to zaledwie biedne mieszkancko przy olbrzymich i wspaniale urządzonych pałacach włoskich, do których przyzwyczajona jest pani Ragastens.

Prefekt skłonił się, nie dając żadnej odpowiedzi.

— Żegnaj więc, panie hrabio — odparł Ragastens dobrodusznie — i... czekaj pan wkrótce na moją wizytę...

Hrabia de Monclar wyciągnął do niego rękę, której kawaler dotknął końcami palców. Drgnął. Ręka ta była lodowata jak ręka trupa.

Ragastens wsiadł pośpiesznie na konia i klusem ruszył do swego pałacu.

W pięć minut po jego odjeździe prefekt siedział już w karo-  
cy, która go miała zawieźć do Luwru.

W chwili, gdy chciał zatrzasać drzwiczki powozu, Tricot ukryty dotychczas w stajni, zbliżył się zgięty w pokornym ukłonie.

— Czy wszystko powiedziałem, co miałem powiedzieć, panie prefekcie? — zagadnął szeptem.

— Tak, masz dobrą pamięć, niczego nie zapomniałeś. Pójdź dziś wieczór do mego intendenta i każ sobie wypłacić dziesięć



talarów w złocie. Uprzedzę go — nie będzie ci robił żadnych trudności. Podzielsz się jednak z Tytusem. Gorliwość tego chłopca musi być nagrodzona. Tricot potrząsnął głową.

— Panie prefekcie — rzekł — podejmę owe dziesięć talarów i oddam je w całości Neapolitańczykowi, nie zatrzymując dla siebie ani grosza.

— Co takiego? Czy uważasz tę sumę za niedostateczną?

— Nagroda jest wspaniałą — rzekł z ironicznym uśmiechem król złodziei — pozwolę sobie jednak zrobić pokorną uwagę, że nie muszę szukać pieniędzy w służbie u pana prefekta i króla jegomości, lecz znalazłbym je...

— Masz słuszność! Żebracy nakładają haracz na Paryż. Złodzieje z Dzielnicy Cudów doją żebraków, a ty drzesz skórę ze złodziei...

— Tym sposobem każdy ma to, co mu się należy...

— Czego więc chcesz?

— Wielmożny pan obiecał mi, że w nagrodę za moje usługi będę mógł asystować przy egzekucji Manfreda i Lanthenaya w dniu, kiedy przy łaskawej pomocy kata oddadzą diabłu swe zacne dusze. Teraz chcę prosić wielmożnego pana jeszcze o jedną łaskę.

— Mów.

— Chciałbym w tym dniu zastąpić kata.

Monclar wzdrygnął się. On — którego już nic nie było w stanie zdziwić — spojrział na Tricota z zaciekawieniem. Tak straszna nienawiść zdała mu się być wypadkiem godnym uwagi.

— Zobaczymy — odparł.

— Panie! życie za życie! Oddaję panu swoje... oddaj mi ich życie... w przeciwnym bowiem razie...

Monclar w zamyśleniu pochylił głowę. Gdy podniósł wzrok na Tricota, wyczytał w twarzy złodzieja tak silną nienawiść, że uczył mimo woli dreszcz trwogi.

— A więc — rzekł swym grobowym głosem — zgoda, ty wykonasz wyrok na tych ludziach.

— Dzięki ci, panie! — szepnęła Tricot, pochylając się w ukłonie.

Na dany przez Monclara znak powóz ruszył jak strzała. Nie upłynął kwadrans, kiedy prefekt wchodził do gabinetu Franciszka I.

— Jakie przynosisz nowiny? — zapytał król z niepokojem. — Czy jesteś na tropie?

— Niestety, jeszcze nie! Nie mam pojęcia, co mogło się stać z księżną de Fontainebleau.

Król westchnął. Wstał z fotela i zaczął przemierzać gabinet wielkimi krokami, marszcząc groźnie brwi. Dręczyła go uparta myśl. Walczył z nią czas jakiś, wreszcie zdecydował się:

— Czy wybadałeś starą Saint-Albans?

— Tak, Sire.

Cień uśmiechu przebiegł po bladych ustach prefekta. Dodał:

— Istotnie, prawda kryje się tutaj!

— A więc?

— A więc, Sire, stara Saint-Albans musiała działać z ramienia jakiejś bardzo ważnej osobistości... milczy bowiem jak grób.

— Na Boga! — zachnął się król — przypuszczasz więc

naprawdę, że ktoś na dworze był zainteresowany tym, aby usunąć Hiletkę?

— Nic nie przypuszczam, Sire. Mówię tylko, że Saint-Albans milczy... ona, która zwykle paplała jak sroka...

— A więc mój panie — ozwał się nagle król — są jednak metody postępowania z ludźmi, którzy nie chcą nic mówić, podczas kiedy mogą mieć dużo do powiedzenia! Zarządza się wtedy...

Urwał... jeszcze się wahał.

— Sire — rzekł zimno Monclar — ludzi, którzy odmawiają zeznań, wydaje się na tortury. Czy to miałeś mi do powiedzenia, Wasza Królewska Mość?

— Dlaczego ta stara wariatka nie chce gadać?

— Sire! Nie mów już o tym. Jutro pani Saint-Albans przemówi...

— Rób, jak będziesz uważał za stosowne, mój prefekcie! Ja nie chcę być otoczony siecią spisków! Gorze temu, który pozwoli sobie tak zadrwić ze mnie!

— Czy tylko temu, Sire?

— I tej również! — fuknął groźnie król... — jakakolwiek byłaby jej pozycja.

Księżna d'Estampes jest zgubiona! — pomyślał de Monclar.

— Idź, mój Monclarze — rzekł król, żegnając prefekta — i ...pośpiesz się z zakończeniem tej sprawy.

— Sire, postaram się załatwić ją jak najpomyślniej. Przybyłem tu jednak z myślą porozumienia się z Waszą Królewską Mością w innej jeszcze materii...

— Cóż tam znowu?

— Sprawa Dzielnicy Cudów.

— Mój prefekcie — rzekł król z dobrotliwą miną, jaką lubił czasem przybierać. — Czy tak ci zależy na wymordowaniu tych żebraków?

— Nie zależy mi na tym wcale — odparł lodowatym tonem. — Zależy mi jedynie na tym, by święty majestat królewski nie był bezkarnie poniewierany...

— Ejże, mój Monclar! Przyznaj się, że Dzielnica Cudów to ów mól, który cię gryzie. Zawzięty jesteś na tych złodziejasków za to, że, jak ich o to posądzasz, zabili ci syna. Zrozumiała nieważność! Lecz ostatecznie, skąd pewność, że to oni popełnili tę straszliwą zbrodnię?

Monclar milczał. Jego twarz zachowała swą posagową martwość. W szklanym wzroku nie dopatrzyłbyś się żadnego ludzkiego uczucia.

Król mówił dalej:

— Pomyśl tylko, jaki byłby to cios dla majestatu królewskiego, gdyby projektowana przez ciebie wyprawa nie udała się. Żebraków jest wielu, wszyscy dobrze uzbrojeni... A ostatecznie Dzielnica Cudów wyświadcza nam nawet pewne usługi. I mieszczenie, i chłopci drżą przed nią ze strachu, a drżąc ze strachu, u nas szukają opieki. Kto wie, czy tego dnia, w którym mieszczanin i chłop wyzbędą się lęku przed łotrzykami, czy tegoż samego dnia ten sam mieszczanin i chłop nie uczuje również mniej respektu dla króla?

— Wasza Królewska Mość rozumuje jak wytrawny polityk — rzekł Monclar.

— A więc podzielasz moje zdanie? — zapytał król z żywością.

— Ja, Sire? Alboż mam prawo dzielić lub nie dzielić

zdania Waszej Królewskiej Mości? Otrzymuję rozkazy i wykonuję je — oto wszystko! Czymże jestem? Maszyną. Wasza Królewska Mość każe mi pozostawić w spokoju żebraka Manfreda, który przyszedł żelżyć go w obecności całego Luwru...

— Monclar!...

— A może żebrak Manfred jest właśnie tą osobą, której szukamy... a może to on właśnie wykradł lub polecił wykraść księżnę de Fontainebleau...

— Nieba! Gdyby tak było!...

— Wasza Królewska Mość rozkazuje mi nie podnosić ręki na tego człowieka, który może już za jakieś trzy dni opuści Paryż wraz ze swym ojcem...

— Co mówisz? Wytłumacz się!

— Spełnię więc rozkaz, który mi wydano! — dokończył prefekt z niskim ukłonem.

— Monclar! — wykrzyknął król gorączkowo — wzywam cię do wyjaśnienia mi...

— Sire, sprawa jest bardzo prosta. Muszę przede wszystkim powiedzieć Waszej Królewskiej Mości, że był u mnie z wizytą pan de Ragastens...

— Co ma kawaler Ragastens do rzeczy? — zapytał król zdziwiony.

— To, że kawaler Ragastens przybył do Paryża, aby zwiedzić Dzielnicę Cudów. Zapytałem go, czy nie zgodziłby się do pomocy nam swą szpadą w walce z tymi żebrakami...

— No i?

— No i kawaler odmówił stanowczo. Szpada jego nie chce ci służyć.

Franciszek I zmarszczył brwi.

— Dobrze — mruknął. — To wskazuje, jaką mam przyjąć postawę wobec tego awanturника.

— Kawaler de Ragastens wmieszany jest w naszą sprawę w tym sensie, że poszukuje swego syna... którego mu ukradziono... no a ja... ja go odnalazłem!

— Któż to taki?

— To żebrak Manfred, Sire!

Franciszek I porwał się z miejsca:

— Jesteś tego pewny? — zawołał.

— Tak. Jestem również pewny, że kawaler Ragastens nie omieszka odnaleźć swego syna. Pewne jest, że zabierze go ze sobą; wreszcie pewne jest i to, że żebrak Manfred wszedł bezkarnie do Luwru, aby ci tam stawić czoła.

— Dosyć, Monclarze! Kiedy chcesz ruszyć na Dzielnicę Cudów?...

— Widzę, że Waszej Królewskiej Mości wraca, naturalnie zresztą, poczucie siły i dumy! Wszystkie rozporządzenia przyjęte są do wiadomości. Posunięcie to uda się bezwzględnie. Odpowiadam za wszystko.

— Dobrze. Data?

— Sire, podam ci ją jutro!

Z tymi słowy Monclar pożegnał króla i bez zbytecznego pośpiechu wrócił do swego pałacu.

## ROZDZIAŁ XII

### W CZYIM DOMU UKRYŁ SIĘ RAGASTENS?

Ragastens pośpiesznie powracał do domu.

Spadacape jechał za nim truchcikiem w przyzwoitym oddaleniu. Nie troszcząc się o to, że łamie przepisy etykiety, kawaler skinął na niego, rozkazując przysunąć się bliżej.

— Czy nie zauważyłeś przypadkiem, mój Spadacape, w domu prefekta pewnej ciemnej osobistości?

— Włos szpakowaty przerzedzony łysiną, spojrzenie niepewne, szczupły, beret zielony sukienny...

— Ten sam...

— Nie tylko go zauważyłem, ale chciałem właśnie pomówić o nim z panem...

— A więc...?!

— Otóż właśnie przywiązywałem mego konia przy słupie, gdy nagle zbliżył się do mnie mężczyzna w czerni. Był to marszałek dworu hrabiego de Monclara. Bardzo uprzejmie zaproponował mi wychylenie szklaneczki wina za pańskie zdrowie i za zdrowie swego pana.

— No, i naturalnie, pośpieszyłeś przyjąć zaproszenie?!

— Tak, panie! Poszliśmy z marszałkiem do służbowej izby. Ten marszałek, chociaż pozornie w żalobnym nastroju, w

gruncie rzeczy jest bardzo jowialnego usposobienia. Ślicznie otworzył flaszkę białego wina przypominającego smakiem chianti — pamięta pan? Ileśmy tego niegdyś wypili! Otóż byliśmy już przy trzeciej szklance i zacny marszałek właśnie miał ukreślić łeb drugiej z kolei butelczynie, gdy nagle do służbowego pokoju weszło owe indywiduum. Towarzyszył mu jakiś mężczyzna, w którym od razu poznałem jednego z mych rodaków, a nawet śmiem określić jeszcze ściślej — Neapolitańczyka.

— Mów dalej! — przynaglił Ragastens widząc, że Spadacape uczynił pauzę artystyczną.

— Zaraz, zaraz... chcę przypomnieć sobie dokładnie rozmowę tych nędzników, bo, jestem pewny, są to bandyci pierwszej klasy. Rozmowa ta tym bardziej mnie zastanowiła, że nicponie nie uważali nawet za konieczne mieć się na baczności. Rozmawiali zresztą po włosku i możliwe, że nie przyszło im do głowy, abym mógł znać ten język. Otóż, o ile sobie przypominam, mówili do siebie tak:

— „Zdaje mi się, że tym razem trzymam Manfreda mocno” — rzekł mężczyzna w zielonym berecie.

— To Tricot — wtrącił Ragastens.

Spadacape opowiadał dalej:

— „Czy cudzoziemiec jest na górze?” — zapytał Neapolitańczyk.

— „Tak” — odparł ten, którego nazwałeś pan Tricotem — „pan prefekt da mu twardy orzech do zgryzienia”.

— „A ty co na tym zyskasz?”

— „Będę mógł zemścić się na Manfredzie. No, a ty?”



— „Ja zadowolę się kilkoma ślicznymi talarkami. Ale za to na aferze z księżną d'Etampes zaokrąglę nieco mój chudy mie-  
szek!”

Tu dopiero para drabów zauważyła pewnie, że ich podsłu-  
chuję, bo nagle zamilkli, a za chwilę wezwano owego Tricota do  
prefekta.

Ragastens słuchał opowiadania uważnie. Potem zaległo  
milczenie. Aż do powrotu do domu nie zamienili już ze sobą  
ani słowa. Zsiadając z konia, Ragastens rzekł do Spadacape'a:

— Jakiego jesteś zdania o tym pałacu?

— Uważam, że jest wspaniały i zupełnie godny tego, by słu-  
żyć wielmożnemu panu za mieszkanie.

— Tak, lecz prefekt wie o tym, że tu mieszkam.

— A więc?

— A więc mam słuszne powody do przypuszczenia, że lepiej  
byłoby zamieszkać w jakimś innym miejscu, o którym nie wie-  
działby nic pan de Monclar. Spadacape, wyszukasz mi jakiś  
samotny domek, położony w przyzwoitym oddaleniu od cen-  
trum miasta, taki, w którym moglibyśmy czuć się zupełnie  
bezpiecznie. Dla całego świata, a więc i dla odźwiernego pała-  
cu, będziemy mieszkali w nim dalej... Czy zrozumiałeś mnie?

— Dziś jeszcze będzie pan mógł spędzić noc poza murami  
pałacu.

— Idź więc, mój przyjacielu i postaraj się załatwić wszystko  
jak najprędzej.

Spadacape udał się na poszukiwania, lecz tym razem pieszo.  
Jeźdźca na koniu widzą wszyscy, pieszy zaś może łatwo zginąć  
w tłumie.

Ragastens zastał w domu księżnę, która wyczekiwała jego powrotu z dobrze zrozumiałą niecierpliwością. Kawaler ograniczył się do zakomunikowania jej, że nie dowiedział się od prefekta niczego pewnego.

Musiał zastanowić się nad sytuacją. Dwie okoliczności zdziwiły go bardzo. Przede wszystkim podsłuchana przez Spadacape'a rozmowa. Świadczyła ona o tym, że istniała jakaś zmowa między prefektem a królem złodziei — Tricotem.

Zdumiewająca była także dziwna uporczywość, z jaką Tricot zapewniał, że zna rodziców Manfreda.

Wreszcie to pomawianie Manfreda o tyle nieprawości.

Ragastens widział młodzieńca tylko przez chwilę, a jednak coś mu mówiło, że człowiek ten nie jest zdolny do popełnienia zbrodni. Nie wyglądał na przestępcę! W takim razie, skąd to oskarżenie? Skąd ta chęć zohydzenia Manfreda w oczach Ragastensa, skąd ta chęć przeszkodzenia ich spotkaniu?

Nie mogąc znaleźć odpowiedzi, kawaler czuł, że coś knuje się przeciw niemu i Manfredowi.

Aby móc wyjaśnić tę tajemnicę, musiał mieć wolne pole do działania. Należało opuścić pałac, który z pewnością z rozkazu prefekta będzie obserwowany. Pogrążony w rozmyślaniach zbliżył się do okna wychodzącego na ulicę.

Nagle wzrok jego padł na żebraka; drgnął gwałtownie na widok jego twarzy. Żebrak ulokował się w pobliżu pałacu w jakiejś bramie. Był pozbawionym ręki kaleką. Poza tym na lewym oku miał czarną opaskę.

Ragastens wyszedł pośpiesznie z pałacu i idąc powoli

postarał się przejść tuż koło żebrzącego, który nie śpiesząc się, nasunął jednak silnie swój kaptur na głowę, zasłaniając twarz.

Kawaler zatrzymał się przy żebraku i zaczął grzebać po kieszeniach, chcąc obdarzyć go jakimś drobnym datkiem.

— Biedaku! — rzekł, wrzucając do jego drewnianej miseczki srebrny pieniądz — jakim sposobem straciłeś rękę?

— Na wojnie, mój dobry panie! — odpowiedział kaleka głuchym głosem.

— Straciłeś również i oko? Za dużo nieszczęść...

— Zawsze byłem pechowy...

— No, no, nie trzeba upadać na duchu...

— Oby Bóg panu wynagrodził, mój szlachetny panie!

Ragastens oddalił się wolnym krokiem, pokluczył sąsiednimi uliczkami i wrócił do pałacu.

Żebrak był ciągle na stanowisku, jakkolwiek zaczęła zapadać już noc.

— Teraz nie ma żadnych wątpliwości! — pomyślał Ragastens. — Prefekt kazał mnie obserwować. A więc nie chce, abym się spotkał z owym Manfredem! Dlaczego tak mu na tym zależy? Nie rozumiem! Ale tymczasem mam wielką ochotę połamać gnaty tej kanalii, którą tu wysłał na przespiegi!

Żebrakiem tym był nikt inny tylko Tricot.

Do pokoju wszedł Spadacape.

— Znalazłeś coś? — zapytał żywo Ragastens.

— Tak, panie, zdaje mi się, że uczyniłem dobry wybór...

— Dobrze... Zaprowadzisz nas...

Zaczekał jeszcze godzinę aż zapadła głucha noc. Potem uprzedził Beatrix, która bez sprzeciwu udała się w drogę.

Kobiety wsiadły do karocy. Jechała wolno, a Ragastens i Spadacape towarzyszyli jej pieszo. O kilkadziesiąt kroków za nimi postępował lokaj, wiodąc za uzdę dwa konie.

Spadacape wymienił woźnicy ulice, jakimi mieli mprzejeżdzać, obiecując wskazywać mu drogę.

Opuszczając pałac, Ragastens wyrzwał oknem. Żebrak siedział wciąż jeszcze na tym samym miejscu.

Gdy się już znaleźli u wylotu ulicy, Ragastens stanął i szybko się odwrócił. Żebrak postępował za nimi, a widząc ruch Ragastensa, uskoczył we wgłębienie jakiegoś muru. Spóźnił się jednak, bo zauważono jego manewr.

Ragastens skinął na Spadacape'a, a sam skierował się wprost na żebraka.

Ten przyłgnął do muru, jak gdyby chciał rozpląnąć się w przestrzeni.

— No i cóż, mój pocziwce, czy dobry miałeś dzionek?

— Nie zanadto, wielmożny panie — szepnął kaleka.

— A jakże się ma twoja ręka?

— Moja ręka?

— Tak... twoja ręka, przytroczona do boku, abyś mógł udawać bezrękiego. No, a twoje oko? Czekaaj, czekaaj, opada ci opaska...

Z tymi słowy Ragastens zamachnął się na odlew; zrzucił żebrakowi z głowy kaptur, a potem zerwał mu z oka czarną przepaskę.

— Uprawiasz swój fach po królewsku, mości królu złodziei!  
— krzyknął szyderczo.

Tricot podniósł kaptur, tłumiąc okrzyk wściekłości!

— Chcesz posłuchać mojej rady? — mówił dalej kawaler. —  
Ja idę tędy... a więc ty — tamtędy! I pamiętaj o tym, by nie  
wchodzić mi w drogę, bo do wszystkich diabłów, zduszę cię jak  
wstrętnego ślimaka!

— Nie rozumiem, wielmożny panie — bełkotał Tricot.

— Dobrze już! Nie wymagam od ciebie, abyś rozumiał! Żą-  
dam, abyś... się ulotnił i to bez chwili zwłoki!

Ragastens uczynił tak groźny gest, że tym razem Tricot  
przestraszył się naprawdę...

Wziął nogi za pas i zaczął uciekać.

Ragastens i Spadacape pozostali czas jakiś w miejscu, aby  
przekonać się, że nicpoń nie powróci.

Potem pewni, że nikt za nimi nie idzie, wrócili do karocy i  
dosiedli koni. Spadacape pojechał przodem wskazując drogę.  
Ragastens ochraniał tyły.

Zapadła głęboka noc. Otrąbiono już gaszenie ogni, gdy na-  
gle przewodnik dał znak, że przybyto na miejsce. Ragastens  
obejrzał się.

Stali na pustkowiu gdzieś w pobliżu Sekwany. Tuż przed  
nimi majaczyły kontury małego domku. Drzwi i okiennice były  
zamknięte. Na prawo zobaczył cegielnię.

— Dzielnica Tuileries! — szepnął. — Miejsce dobre.

Zsiadł z konia.

Spadacape tymczasem zapukał do drzwi, które otworzyły  
się po chwili. Stanęła w nich kobieta młoda i piękna, lecz bar-  
dzo blada. Trzymała w ręku zapaloną lampę.

Księżna Beatrix na jej widok nie mogła powstrzymać się od dreszczu przerażenia.

— Proszę wejść! — rzekła spokojnie.

Przybyli znaleźli się 'w bardzo elegancko umeblowanym przedsiionku.

Karocę odesłano do domu.

— Pokażę teraz mieszkanie — rzekła młoda kobieta.

— Pani — powiedział Ragastens — mój służący mówił pewnie, że chciałbym wynająć cały domek?

— Będziecie go też państwo mieli. Jutro już mnie tu nie znajdziecie. Możecie państwo mieszkać tutaj tak długo, jak wam się podoba.

— A jaka jest cena?

— Cena to rzecz nieważna. Służący pana mówił mi, że poszukujesz pan mieszkania pewnego i stojącego na uboczu. Może jestem w błędzie, lecz zdawało mi się, że chcesz się pan ukryć przed królewskimi siepaczami... To skłoniło mnie do ofiarowania panu gościny i to z całego serca...

Głos kobiety brzmiał głucho. Zdawało się — zżerała ją jakaś tajemna choroba. Mimo to jednak nie budziła współczucia, a raczej strach.

Hiletka instynktownie przytuliła się do Beatrix.

— Pani — rzekł Ragastens zdziwiony — dziękuję za gościnę ofiarowaną mi tak uprzejmie. Mylisz się jednak co do pobudek, jakie mnie skłoniły do szukania cichego, zakątka. Żona moja nieprzyzwyczajona jest do gwaru miejskiego, to jedyny powód...

Kobieta rzuciła przenikliwe spojrzenie na Ragastensa.

— A więc to potrzeba odosobnienia jest powodem — rzekła

lodowatym tonem — że pan i pański sługa jesteście uzbrojeni od stóp do głów? Lecz nie obawiaj się pan. Czy się pan ukrywa czy nie, mało mnie to obchodzi. Od jutra ten dom będzie stał pustką. Jest mi obojętne, czy ktoś w nim zamieszka czy nie. Jeśli jednak ukrywa się pan przed zbirami królewskimi i jeśli, ofiarując panu gościnę, mogę wyrzucić tym królowi chociaż małą przykrość — tym lepiej!

— Jesteś pani odważna, mówiąc w ten sposób o królu Francji i to wobec nieznajomych... któż pani zaręczy, że słowa te nie dojdą do uszu Franciszka I?

— A gdyby nawet? — rzekła kobieta ostro. — Nie boję się niczego, mój panie! Ale tak się nie stanie... nie wyglądasz pan na człowieka, który zdradza.

Ragastens uklonił się w milczeniu, obiecując sobie w duchu mieć się na baczności wobec dziwnej gospodyni domu.

Po zwiedzeniu całego lokalu doszedł do przekonania, że wybór był świetny i że Spadacape miał dobre oko. Zauważył jedynie, że w całym domu nie było żadnego służącego ani służącej.

Czyżby nieznajoma mieszkała sama?

— Jeszcze jedno pytanie — rzekł Ragastens, gdy zwiedzanie domu było skończone — dokąd i kiedy mam pani przesłać należność? i jaka to suma?

Miał słabą nadzieję, że może tym sposobem dowie się, jak brzmi nazwisko jego tajemniczej gospodyni.

— Kiedy? — odpowiedziała. — Kiedy się panu spodoba. Dokąd? Tutaj.

— A więc pani przyjdzie?

— Nie przypuszczam, żebym tu kiedykolwiek wróciła! — rzekła dziwnie głuchym głosem, który już na początku zdziwił Ragastensa.

— Więc jak to zrobić?

— Jeśli już panu tak bardzo zależy na zapłaceniu za mieszkanie, które panu chętnie ofiaruję, połóżysz pan swe pieniądze... chociażby... tam... na tym kominku. Uczynisz to przed wyjazdem.

Z tymi słowy tajemnicza pani skłoniła się i odeszła lekkim krokiem. Znikła jak cień.

— Dziwna kobieta! — szepnął Ragastens. — Może wariatka? Albo jakaś nieszczęsna, której gwałtowne cierpienie złamało życie?

Kobieta, która tak wspaniałomyślnie ofiarowała schronienie Ragastensowi, dotrzywała słowa — wczesnym rankiem opuściła dom. Nie oglądając się, nie rzucając nawet jednego spojrzenia na miejsce, w którym była szczęśliwa, w którym kochała i płakała, niewzruszona, zimna jak gdyby serce jej zamieniło się w kamień, odeszła spokojnym krokiem.

W godzinę potem pukała do drzwi domku przy wąskiej uliczce. Na wprost niego wznosił się kościół św. Eustachego. Budynkiem, do którego przybyła, był sławny lokal Maladry. A piękną kobietę, która przekroczyła jego progi, nazywano Kowalką.



## ROZDZIAŁ XIII

### WIĘZIENIE

Ówczesny Paryż obfitował w więzienia; każde zaś więzienie w rozmaitego rodzaju lochy.

Nawet w Luwrze było kilka podziemi, do których wtrącano ofiary nienawiści któregoś z wielkich panów, biskupów lub też samego króla. Były one skazane na powolną śmierć wskutek braku powietrza i przestrzeni.

Podczas gdy sale położone na piętrze rozbrzmiewały nieraz głośniejszymi wybuchami wesela, w podziemiach słychać było jęki, łączące się z piękną muzyką, która przygrywała bawiącym się.

Grand-Châtelet posiadało największy wybór cel więziennych. Nosiły różne miana. Jedną z nich nazwano „Rajem” dlatego pewnie, że siedzący w niej więźniowie znosili piekielne katusze. Była tu „Studnia”, był „Kij” — w którym kijami wypędzano z więźniów krnąbrność, była „Otchłań” i wiele, wiele innych. Większość tych cel przez cały rok prawie tonęła do połowy w wodzie.

Lecz perłą wszystkich była cela nosząca posępną nazwę — „Kres Radości!”. Wypełniały ją różnorakie gady. Co pewien czas zmieniano kolekcję żmij i ropuch, żywiących się nagromadzonymi odpadkami.

Paryż posiadał jeszcze bardzo dużo innych więzień, przede wszystkim: Bastylię, służącą za obronną fortecę Bramy św. Antoniego. Otoczona głębokimi rowami, składała się z licznych pokoi i cuchnących podziemi, w których w strasznych warunkach więźniowie przebywali do końca swych dni. Koniec ten na ich szczęście na ogół przychodził szybko.

Paryż miał również więzienie Nesle, więzienie „Prefektury Kupców”, „Fort Biskupi” podlegający biskupiej władzy — do niego najczęściej wtrącano ludzi, którzy narazili się władzy kościelnej. Więzień dla wrogów wyższych dostojników Kościoła nigdy nie było zbyt dużo.

Złą sławę miały także więzienia: Saint-Martin-des Champs, znajdujące się pod „opieką” klasztoru tegoż imienia; Temple, więzienie św. Genowefy, Saint-Magloire, Saint-Germain-dé-Prés, Montmartre i wiele innych. Ze wszystkich jednak więzień, w których ginęło z dala od świata tylu ludzi, prym dzierżyło Conciergerie.

Znajdowało się na Starym Mieście i stanowiło część zabudowań Pałacu. Jego dyrektorem był niejaki Gilles Le Mahu, rodzony brat oficera z Luwru, którego już znamy z poprzednich rozdziałów.

Zajmował on w narożnej wieży kawalerskie mieszkanie. Był tęgim mężczyzną, czerwonym na twarzy; nie gardził dobrym winem ani tłustym dowcipem. Czas, który miał niezajęty dręczeniem swych więźniów, spędzał na jedzeniu, piciu i spaniu. Poza tym nic go nie interesowało.

Do jednej z cel Conciergerie wtrącono Stefana Doleta. Z rozkazu Loyoli — nie umieszczono go ani w lochu, ani w studni z gadami.

Laskawość ta płynęła z innego źródła niż dobroć serca. Ot, po prostu nie mógł umrzeć w zapomnieniu. Miał posłużyć za przykład dla tłumu. Czekala go śmierć publiczna, w biały dzień, na jednym z największych placów — śmierć na stosie.

Zamknięto go też w zwykłej celi, której okna znajdowały się o parę stóp zaledwie powyżej poziomu Sekwany. Ściany jego więzienia ociekały przesiąkającą przez mur wilgocią, tworząc kałuże wody, sięgające nieszczęsnemu więźniowi po kostki.

Rzecz oczywista, że mimo pozornej wspaniałomyślności, nie omieszkano pomyśleć o koniecznych środkach ostrożności — przykuto więźnia do muru.

Powietrze do celi dostawało się przez wąskie okienko wychodzące na korytarz.

W korytarzu umieszczono trzech wartowników, którzy otrzymali rozkaz nie oddalania się ze swego stanowiska pod żadnym pozorem. Tym sposobem mogli w razie potrzeby wzajemnie się wspomagać. Był to również sprytnie pomyślany sposób uchronienia się przed przekupieniem jednego ze strażników, dwaj bowiem pozostali mogli go zadenuncjować każdej chwili.

Z korytarza do loszku wiodło sześć schodów. Tuż ponad drzwiami widniał rodzaj małego okienka z półkami. Raz na dzień okienko to otwierało się na parę sekund. Dolet widział wsuwającą się przez nie rękę. Ręka kładła na półce dzienną porcję czarnego chleba, wypiekanego z mieszaniny mąki żytniej, jęczmiennej i siczki; ta sama ręka stawiała na półce dzban z wodą. Aby sięgnąć chleba i wody na najwyższej półce, gdzie były zostawione, zakuty w łańcuchy Dolet musiał przejść

przez całą celę, wlokąc za sobą łańcuch. Gdy łańcuch się już całkowicie naprężył, należało pochylić się naprzód i wyciągnąć rękę. Z chlebem sprawa była łatwiejsza, lecz, chwytając dzban, Dolet przewracał go nieraz. Wtedy musiał obywać się bez wody przez całą dobę.

Pewnego dnia, kiedy to się zdarzyło, dostał gorączki. Nie mógł poradzić sobie z dominującym uczuciem pragnienia.

Z usposobienia był dumnym człowiekiem.

Już kilka razy przytrafiło mu się przewrócić dzban z wodą, nie wołał jednak strażników, nie prosił. Wołał cierpieć pragnienie niż się upokorzyć.

Lecz owego dnia gorączka, która go trawiła, stała się przyczyną nieszczęścia.

Wypił resztę pozostałej w dzbanku wody już przed kilku godzinami. Umierał z pragnienia; jego płonące gardło zaciskało się kurczowo — dusił się. Zaczął rachować uderzenia pulsu, aby obliczyć sekundy, które go dzieliły od momentu, w którym ujrzy wsuwający się przez okienko dzban z wodą.

Wreszcie upragniona chwila nadeszła. Dolet rzucił się do okienka zapominając o ostrożności i... zawartość dzbanka wyłała się.

Przez pierwsze kilka godzin milczał... Jednak z biegiem czasu siły jego zaczęły się wyczerpywać. Przyszła maligna. Nie wiedział już ani gdzie się znajduje, ani co robi... Zaczął błagać, nalegać, proponować majątek za szklankę wody.

Trzej strażnicy stojący na korytarzu słyszeli jego prośby

i błagania i, nawet oni, byli nimi wstrząśnięci do głębi. Jeden z nich wreszcie, nie mogąc dłużej znieść cierpień Doleta, udał się do Le Mahu.

— Co takiego? — rzekł — ów zacny człowiek żali się na to, że nie ma wody? Jest jej przecież pod dostatkiem na posadzce jego celi.

Co powiedziawszy, wybuchnął śmiechem, zadowolony ze swego dowcipu.

— Ostatecznie — myślał dyrektor — może przecież napić się bodaj tamtej wody... Nie jest ona kryształowo czysta, to prawda, lecz gdy się czuje pragnienie...

Szczegół ten charakteryzuje dostatecznie poziom moralny człowieka, któremu powierzono dozór nad nieszczęśliwymi więźniami.

Już dwanaście dni siedział Stefan Dolet w swej celi. Pewnego dnia jej drzwi się otworzyły, weszli dozorczy i, nie dając mu żadnych wyjaśnień, zdjęli z niego okowy, potem porwali go za ręce i powlekli za sobą.

Dolet zadrzał z radości.

— Na pewno — pomyślał — prowadzą mnie przed sąd. Sąd — to wolność, nie uczyniłem przecież nic złego.

Nadzieje jego umocniły się jeszcze bardziej, gdy go zaprowadzono do innej celi i przebrano w czyste ubranie. Łatwo jest zrozumieć, z jaką skwapliwością i zadowoleniem zrzucił z siebie cuchnące suknie.

Jeden z dozorców opowiadał później, że kiedyś, kiedy Dolet był jeszcze w swojej pierwszej, okropnej celi, otworzył pewnego razu po cichu okienko i ujrzał więźnia, który wsparty o mur, spał na stojąco, nie mając odwagi położyć się na mokrych i

zanieczyszczonych płytach podłogi. Doniósł o tym swym władzom, które orzekły, że więźniowi nie działa się ostatecznie tak bardzo wielka krzywda, miał bowiem co jeść i pić, no i mógł się przecież wyspać...

Ubrany w czyste odzienie zaczął się rozglądać po swej nowej celi. W porównaniu z dawną była luksusowa.

Przede wszystkim miała suchą podłogę, ponieważ znajdowała się na pierwszym piętrze Conciergerie. Dochodziło tam również powietrze i trochę światła, co prawda niezbyt obficie, bo między gęstymi kratami, przez które zaledwie można było przesunąć rękę... Dobiegał tam i gwar uliczny, co było dla Doleta niewymowną rozkoszą. Nadstawał chciwie uszu... Gwar ten mówił mu o życiu... o świecie, z którego go wyrwano, wrzucając żywcem do grobu...

W jednym z kątów celi leżała wiązka świeżutkiej słomy. Wreszcie drewniany taboret i stół dopełniały przepychu urządzienia.

Doletowi wydało się, że zmartwychwstał... To polepszenie warunków więziennych było dla niego jeszcze jednym dowodem, że wkrótce zostanie wypuszczony na wolność.

Drzwi celi zamknięto... Upłynęły dwie godziny. Więzień padł na wiązkę siana i z uczuciem rozkoszy usnął głębokim snem.

Od chwili przybycia do Conciergerie zmienił się nie do poznania. Wychudł straszliwie. Twarz jego nabrała woskowej błądności, policzki zaś i usta płonęły gorączką, która go trawiła.

Nagle zbudziło go gwałtowne pukanie do drzwi.

Zerwał się z posłania i ujrzał mężczyznę spoglądającego nań z miną pełną najwyższego zadowolenia. Był to Le Mahu.

Sześciu halabardników stało przy drzwiach, choć były starranie zamknięte.

Dolet zerwał się na nogi z radosną skwapliwością. Tym razem na pewno już poprowadzą go przed sąd.

— Gdzie odbędzie się rozprawa — zapytał.

— Rozprawa? — rzekł pan Le Mahu, podkreślając słowa swe dowcipnym uśmiechem. — Jaka rozprawa?

— Nooo... moja... Czy nie stanę dziś przed sądem?

— Nic nie rozumiem, co się panu ubrdało? — zaśmiał się Le Mahu.

Dolet pełen przygnębienia padł na taboret. Odpowiedź dozorca zadała mu bolesny cios.

— Mój panie — zapytał Le Mahu — czy nie masz jakiego życzenia?

— Żądam sądu...

— Lecz co, u diabła, przyjdzie ci po sądzie? Pilno ci usłyszeć wyrok, skazujący cię na karę śmierci? co?

Le Mahu wybuchnął głośnym śmiechem. Myśl, że więźniowi pilno jest do egzekucji wydała mu się bardzo zabawna.

Otarł oczy i mówił dalej:

— Nie o to pytałem... Chcę, abys potwierdził, że masz przyzwoitą celę, że żywią cię dobrze, nieprawdaż? że traktuje się ciebie łagodnie... Nie możesz się na nic uzalać?

Co?

— Nie!

— Myśle! Tam do diabła! słoma czyściutka, świeżutka...

No, no, ci dozorczy mnie zrujniają...

O poprzedniej celi zalanej wodą, nie było ani słowa...

Mahu jakby chciał wmówić w więźnia, że od samego początku swego pobytu w więzieniu nie zmieniał miejsca.

— Będziesz miał wizytę. Radzę ci w twoim własnym interesie wysłuchać w skupieniu słów świętego człowieka, który cię ma odwiedzić.

Gilles Le Mahu zakończył rozmowę i oddalił się, a za nim jego eskorta złożona z sześciu halabardników.

Dzień minął, lecz zapowiadany gość nie pojawił się.

Stefan Dolet gubił się w domysłach. Nie mógł zrozumieć, jakie powody skłoniły zarząd więzienia do polepszenia jego warunków... nie rozumiał również, kim jest gość, którego mu zapowiedziano.

Odwiedziny nastąpiły nazajutrz. W otwierające się drzwi najpierw wszedł La Mahu, poprzedzając jakiegoś mężczyznę, któremu okazywał najwyższy szacunek.

Mężczyzna ten, otulony w płaszcz zakonny z kapturem, skinął na dozorcę. Le Mahu szepnął:

— Wasza Wielbność może być spokojny, więzień nie pozwoli sobie na żaden czyn gwałtowny...

— Pozostaw mnie samego! — odparł zakonnik stłumionym głosem.

Jego dźwięk wstrząsnął jednak do głębi Doletem.

Le Mahu złożył niski ukłon, choć wypukły brzuch utrudniał mu wielce tę pełną uniżoności czynność, po czym pośpiesznie opuścił celę.



Mnich podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho, sprawdzając czy Le Mahu i halabardnicy oddalili się.

Wtedy dopiero odwrócił się w stronę Doleta i odrzucił z twarzy kaptur.

## ROZDZIAŁ XIV

### GLEJT

Nazajutrz po aresztowaniu Doleta czcigodny Ignacy de Loyola poprosił króla o audiencję. Prośba ta została niezwłocznie spełniona.

Mnich zjawił się w Luwrze o wyznaczonej godzinie.

Wprowadzono go do gabinetu królewskiego.

— No i cóż, jesteś waść zadowolony? — zapytał król.

— Twój Dolet już jest w więzieniu.

— Wasza Królewska Mość powinien się cieszyć jeszcze bardziej niż ja — odparł Loyola.

— A to dlaczego?

— Znaleziono u niego książki nie pozostawiają cienia wątpliwości co do tego, jakim człowiekiem jest ów pan drukarz. Zadrzałem na myśl, ile złego mógł on zdziałać, odwracając wiernych od ich matki — Kościoła.

— Otóż Wasza Królewska Mość przede wszystkim winien dbać o to, aby jego poddani pozostali wierni religijnym tradycjom.

— Masz rację — oświadczył z powagą Franciszek I.

— Teraz jednak jest już unieszkodliwiony.

— Dziękuję za to niebu, no i stanowczości Waszej Królewskiej Mości... lecz to jeszcze nie wszystko...

- A cóż może być jeszcze? — zagadnął król z niepokojem.
- Uspokój się, Sire, nie przychodzę żądać nowego aresztowania, jakkolwiek...
- Jakkolwiek... Dokończ, waść... Na Boga, jestem zdecydowany na wszystko, aby tylko móc zniszczyć w mym królestwie bunt i niewiarę, które w nim zaczęły kiełkować.
- W takim razie, Sire, jest jeszcze jeden człowiek, którego należałoby choćby dziś osadzić w Conciergerie albo w Bastylii...
- Któż to taki?
- Rabelais.
- Rabelais? Czcigodny uczoney, którego książki tak mnie nieraz bawiły...
- On właśnie. Lecz o tym pomówimy później, jeśli Wasza Królewska Mość raczysz mi na to pozwolić. Pracuję dla dobra Kościoła, Sire. A więc pracuję i dla dobra królów, którzy bez pomocy Kościoła niewiele by znaczyli...
- Mówisz, waść, jak prawdziwy zakonnik. Przejdźmy jednak do tematu, który cię tu sprowadza.
- Sire — rzekł Loyola pochylając się w ukłonie — nie mówię jak zakonnik. Mówię jak człowiek głęboko przekonany na skutek obserwacji i nabytego doświadczenia, że władza królewska nie jest oparta na żadnych poważnych podstawach, że opiera się ona jedynie na prawdzie Kościoła. Lecz nie rozmawiajmy o tym... Przechodzę do prośby, którą miałem do Waszej Królewskiej Mości... Sire, proszę o glejt, czyli kartę wolnego

wstępu, abym mógł odwiedzać o każdej porze i ile razy będę uważał za stosowne — n a s z e g o więźnia.

— N a s z e g o ! — zawołał król gniewnie, podrażniony nauceką, jaką mu dał straszliwy mnich — powiedz, waść t w o - j e g o . . .

— Sire — odpowiedział Loyola tonem ukrytej groźby — widzę, że się nie rozumiemy. Daj więc, Sire, rozkaz uwolnienia go i sprawa będzie załatwiona...

— Na Boga! Rzecz oczywista, że wypuszczę go, jeśli mi się tak będzie podobało! A zresztą, skąd pewność, że te książki wyszły z jego drukarni? Znam Doleta... To umysł, niespokojny, lecz nie wie co to strach... Gdyby to on wydał te przeklęte dzieła, które u niego, znaleziono, przyznałby się do tego!

Loyola nie zawahał się ani przez chwilę, inaczej Franciszek I kazałby na pewno wrócić wolność Doletowi.

Mądry mnich zrozumiał, że w duszy króla zrodził się bunt. Pojął również, że na bunt ten winien odpowiedzieć jeszcze gwałtowniejszą i jeszcze bardziej nieubłaganą stanowczością.

— Sire — rzekł cedząc słowa — przysięgam, że przeklęte księgi były wydane przez Doleta! Czy mam udać się do Rzymu i oświadczyć, że święta przysięga legata papieskiego okazała się mniej godna wiary niż słowa nieczystego kacerza?

Franciszek I wzdrygnął się i spuścił głowę.

Wojna z Papiestwem byłaby wojną z cesarzem Karolem V, z Hiszpanią, z Włochami, z Austrią, wreszcie z całą Europą.

— Wierzę waści — mruknął. — Lecz tylko twoja przysięga zdołała mnie przekonać... Czego więc chcesz?

— Pozwolenia odowiedzania n a s z e g o więźnia — powtórzył uparcie Loyola.

— W jakim celu?

— Aby nawrócić nieszczęśliwego. Pomyśl, Sire, co by to było za świetne zwycięstwo odniesione przez Kościół, a jednocześnie przez państwo, gdyby drukarz wyrzekł się swej niewiary, gdyby przyznał się publicznie do winy, gdyby wreszcie umarł, odbierając z rąk sługi Kościoła ostatnią posługę.

— Tak, tak... Wrażenie byłoby duże...

— Wynik byłby wspaniały... Lecz czy się go, waść, doczekasz? Dolet uparty...

— Odpowiadam za powodzenie, zwłaszcza jeśli zostanie wydany rozkaz, aby gubernator więzienia stosował się do wszystkich moich wskazówek.

— Jednym słowem chcesz, waść, otrzymać upoważnienie do poddania Doleta torturom?

Ignacy de Loyola kiwnął głową na znak zgody. Król milczał zamyślony.

— Niech się stanie! — rzekł wreszcie. — Wydam Monclarowi odpowiednie instrukcje.

— Sire, po co jeszcze osoby trzecie mają wiedzieć o tym, co postanowiliśmy? Pan prefekt jest człowiekiem pewnym, wypróbowałem go. Lecz to tylko człowiek... Przygotowałem rozkaz, który Wasza Królewska Mość jedynie podpisze i położy pod podpisem pieczęć.

Franciszek I zaczął czytać podsunięty przez Loyolę papier:

*Rozkaz wpuszczenia okaziciela niniejszego dokumentu i zezwolenia mu na porozumiewanie się z tymi spośród więźniów, z którymi będzie uważał za potrzebne się widzieć. Stosować się we wszystkim do jego rozporządzeń!*

Franciszek I podpisał, położył specjalną pieczęć, jakiej używał do uprawomocnienia tajnych dokumentów.

Loyola schował starannie cenny dokument, podziękował królowi z rycerskim wdziękiem, jak to zwykł czynić, gdy był z czegoś zadowolony, potem pośpiesznie opuścił Luwr.

Posiadał dostateczne bogactwo, aby zamieszkiwać bodaj w książęcym pałacu. Zresztą, mógł w każdej chwili poszukać gościny w jakimś biskupstwie lub klasztorze. Mimo to jednak, obrał sobie za siedzibę ruderę położoną w głębi ślepej uliczki noszącej nazwę: Zapluskwiona Dziura.

Zapluskwiona Dziura łączyła się z uliczką de la Huchette, ta zaś z innymi uliczkami wychodzącymi na lewy brzeg jednego z dopływów Sekwany.

Znalazł tu doskonałą kryjówkę, z dala od ludzkich oczu. Jednocześnie znajdował się w samym centrum swego pola operacyjnego: w pobliżu Luwru, Notre-Dame i Châtelet.

Zapluskwiona Dziura posiadała zaledwie parę domków, a raczej okropnych lepianek, zamieszkałych przez rybaków, fliśów i biedne dziewczęta, które z nastaniem wieczoru wychodziły

na włóczęgę dokoła sklepów znajdujących się na moście Św. Michała, w nadziei złapania jakiegoś strażnika lub studenta.

W najgłębiej stojącym domku tego nędznego zaułka zamieszkał Ignacy de Loyola.

## ROZDZIAŁ XV

### ZDZIWIENIE OBERŻYSTY GRÉGOIRE'A

W kilka dni po wizycie Loyoli w Luwrze, około czwartej po południu, w chwili, gdy zaczęto w oberży de la Deviniere zapalać lampy, dwaj stali jej bywalcy zasiedli przy stole, popijając w milczeniu miód. Stół, przy którym siedzieli, znajdował się tuż przy kominie, gdzie pieczono mięsiwa.

Gośćmi tymi byli Fanfare i Cocardére.

Dwaj włóczędzy, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek odrapani, mieli posępne miny i wzdychali na przemian.

Westchnieniom ich towarzyszyły poządlive spojrzenia, rzucone przez obu melancholijnie usposobionych pijaków na osadzone na różnie kurczęta, które obracały się i rumieniły, skwiercząc smakowicie.

Nie bez kozery nasi ichmościowie mieli tak grobowe miny.

Już od kilku dni wszystko im szło jak po grudzie. Czy to mieszczanie zaczęli mieć się bardziej na baczości, czy też strażnicy podwoili czujność, dosyć, że lotrzykom jał doskwierać głód.

Poza tym coś dziwnego działo się w okolicach Dzielnicy Cudów. Widziano spacerujących oficerów, którzy zdawali się



układać w myśli jakieś strategiczne plany. Zjawił się tam kiedyś nawet sam prefekt. W ogóle czasy były ciężkie...

Landry, synek pani Grégoire, siedząc okrakiem na belce, do której przywiązywano konie, zabawiał się zaczepianiem przechodniów i prawieniem im różnych głupstw, nie bacząc wcale na zacnego pana Grégoire'a, obiecującego mu uczciwe lanie.

— Patrzcie — krzyknął nagle mały łobuz — brat Thibaut i brat Lubin! Zawsze razem! Przysięgłbym, że wyszli od Maryśki Kowadła! Dobry wieczór bracie Thibaut! Jak się macie, bracie Lubin! Jak to? nie wstąpicie do nas? Powąchajcie tylko, jak pachną skowronki duszące się w rondlu! Wejdźcie, wejdźcie!

Głośnie klaśnięcie przerwało jego niefortunne zaproszenie. Był to odgłos policzka wymierzonego mu własnoręcznie przez pana Grégoire'a, który nie wzdychał bynajmniej do odwiedzin mnichów, bardzo złych płatników, lecz za to wielkich żarłoków i pijusów.

Landry spadł ze swej kurzej grzędę, wydając żałosne jęki, a jednocześnie śmiejąc się na całe gardło i wołając na złość ojcu:

— Wejdźcie, moi bracia! Jest zajac, jest świeżutki pasztet upieczony dziś rano, jest pularda, jakiej jeszcze świat nie oglądał...

Grégoire chciał zapchać chłopakowi usta. Niestety! było już za późno!...

Brat Thibaut i brat Lubin na wieść o zajacu nadstawili uszu, na słowo „pasztet” spojrzeli po sobie z rozczuleniem, a już

pularda rozmarzyła ich do reszty... zaczęli oblizywać się i łykać ślinkę.

Zbliżali się do drzwi oberży z wielką godnością i majestatem. Po wejściu do wnętrza teatralnym ruchem ręki pobłogosławili zgromadzonych gości. Zaraz potem zajęli miejsca przy stole.

Fanfare i Cocardére na ich widok zadrżeli.

— To nasi dwaj zakonnicy, pamiętasz?

— Tak! ci hołysze! świsnęliśmy im jedynie mizerną książczynę!

— Szczęśliwsi są od nas... Pan Grégoire daje im na kredyt...

W teje chwili oberżysta podszedł do zakonników, zwijając w palcach róg swego fartucha.

— Moi bracia — zapytał z niepewną miną — czym mogę wam służyć?

— Obiadem! — odparł Thibaut.

— Syn waćpana wspominał coś o pulardzie...

— I o jakichś duszonych skowronkach...

Grégoire stłumił jęk i pogroził ręką Landry'emu, który stojąc w głębi kuchni, pokazywał ojcu język.

Nie było rzeczą bezpieczną ściągać na siebie gniew braci zakonnych. Lecz jeszcze dotkliwiej dawał się we znaki niezaplącony rachunek.

Grégoire zważył w myślach wszystkie za i przeciw, a potem powziął bohaterską decyzję.

— Moi czcigodni bracia — rzekł — mógłbym ostatecznie dać wam wina, lecz niepodobna służyć wam obiadem, jeśli macie mi za niego nie zapłacić. Płacić! Tego wymagam od każdego klienta... zapytajcie tych panów!

— Niestety, tak jest istotnie! — odpowiedzieli Fanfare i Cocardére.

— A więc, bracia kochani, wierzajcie mi — umiem ocenić dostatecznie wielki zaszczyt, jaki splywa na mój skromny zakład, byłby on dostateczną zapłatą za...

Tu urwał nagle w połowie zdania...

Wytrzeszczył oczy... zaniemówił, tak dziwny ujrzał widok...

I rzeczywiście zaledwie rozpoczął swą przemowę, brat Thibaut sięgnął do trzosa i wyjął zeń całą garść złotych i srebrnych monet...

— Oho! ho! — zawołał oberżysta.

Zdarł z głowy myckę kłaniając się nią aż do ziemi, potem odwrócił się i kopnął nogę pacholka:

— Kpie jeden! — ryknął. — Czy nie widzisz, że ich wielbności życzą sobie wina?

W mgnieniu oka zastawiono stół najwyborniejszymi daniami; obaj zakonnicy przypięli się do jadła z powagą i przejęciem, z jakim każdy żarłok siada do stołu.

Lecz nie tylko Grégoire wytrzeszczył oczy: Fanfare i Cocardére zauważyli również całą scenę.

— Czy widziałeś? — zapytał Fanfare półgłosem.

— Pssyt! Chodźmy stąd! — odpowiedział Cocardére.

Obaj filuci zapłacili za swój miód i wyszli z godnością.

— Zrobili dobre pieniądze! — gwizdnął Cocardére, gdy już byli na ulicy.

— Niech tam! Byleby tylko gotówka przeszła z ich rąk do naszych.

— Istotnie! Zresztą należy nam się to w zupełności.

— Tak. Ci nędznicy zadrwili z nas wtedy, odpląćmy im dziś tą samą monetą.

— Czekajmy na nich!

Czekali długo, obiad zakonników przeciągnął się aż do szóstej. Nikt jednak nie jest tak cierpliwy jak myśliwy stojący na czatach.

Ujrzeni wreszcie braciszków zakonnych wychodzących z drzwi oberży, jeszcze bardziej majestatycznie niż wtedy, gdy do niej wchodzili.

Szli krokiem zbyt uroczystym i nienaturalnie pewnym, kierując się w stronę Sekwany.

Na ulicach było jeszcze dużo przechodniów.

Cocardère i Fanfare posuwali się ich śladem, wyczekując odpowiedniej chwili, aby się na nich rzucić.

Zakonnicy przeszli przez Sekwanę, zmierzając ku ulicy la Huchette.

— Dokąd ich diabli niosą? Klasztor jest przecie po przeciwnej stronie?

— Ano, zobaczymy...

Zaczęli podchodzić coraz bliżej do zakonników. Dostatecznie ciemna noc sprzyjała napaści.

Gdy jednak mieli już przystąpić do ataku, mnisi zniknęli nagle w czeluściach Zapluskwionej Dziury.

Cocardère i Fanfare mieli zaledwie tyle czasu, żeby zauważyć, iż tropieni przez nich zakonnicy weszli do małego domku położonego w głębi zaułka.

— No, no, do jakiejże to dziewczki udają się z wizytą? — zawołał Fanfare.

— Zaczekajmy na nich... Nie ma tak przyjemnej wizyty, która by się nie skończyła! I jakkolwiek jest to dziewczka łakoma

na grosz, pozostawi nam chyba coś niecoś, bodaj na dnie trzo-  
sa.

Bracia Thibaut i Lubin wdrapali się na schody z wielką pewnością siebie dowodzącą, że znali już tę drogę. W umówio-  
ny sposób zapukali do drzwi mieszczących się u szczytu scho-  
dów.

Drzwi otworzyły się natychmiast.

Weszli do wnętrza i mężczyźni, który ich wpuścił, złożyli  
głęboki ukłon:

— Przyszliście nareszcie — rzekł Ignacy de Loyola. — Je-  
stem z was zadowolony.

— Zbytek łaski, czcigodny ojcze...

— Nie, nie... świetnie załatwiliście tę sprawę z książkami.  
Dzięki wam, bracia moi, Kościół odniósł ogromne zwycięstwo.

— Deo gratias!

— Tak... Chwała Najwyższemu... Lecz również i wam, wam,  
którzy znaleźliście u tego przekłętego drukarza zakazane książ-  
ki...

Zakonnicy spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

— Wam — mówił dalej Loyola — którzy po ich odkryciu nie  
zawahaliście się przed zadenuncjowaniem przestępcy. Zasluga  
to duża, moi bracia, a sądzę, że nie omieszkacie zaświadczyć o  
tym, co się stało, przed ojcem oficjałem?...

— Ale...

— Będziecie świadczyć, powtarzam wam! Czy chcielibyście  
uchylić się od słusznie wam przysługującego uznania za wasze  
męstwo i za wielką przenikliwość?...

— Będziemy świadczyć! — zawołali obaj zakonnicy, przerażeni ostrym spojrzeniem Loyoli.

— Ale, ale — ciągnął dalej — czy doręczono wam pewną sumkę pieniędzy?

— Tak, czcigodny ojcze...

— Macie jeszcze — rzekł Loyola.

Otworzył biurko, wyjął z niego pękatą kieskę i podał ją bratu Thibautowi, który, mimo swego przerażenia, nie omieszkał ukryć jej w fałdach habitu.

— Wiem, że nie gardzicie smacznym kąskiem i dobrym winkiem...

— Och, czcigodny ojcze...

— Nic w tym złego, z chwilą gdy czyni się to dla dobra Kościoła...

— A dlaczego musimy pokrzepić swe siły?

— Macie słusność. Otóż, bracia moi, jeśli będziecie dobrze zeznawać czystą prawdę, którą wam tu w tej chwili przypominę...

— Mamy zeznawać?...

— I jeśli zachowacie to wszystko w najgłębszej tajemnicy...

— Jednakowoż nasz spowiednik...

— Zwalniam was na wieki wieków od potrzeby wyznawania tego szczegółu waszemu spowiednikowi... zwłaszcza jemu... Zgoda więc?

— Będziemy niemi jak ryby, czcigodny ojcze...

— W takim razie przysięgam wam, że tego, co za to dostaniecie, wystarczy wam na nieskończoną ilość wizyt w oberży de la Deviniere.

Mnisi zamienili ze sobą pełne niewypowiedzianego zdziwienia

spojrzenie, stwierdzając, że czcigodny ojciec był świetnie poinformowany o ich przyzwyyczajaniach.

— W przeciwnym zaś razie czeka was łamanie kołem...

Pod czcigodnymi zakonnikami zgięły się nogi. Straszliwy przełożony nie wyglądał na żartownisia.

— Idźcie teraz, bracia moi, w pokoju...

Wszyscy trzej opuścili izbę. Loyola odprowadzał swych gości.

Przy zbiegu Zapluskwionej Dziury i ulicy la Huchette Loyola zatrzymał się.

— Pójdziecie tamtędy — rzekł wskazując im drogę wiodącą na wybrzeże.

— Tak, czcigodny ojcze, tędy dojdziemy do klasztoru.

— Dobrze. Ja idę tamtędy. Nie zapomnijcie o niczym...

— Nie, nie, czcigodny ojcze — rzekł Thibaut — przysięgniemy, że naprawdę znaleźliśmy u tego przekłętego drukarza księgi, które...

— Sza! — syknął Loyola, oglądając się z niepokojem.

Potem dodał z surowością:

— Pamiętajcie również o tym, żeby trzymać język za zębami...

Z tymi słowy zniknął w uliczce des Etuves, bracia zaś skierowali się na wybrzeże.

— Jeszcze jedno kłamstwo, jakiego od nas wymaga — rzekł brat Lubin, gdy pozostali sami.

— To dla dobra Kościoła — odparł brat Thibaut.

— Co nie przeszkadza, że my, dwaj biedni zakonnicy, narażeni

jesteśmy na tyle przygód. Wszystkie te wzruszenia osłabiły mnie...

— Zdaje mi się, mój bracie, iż buteleczka dobrego wina zdołałaby cię pokrzepić...

— Tak, istotnie to najlepszy środek...

— Widzisz tam jakąś oberżę? Mam wrażenie, że tam stoi...

— Istotnie, mój bracie... właśnie mamy sposobność sprawdzenia zawartości tej sakiewki.

Zakonnicy skierowali się do traktierni ze skupionymi minami, jakie przybierali zawsze, ilekroć mieli przed sobą słodką perspektywę osuszenia omszałej flaszeczki.

Lecz nie uszli nawet dwóch kroków, gdy poczuli, że padają do rynsztoku. Wydało się im obu, że jakieś zwierzę skoczyło im na kark. Przewróceni na ziemią potoczyli się, wydając przeciągły jęk. Widzieli przez chwilę dwa pochylające się nad nimi cienie. Doznali wrażenia, jak gdyby jakieś cienkie pazurki przebiegały po ich ciałach, potem nagle cienie zniknęły.

— Na pomoc! — zawył brat Thibaut.

— Mordują! — darł się brat Lubin.

Ponieważ jednak nikt się nie pokazywał, ostatecznie obyli się jedynie strachem. Usiedli na kamieniach bruku i spojrzeli po sobie z głupimi minami.

— Co się nam przytrafiło? — rzekł Lubin.

— Najświętsza Panienko i wy Święci Pańscy! Musieliśmy napotkać na naszej drodze ni mniej, ni więcej tylko samego szatana!

— Tak sądzisz?

— A więc kto w takim razie?



- Mnie się zaś zdaje, że musieliśmy się po prostu potknąć.  
— No, a te cienie, które widzieliśmy i ty, i ja? te pazury bie-  
gające po ciele.  
— Iluzja i złudzenia! — rzekł Lubin, podnosząc się z ziemi.  
— Tak czy owak jesteśmy zdrowi i cali, a to najważniejsze.  
— Tak, lecz wzruszenie...  
— Tym szybciej należy pośpieszyć do tego prześlicznego  
zakładu.

Po paru chwilach przyjaciele wchodzili już do zakładu, któ-  
ry brat Lubin ochrzcił mianem „prześlicznego”, a który w rze-  
czy samej był zwykłą podrzędną traktiernią. Lecz kiedy jest się  
wzruszonym i kiedy dręczy pragnienie...

Wysuszyli sumiennie dwie butelczyny, po jednej na każde-  
go. Potem przywołali szynkarza, podejrzanego osobnika, który  
tak rzadko miewał w swej traktierni gości, że ich przybycie  
powitał radosnym grymasem.

- Razem czyni to dwa liwry — rzekł z ukłonem.  
— To drogo — rzekł Thibaut — lecz ostatecznie...

Włożył rękę do kieszeni, szynkarz nadstawił dłoń.

Brat Thibaut długo szukał, wreszcie oświadczył blednąc, że  
musiał chyba zgubić pieniądze. Brat Lubin również miał puste  
kieszenie.

- Okradzeni! — szepnął Lubin.  
— Ograbieni! — jęknął Thibaut.  
— Moje pieniądze! — ryknął szynkarz.

Zakonnicy powstali z miejsca jak na komendę i, jak to mieli  
w zwyczaju w podobnych okolicznościach, zaczęli błogosławić

otoczenie, kierując się jednocześnie do drzwi.

Szynkarz prawdopodobnie był jednak poganinem najgorszego gatunku, zamiast bowiem schylić głowę i przyjąć błogosławieństwo, porwał za miotłę i zamierzył się nią tak gwałtownie, że biedni braciszczkowie struchleli, pełni najgorszych przeżyć.

— Ośmieliłbyś się uderzyć zakonnika? — zawołał Lubin.

— Moje pieniądze! — ryknął znowu szynkarz.

— Nie mamy nic, niestety, mój bracie!

Nie zdążył dokończyć... straszliwa miotła z głuchym trzaskiem spadła na kark Lubina, potem zaś przejechała się po Thibaucie. Rozwścieczony szynkarz walił, gdzie popadło. Im głośniej zakonnicy krzyczeli, tym gęściej padały razy. Wreszcie, kiedy kij od miotły pękł, szynkarz uczynił ostatni wysiłek i, nie żałując swego kolana, wyrzucił na ulicę nieszczęśników. Zawstydzeni, przerażeni nie rozumieli, co się z nimi dzieje.

## ROZDZIAŁ XVI

### NASTĘPSTWA TEJ PRZYGODY

Fanfare i Cocardére minęli most i weszli do szynku. Byli pewni, że zostaną tu dobrze przyjęci, że nie stanie im się nic złego, szynk ten był bowiem punktem zbornym wszystkich złodziejasków.

Podzielili się natychmiast zawartością sakiewki, którą Loyola ofiarował braciszkom zakonnym, a następnie tym, co znaleźli w ich trzosie.

Łup był wspaniały.

— Oby Lucyper raczył zsyłać nam co dzień takich mniichów! — szepnął Fanfare z westchnieniem ulgi. — Teraz jesteśmy bogaci. Co robimy dalej, towarzyszu?

— Przede wszystkim najemy się po uszy! — odparł Cocardére, wyjmując z kieszeni złotego talara. Pokazał go z daleka szynkarzowi i obstalował niezwłocznie wspaniałą ucztę.

Po obfitym posiłku, który wynagrodził im nareszcie długotrwały post, para złodziei spojrzała po sobie z błogim uśmiechem.

— Kto u diabła mógłby przypuszczać, że ci zacni braciszkanie mają tyle pieniędzy — rzekł Fanfare.

— A ja ci powiadam, że w tym wszystkim maczał palce czarny

człowiek... od niego pewnie dostali to całe bogactwo...

— Jaki znowu czarny człowiek?

— Ano, ten, co to wyszedł razem z naszymi klientami z domku w Zapluskwionej Dziurze.

— He, he, przypuszczasz tedy, że jakiś znakomity pan posługuje się naszymi mnichami?

Cocardére pokiwał głową:

— Nie! sądziłbym raczej, że jest to jakiś dostojnik kościelny...

— Dobrze! Do czego jednak mogą mu być potrzebni tacy, jak oni, głupcy? Gdyby zwrócił się do nas, to inna para butów...

— Może chodzi tu o takie sprawy, których my, złodzieje, nie chcielibyśmy się podjąć?

— Na przykład?

— Kto to może wiedzieć? Czy słyszałeś, co on świergolił?

— Nie, nie słyszałem, patrzyłem.

— A ja patrzyłem i słuchałem.

— No i co gadał?

— Nakazywał im, żeby nie zapomnieli o niczym, a jeden z nich powiedział, że przysięgnie, iż znalazł książki u drukarza.

— U drukarza? Czyżby gadali o mistrzu Dolecie?

— Wszystko być może. W każdym razie musimy powiedzieć o tej sprawie Lanthenayowi. Wiesz, jak jest przywiązany do Doleta, wiesz również, jak jest zrozpaczony od chwili jego aresztowania. A czy przypominasz sobie, że oskarżają go o drukowanie złych książek?

- Co to może znaczyć? zła książka?
- Nie nasza to sprawa. Nas obchodzić musi tylko szczęście i troski tych, którzy ryzykowali swe życie w naszej obronie. Za Manfreda i Lanthenaya dałbym się porąbać w kawałki!
- I ja także...
- Otóż mnich gadał o drukarzu i o książkach. Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby tu nie chodziło o Doleta.
- Spieszmy więc opowiedzieć wszystko Lanthenayowi. Ot i Tricot. Poradzi nam.
- Rzeczywiście król złodziei wszedł właśnie do szynku, kłaniając się dokoła z uprzejmym uśmiechem.
- Tricot! — zawołał na niego Fanfare — chodź, napij się z nami!
- Jakiego burżuja oczyściliście z gotówki, nicponie? — rzekł Tricot ze śmiechem.
- To nie był burżuj, ale mniejsza z tym. Mamy czym zapłacić za siebie i za ciebie.
- To klawo! — oświadczył Tricot, siadając przy przyjaciółach i wychylając duszkiem podaną sobie szklanę.
- Ale to jeszcze nie wszystko — ciągnął dalej Cocardére.
- Ba! — zawołał ironicznie Tricot — czy może ograbiliście jakiś klasztor?
- Bynajmniej.
- A może pomagacie królowi Franciszkowi w wyrabianiu pieniędzy?
- I to nie. Słuchaj... Chodzi tu o przyjaciela... o brata... jakkolwiek nie jest z naszej branży.

— O kim mówisz? — zapytał Tricot, marszcząc brwi.

— O Lanthenayu.

Tricot zbladł.

— Ach, tak... to brat, a jakże, prawdziwy brat... A więc?

Cocardère opowiedział ze wszystkimi szczegółami historii rabunku. Nie pominął niczego, prócz kwoty, jaką zdobyli na zakonnikach. Specjalny nacisk kładł na słowa „czarnego człowieka”.

Tricot słuchał uważnie.

— Nie wydaje mi się, aby to wszystko miało jakiegokolwiek znaczenie — oświadczył, gdy Cocardère skończył swe opowiadanie.

— A więc jesteś zdania, że nie ma po co zawracać tym głowy Lanthenayowi?

— Tego nie powiem. Rób, jak uważasz... Mówię tylko, że sprawa nie jest ważna. Żegnajcie. Mam coś do załatwienia...

Powstał, nie śpiesząc się obszedł salę i wyszedł na ulicę.

— A jednak nie zgadzam się z Tricotem...

— Tricot to tęga głowa...

— Tak, ale to chytry lis... a przy tym: sowa, choć mądra, może się pomylić... Zdaje mi się, że tym razem Tricot jest ową sową. Chodźmy do Lanthenaya.

Ignacy Loyola po wyjściu z domku w Zapluskwionej Dziurze skierował się do Uniwersytetu.

Wkrótce jednak zmienił zamiar, skręcił na prawo i zszedł nad Sekwanę, udając się w stronę Petit-Châtelet.

Szedł powoli, z głową spuszczoną na piersi. Medytował...

Od chwili, gdy Franciszek I wydał Doleta na jego łaskę i nie-  
łaskę, nie powziął jeszcze ostatecznej decyzji co do jego losów.

Udał się tylko tego samego dnia do Conciergerie i uprzedził  
Le Mahu, że jutro chce widzieć więźnia.

Pokazał mu również rozkaz królewski i zaczął wypytywać o  
różne szczegóły dotyczące Doleta, na które to pytania Le Mahu  
starał się dać jak najściślejsze odpowiedzi.

Na odchodnym Loyola dodał:

— Dobrze by było, żeby w związku z tą jutrzejszą wizytą  
przeniósł pan więźnia do trochę lepszej celi.

— Zrobi się, czcigodny ojcze — odpowiedział Le Mahu.

Loyola zamilkł, potem rzekł z pewnym wahaniem:

— A może ktoś towarzyszyłby mi...

— Czy sam, czy w towarzystwie, będziesz ojcze zawsze mile  
widziany.

— Ale, ale, czy jest w Conciergerie sala tortur?

— Jakżeby nie miałyby jej być! Jest wszystko, co potrzeba...  
i kobyła... i buty... i szczypce... och! nie potrzebujemy niczego  
zazdrościć innym... nawet Châtelet!

Le Mahu wyprostował się i spojrzał dumnie na mnicha.

— Dobrze, dobrze — rzekł obojętnie Loyola.

Idąc ulicą myślał nad tym, jakie ma stawiać jutro pytania

Doletowi, aby otrzymać potrzebne mu odpowiedzi.

Była już dziewiąta, gdy wszedł w uliczkę położoną w pobliżu Petit-Châtelet i zatrzymał się przed małym, jednopiętrowym domkiem, wyglądającym bardzo nędznie.

Uderzył żelaznym młotkiem w drzwi — mocne, dębowe, wysadzane olbrzymimi gwoździami.

Otworzyło się okienko.

— Z kim chcesz się widzieć? — zapytał ostry głos.

— Z mistrzem Ledoux.

— Ktoś jest?

— To cię nie obchodzi. Chcę mówić z mistrzem Ledoux, mam rozkaz od króla.

Okienko zamknęło się.

Loyola usłyszał zgrzyt otwieranej zasuwki, brzęk łańcucha...

— Proszę wejść! — rzekł męski głos.

Loyola wszedł do wnętrza i znalazł się w korytarzu. Postępując za mężczyzną, przeszedł dalej do obszernej sali.

— Mistrz Ledoux? — zapytał.

— To ja! — odparł mężczyzna.

Był to blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna, niskiego wzrostu, przysadzisty, z grubą, jak u wołu, szyją, z olbrzymimi rękami, zwierzęcą twarzą otoczoną skołtunioną brodą.

Stanowił uosobienie brutalnej siły.

Z gospodarza domu Loyola przeniósł oczy na pokój. Główną jego ozdobą był olbrzymi kominek, w którym płonęły grube



szczapy. Mistrz Ledoux musiał lubić ciepło. Przed kominkiem stała drewniana ława z oparciem. Pośrodku sali był stół. Lecz największą uwagę zwracały na siebie pomalowane na czerwono ściany. Zdawało się, że są pomazane krwią.

Pod ścianami biegła drewniana listwa, również czerwona, a na niej w pewnych odstępach tkwiły wielkie gwoździe.

Na gwoździach wisiało moc najrozmaitszych narzędzi, bardzo czysto utrzymanych, błyszczących w świetle płonącego w kominku ognia. Była to kolekcja toporów. Obok nich wisiały szczypce, dziwnego kształtu młoty, szerokie szpady...

Wszystko świeciło, błyszczało...

Gospodarz spoglądał na gościa spode łba, lecz z pokorą. Czekał cierpliwie, aż przybyły odezwie się pierwszy.

Oczy Loyoli przeniosły się na kata.

— Możliwe, że jutro będę cię potrzebował, mistrzu.

— Proszę mi najpierw pokazać rozkaz królewski — rzekł kat.

Loyola rozwinął pergamin. Mistrz zaczął czytać dokument przy świetle ogniska, bowiem w pokoju nie było innego oświetlenia.

— Dobrze — rzekł mistrz Ledoux, zwracając gościowi pergamin.

— Chodzi tu o bardzo ważną sprawę. Ten więzień to cenny ptaszek.

Ledoux kiwnął pogardliwie ręką, jakby chciał powiedzieć, że wszyscy więźniowie są do siebie podobni.

— Trzeba poczynać łagodnie — ciągnął dalej Loyola.

Ledoux uśmiechnął się z dziwnym okrucieństwem.

— Znam mój fach — bąknął.

— A więc będziesz przygotowany?

— Gdy dostaję rozkazy, zawsze jestem przygotowany.

— Przyjdzie tu ktoś po ciebie. Pójdiesz z nim... zaprowadzi cię...

— Po czym go poznam?

— Powie ci: „W imię rycerza Marii...”

Ledoux uklonił się.

Loyola opuściła mieszkanie, rzucając ostatnie spojrzenie na kata. W spojrzeniu tym była dziwna sympatia.

— Oto człowiek, jakiego nam potrzeba — pomyślał Loyola już na dworze. — Silny jak Samson, niezdolny do rozumowania, a jedynie do posłuszeństwa.

Powolnym, jak poprzednio, krokiem zawrócił w stronę Zapłuskwionej Dziury. Stał tam około pół do jedenastej. Zamyślony zbliżył się do domku i otworzył drzwi. W mieszkaniu nadal świeciła lampa zapalona przez Loyolę przed wyjściem.

Wchodząc chciał zamknąć drzwi za sobą. Coś mu jednak przeszkodziło. Odwrócił się i ujrzał mężczyznę w płaszczu i w silnie na czoło nasuniętym berecie,

Loyola był bardzo odważny.

— Czego chcesz? — zapytał chłodnym tonem.

— Mówić z panem, mości Loyolo — odpowiedział nieznanomy.

— Kim jesteś?

— Synem Stefana Doleta.

## ROZDZIAŁ XVII

### ROZMOWA

Zaryglował drzwi, zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło.

— Nie wiedziałem — rzekł Loyola tonem niezdradzającym wcale wzruszenia — nie wiedziałem, że Stefan Dolet ma syna.

— Wy tłumaczę panu, dlaczego użyłem tego wyrazu — rzekł przybysz.

Loyola widział go po raz pierwszy w życiu. Okiem znawcy ocenił jego smukłą postać, wyniosłe czoło i zuchwały wyraz oczu.

— Czuję, że rozmowa może się przedłużyć; proszę zająć miejsce.

Wskazał swemu dziwnemu gościowi miejsce w fotelu.

Lanthenay jednak nie usiadł, wsparł się jedynie drżącą nieco ręką o poręcz.

Jednocześnie w tempie dowodzącym, że często uciekał się do tego wybiegu, Loyola zrzucił z siebie zakonne szaty i pchnął je nogą w kąt pokoju.

Ubrany był teraz w strój szlachcica; miał na sobie kaftan ze skór łosia, wysokie buty, przy boku szpadę, a za pasem krótki sztylet, którego oksydowaną rękojeścią począł się bawić jakby od niechcenia.

— Pozwolisz mi pan, że skorzystam z prawa przysługującego każdemu zmęczonemu człowiekowi i usiądę sobie wygodnie w fotelu...

Usiadł, skrzyżował nogi, obrzucił Lanthenaya ironicznym spojrzeniem i rzekł:

— Słucham pana... jakkolwiek pański sposób zjawienia się w obcym domu o tej godzinie jest trochę... dziwny, niemniej...

— Panie, widzę, że starasz się pan wyczytać na mej twarzy zdziwienie, które chciałeś wywołać swym strojem...

— A więc sądziłeś pan, że ujrzysz bezbronnego zakonnika?...

— Sądziłem, że ujrzę niecnego klechę. Zdziwieniu memu można by dać miano prawdziwej radości, widzę bowiem, że mogę pana zabić bez wyrzutów sumienia.

— Ach! Więc przyszedłeś pan z zamiarem pozbawienia mnie życia?

— Tak... o ile nie dojdziemy do porozumienia...

— W to bardzo wątpię, mój drogi — rzekł ze spokojem Loyola, wyjmując z pochwy sztylet i czyszcząc nim paznokcie... — Lecz — powiedziałeś pan, że jesteś synem Doleta?...

— Zaraz pan zrozumiesz znaczenie tych słów. Stefan Dolet jest moim ukochanym nauczycielem. Od niego nauczyłem się wszystkiego, co umiem. On otworzył mi oczy na życie. Jemu wszystko zawdzięczam. Lecz to jeszcze nie koniec. Znakomity uczony ma córkę, którą kocham i która mnie kocha. Dzień naszego ślubu był już wyznaczony. Miłość ta stanowiła jedyną

radość mego życia albo raczej jedyny jego cel. Ten człowiek, którego pan kazałeś wtrącić do Conciergerie, raczył mnie przyjąć na zięcia i otworzył mi swój dom. Należałem do rodziny. Rozumiesz pan teraz, że mam prawo do tytułu syna Stefana Doleta?

— Nie przeczę panu tych praw!

— Nazywam się Lanthenay.

— Lanthenay? — rzekł Loyola z dziwnym uśmiechem.

— Zdaje mi się, że słyszałem już coś o panu... Czekał pan... ach, tak, mówił mi o panu hrabia de Monclar.

— Możliwe.

— Pan prefekt interesuje się pańską osobą, jego obowiązkiem jest zbieranie informacji o wszystkich złodziejach, włóczęgach i zawadiakach. Widzę, że mistrz Dolet zrobił szczęśliwy wybór. Córka heretyka i włóczęga — świetna para! Tak, tak, panie Lanthenay, synu Dzielnicy Cudów, jest pan odpowiednim zięciem dla takiego człowieka jak pan Dolet, lokator Conciergerie. Godne siebie towarzystwo!

Lanthenay skrzyżował ręce na piersiach i słuchał bez jednego zmarszczenia brwi, bez jednego gestu zniecierpliwienia.

— Mości de Loyola — rzekł wreszcie, gdy Hiszpan przestał mówić — przed chwilą powiedziałem panu, że z prawdziwą radością stwierdziłem fakt, iż nie jesteś pan zwyczajnym mnichem, jakiego spodziewałem się spotkać. Zapewniam pana, że gdy ujrzałem pańską szpadę i sztylet, nabrałem otuchy. Cóż? Sumienie takiego, jak ja, włóczęgi ma swoje dziwactwa. Teraz zaś muszę panu oświadczyć, że radość moja jeszcze wzrosła.

— Co jest przyczyną tej radości?

— Idąc do pana myślałem, że zastanę mnicha. Mnicha posiadającego wybijającą się inteligencję, stojącego o niebo wyżej od wszystkich tych nędznych klechów doprowadzających nasz kraj do zguby. Zapewniano mnie, sam Dolet to mówił, że Loyola — to człowiek z polotem. Otóż pan obniża swą wartość, chcąc lżyć innych. Starasz się pan zdruzgotać mnie swą pozorną pogardą, której pan wcale nie czujesz. Łączysz pan moje imię z imieniem prefekta, sądząc, że ironia ta jest zabójcza. Widzę, że jesteś pan dużo mniejszy od tego, za jakiego go miałem. Inteligencja pańska jest bardzo przeciętna. To właśnie przyczyna mej radości. Naprawdę przykro byłoby mi zabić istotnie wysoką i rzadką inteligencję...

Loyola przygryzł wargi...

— Ponadto, gdybyś pan był owym wielkim umysłem, o jaki go podejrzewałem, wybrałbyś pan sobie inny systemat filozoficzny niż ten, który pana pociągnął. Nie żądałbyś pan śmierci niewinnych, którzy nie wierzą w to, w co wierzysz pan albo udajesz, że wierzysz...

— Młodzieńcze, nie poruszaj tych niebezpiecznych tematów.

— Masz pan rację. Otóż wracam do istotnego celu mej wizyty. Nienawiść, jaką pan żywisz do Stefana Doleta...

— Nie chcę słuchać tego, co masz mi powiedzieć — rzekł Loyola, podnosząc się z fotela. — Nie czuję żadnej nienawiści do Doleta...

— Mój panie, każdy żart ma granice, ale pańskie żarty zaczynają być wstrętne. Przypuśćmy jednak nawet, że naprawdę

nie żywisz pan nienawiści do mego mistrza... Tym dziwniejsze, że chcesz go zabić. A ja, mój panie, kocham Doleta i chcę przeszkodzić ci w twych zamiarach...

— I jak sobie to wyobrażasz?

— Uczynię ci uczciwą propozycję.

— ?

— Podpisz pan rozkaz wypuszczenia go na wolność!

— Przypuszczasz pan, że wystarczy mój rozkaz?

— Nie, panie. Lecz jeśli pan oświadczyś na piśmie, że popełniłeś wstrętą zbrodnię, polecając bratu Thibautowi i bratu Lubinowi...

Loyola zadrżał... Ogarnęło go zdumienie.

— Polecając im przynieść do drukarni książki, o których wydrukowanie jest oskarżony Dolet... jeśli oświadczyś pan to uczciwie i jeśli dodasz, że żałujesz popełnionej przez siebie potwornej zbrodni, że błagasz króla Francji o zwolnienie Doleta, człowieka niewinnego i uczciwego, wtedy, jestem pewny, mistrz mój odzyska wolność.

Loyola przyglądał mu się przez chwilę w ponurym milczeniu.

— To wszystko? — zapytał. — Jeżeli wszystko — może ustąpię pańskim prośbom. Młodzieńcze, wzrusza mnie twe przywiązanie do Doleta, twoja miłość do jego córki...

— Nie panie, to jeszcze nie wszystko — odparł Lanthenay — pan bowiem mógłbyś podpisać taki papier, a gdy wyszedłbym stąd, pobiegłbyś może do Monclara, o którym przed chwilą tak dowcipnie wspomniałeś. Musiałbyś więc jeszcze przystać na

towarzystwie mi w drodze do powozu, który czeka na nas na wybrzeżu Gloriette. Tam wsiadłbyś do niego spokojnie i pod eskortą czterech moich przyjaciół udałbyś się do pewnego domu, gdzie pozostałbyś przez kilka dni, to znaczy do momentu, kiedy Dolet opuściłby więzienie i przekroczył najbliższą granicę...

— A jeśli nie zgodzę się na te warunki?

— Wtedy będę zmuszony zabić pana.

— Co na tym zyskasz?

— Pomszczę się.

Loyola zamilkł przyglądając się twarzy młodzieńca, na której nie znać było ani śladu wzruszenia.

— Decyduj się pan!

— Już się zdecydowałem.

— A więc?

— Odmawiam, a pan nie zabijesz mnie.

Z tymi słowy Loyola uczynił olbrzymi skok, chcąc rzucić się na Lanthenaya.

Twarz jego zmieniła się nie do poznania. Czarne oczy nabrały blasku, grymas wściekłego gniewu podniósł koniuszki ust, odsłaniając białe i ostre zęby.

— Umrzyj — warknął — umrzyj, jak umrze twój bezbożny mistrz!

Sztylet jego spadł na Lanthenaya. Lecz zaatakowany uskokił w bok. Ostrze sztyletu rozdarło jedynie rękaw kaftana.

— Ach, nędzniku! — zawołał. — I ja wahałem się!...

W mgnieniu oka wyciągnął szpadę z pochwy.

Loyola z rykiem wściekłości rzucił na ziemię sztylet i również porwał za szpadę.



— Nareszcie! — rzekł Lanthenay. — Przed chwilą jeszcze miałeś pan ludzką twarz. To była maska... Teraz masz twarz tygrysa, która bardzo do pana pasuje.

Walka trwała już z dziesięć minut. Loyola natarł z furią... Lanthenay wierny swej taktyce, która nieraz już wyciągnęła go z ciężkich tarapatów, starał się zmęczyć przeciwnika, od czasu do czasu podniecając go zjadliwym słowem.

Nagle zauważył, że Loyola zaczyna słabnąć! Ręka ścierpła i odmawiała mu powoli posłuszeństwa. Wtedy Lanthenay przeszedł do ataku.

Nacierał z zimnym rozmysłem, zadawał cios po ciosie; niektóre z nich były straszne. Loyola zawdzięczał życie jedynie zręczności, z jaką się cofał.

Po chwili był już przyciśnięty w kącie do ściany.

Lanthenay spadł na przeciwnika z szybkością pioruna. Szpada przeszła ramię, a ostrze jej uderzyło o mur i złamało się.

Loyola pozostał przez chwilę w pozycji stojącej, z ręką kurczowo zaciśniętą na rękojeści szpady.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Potem nagle wypuścił broń z ręki, zaczął bić powietrze rękami i... padł na ziemię bez życia.

Lanthenay otarł z krwi uszkodzoną klingę swej szpady. Był tak spokojny, jakby się nic nie stało. Zbladł tylko.

— Sądzę, że nie uczyni już nikomu żadnej krzywdy — szepnął, spoglądając na nieruchome ciało Loyoli.

Ukląkł, rozpiął na leżącym jego skórzany kaftan i odsłonił ramię.

Ostrze szpady przebiło skórę kaftana i ramię na wylot. Rana była okropna, choć tylko słabo krwawiła. Lanthenay położył rękę na sercu. Biło... bardzo wolno...

— Żyje jeszcze! — pomyślał.

Zadumał się. Poczł gwałtowną pokusę dobiecia rannego jednym pchnięciem sztyletu. Przez chwilę ścisł rękę... Potem włożył broń powoli do pochwy.

— Nie — rzekł prawie głośno — przechodzi to moje siły...

Jeszcze przez chwilę się wahał.

— Zresztą — dodał — jakkolwiek jeszcze nie umarł, niewiele mu brakuje.

Aby się upewnić, czy żyje, przyłożył znowu rannemu rękę do serca. Tym razem rozchylił jeszcze szerzej brzegi kaftana. Zza pazuchy wypadł pergamin. Lanthenay porwał go, rozwinął, przebiegł oczami i z trudem powstrzymał okrzyk radości, jaki wybiegł mu na usta.

Był to glejt podpisany przez Franciszka I.

— Dolet uratowany! — szepnęła radośnie.

Rozejrzał się po pokoju, ujrzał habit zakonny, który

Loyola odtrącił nogą w kąt.

Chwył go, zwinął i wypadł na ulicę.

## ROZDZIAŁ XVIII

### PRÓBA UWOLNIENIA

Nazajutrz Lanthenay ubrany w habit Loyoli, z kapturem nasuniętym na oczy, stanął przed bramą Conciergerie. Z pełnego szacunku i uniżoności zachowania się strażników zrozumiał, że Loyola bywał już w więzieniu. Po chwili stał przed panem Le Mahu.

— Widzę — zawołał oficer — że Wasza Wielbność przychodzi sam. Nie chcesz już towarzystwa, o którym mówiłeś wczoraj?

— Nie.

— Czy Wasza Wielbność teraz zobaczy więźnia?

— Tak.

— Będę ci towarzyszyć, czcigodny ojcze.

— Rozkaz daje mi zupełną swobodę działania — rzekł Lanthenay, starając się mówić jak najciszej, by nie wzbudzać brzmieniem głosu podejrzenia w oficerze.

— Istotnie — odparł oficer, otwierając drzwi. — Zupełna swoboda działania! Z wyjątkiem zabrania naszego poczciewca ze sobą!

Wybuchnął głośnym śmiechem.

— Możesz z nim robić ojcze, co ci się podoba, nie możesz go tylko zabrać na spacer po wybrzeżu Sekwany...

Dowcip wydał mu się tak zabawny, że dodał:

— Zresztą, dbasz na pewno, czcigodny ojcze, o jego zdrowie. Nasz kochanek mógłby jeszcze dostać zapalenia płuc na tym podłym zimnie... Skierował się do korytarza ze słowami:

— Wskażę drogę Waszej Wielbności.

Gdy stanęli przed drzwiami celi, Lanthenay rzekł: — Chcę zostać z więźniem sam.

— Rób, ojcze, jak chcesz... Ale może to niezbyt bezpieczne?

— Mam z nim do pomówienia o ważnych rzeczach. Pilnuj, ażeby nikt nie podsłuchiwał pod drzwiami...

— Dobrze... Jeśli jednak będzie potrzebna pomoc...

— W takim razie?

— Zawołasz, czcigodny ojcze, albo zapukasz silnie w drzwi.

— Dobrze.

— Zgodnie z wolą Waszej Wielbności umieściłem więźnia w przyzwoitej celi. Nicpoń nie może narzekać...

Lanthenay zmierzając do celi, starał się dobrze zapamiętać drogę, rachował kroki i wbijał sobie w głowę rozkład więzienia.

— Zmieniłeś celę? — zapytał.

— Tak.

— Otóż od dziś musi pozostać już w niej na stałe.

— Zrobione.

La Mahu dał znak klucznikowi. Ten otworzył masywne drzwi, skrzypaneły zamki.

— Proszę wejść — rzekł Le Mahu, potem dodał półgłosem — a w razie czego — a w razie czego... proszę zawołać!

Lanthenay wszedł. Drzwi zamknięto, nie zasuważając jednak rygli.

Gdy już zamilkł odgłos kroków oddalającego się Le Mahu,

zbliżył się do Doleta, odrzucił kaptur i wyciągnął do więźnia ramiona.

Dolet musiał zebrać całą siłę woli, by nie wydać okrzyku radości, który mógł zgubić obu. Uściskali się w milczeniu.

Potem Dolet odciągnął Lanthenaya do najbardziej oddalonego od drzwi rogu celi.

— Julia?

— Zrozpaczona, ale trzyma się dzielnie.

— Avetka?

— Zdrowa.

— Jak ci się udało tu trafić?

— Zabiłem Loyolę.

Dolet spojrział z zachwytem na Lanthenaya, który mówił dalej:

— Zabiłem go albo co najmniej zraniłem go śmiertelnie, zabrałem mu glejt podpisany przez króla, wdziałem na siebie jego habit i oto jestem...

— Mój synu!

— A ty ojcze?

— Nie mówmy o mnie! Cierpiałem strasznie.

— Tak, nie traćmy czasu na czczą gadaninę. Przychodzę, aby cię ocalić.

— Jak?

Lanthenay zrzucił z siebie habit i podał go Doletowi.

— Prędko, ojcze!

Dolet wzruszył ramionami.

— Odmawiasz?

— Tak.

— Ty jesteś potrzebny... a ja — nie!

— Ty masz życie przed sobą.

— Ojczy!

— Ani słowa więcej!

Lanthenay zrozumiał, że Dolet nigdy się nie zgodzi.

— Trzeba więc szukać innego wyjścia!?

Lanthenay zbladł.

— Ojczy, mam sposób — szepnął.

— Mów...

Włożył Doletowi do ręki sztylet.

— Weź to! Zawołam. Otworzą drzwi. Wyjdziemy razem, zabijając po drodze każdego, kto zechce przeszkodzić nam w ucieczce. Za bramą czeka Manfred z dwudziestoma ludźmi... Zawołamy. Rzucę się na furtę więzienną... Ułożyliśmy się z Manfredem na wypadek, gdybyś nie zechciał przystać na mą propozycję...

— Ten projekt wydaje mi się rozsądny — rzekł Dolet. — Uściskaj mnie, mój synu.

Raz jeszcze uściskali się, po czym Dolet zapytał:

— Jesteś gotów?

— Tak...

— A więc, zawołaj...

Lanthenay podszedł do drzwi, zapukał kilkakrotnie i krzyknął:

— Do mnie! Do mnie!

Natychmiast rozległy się w korytarzu kroki.

— Uwaga! — rzekł Lanthenay.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Ukazało się kilku strażników.

— Z drogi! — wrzasnął Lanthenay, rzucając się naprzód ze sztyletem w rękę.

Dolet pobiegł za nim.

— Trzymaj! trzymaj! — rozległo się wołanie strażników.

Lanthenay miał analityczny umysł, dokładnie więc zapamiętał drogę.

W parę minut stał już wraz z Doletem w wielkim przedsiönku przy głównej bramie. Na lewo znajdowała się wartownia, a w wartowni dwudziestu uzbrojonych żołnierzy.

Dolet i Lanthenay rzucili się do głównej bramy.

Żołnierze wyskoczyli, zagrodzili im drogę, krzyżując halabardy.

Nadbiegł przerażony, drżący i blady jak trup Le Mahu, wołając:

— Czcigodny ojcze! Czcigodny ojcze!

— Do nas Manfredzie! — ryknął Lanthenay.

Okrzyk ten wywołał dziwne poruszenie na ulicy.

Jakieś podejrżane figury, włóczęce się dokoła więzienia, rzuciły się nagle, napierając na bramę. Manfred z długim rapierem w ręku powiódł ich do ataku, wołając:

— Bij! Zabij! Morduj!

Nagle duży oddział konny wypadł pędem zza rogu. Na czele oddziału galopował prefekt.

## ROZDZIAŁ XIX

### KAPRYS FRANCISZKA I

Od kilku dni, a zwłaszcza od dnia wtrącenia Tribouleta do Bastylii, Jego Królewska Mość był bardziej niż kiedykolwiek ponury. Monclar nie przynosił mu żadnych wieści o Hiletce.

Prefekt pomyślał na razie o tym, aby zmusić panią de Saint-Albans do wyznania. W gruncie rzeczy mógł prawie przewidzieć odpowiedź starej damy dworu.

Trzeba mu jednak było usłyszeć z jej ust potwierdzenie jego przypuszczeń, które stanowiłoby dowód obciążający księżną d'Etampes. Udał się więc do Bastylii.

Z niewiadomych przyczyn traktowano panią de Saint-Albans bardzo pobłażliwie; umieszczono ją w przyzwoicie umeblowanym pokoju z prawdziwym łóżkiem, a nawet z fotelem; pozwolono na przysyłanie z miasta żywności i łakoci, za którymi przepadała. Toteż czas upływał jej na chrupaniu cukrów i na wyczekiwaniu błogiej chwili, kiedy znowu znajdzie się na wolności. Wierzyła w to głęboko, zwłaszcza po odwiedzinach księżnej d'Etampes, która jej obiecała swe wstawiennictwo.

Otóż tego właśnie dnia, kiedy prefekt postanowił wszcząć „badanie” uwięzionej, przyniesiono dla niej do Bastylii kosz



owoców. Zawierał ogromne kiście cudnych winogron, a także kilkanaście jabłek — renet, będących je przysmakiem.

Prefekt przybył do Bastylji około południa i oświadczył gubernatorowi, że chce „wybadać” panią de Saint-Albans.

— Biedna kobieta! — szepnął gubernator, znając dobrze znaczenie tego słowa.

Jednocześnie dodał:

— Do usług, panie hrabio. W tej chwili kończy obiad i, mam nadzieję, będzie zadowolona z dodatkowego deseru, jaki pan chce jej ofiarować.

Gubernator wydał rozkaz, by w sali „badań” wszystko było przygotowane. Kat specjalnie obsługujący Bastylię, udał się na stanowisko i zaczął, pogwizdując, rozpalać żelaza.

Tymczasem prefekt wraz z gubernatorem udali się do pokoju damy dworu.

— Jeśli zechce zeznawać — rzekł gubernator — oszczędzi to jej trudu schodzenia do sali tortur, która znajduje się w podziemiach i jest bardzo wilgotna.

Otworzono drzwi. Pani de Saint-Albans siedziała przy stole w swoim fotelu i nawet nie spojrzała na wchodzących.

— Usnęła po obiedzie! — rzekł gubernator.

Dotknął jej ramienia: pani de Saint-Albans nie poruszyła się. Wtedy zajrzał jej w twarz. Była blada jak воск.

— Prędzej! doktora! — rzucił rozkaz. — Ta nieszczęsna umiera!

Monclar pochylił się nad nią również, potem wyprostował się i rzekł chłodno:

— Doktor już niepotrzebny — pani de Saint-Albans nie żyje.

— Nie żyje! — wykrzyknął głucho gubernator, tym razem rzeczywiście przerażony myślą, że może odpowiadać za ten wypadek.

— Tak — rzekł Monclar z flegmą — nie żyje. No i badanie skończone.

Rzucił okiem na stół, zauważył kosz z owocami. Dziwny uśmiech przewinął się po jego wąskich wargach.

— Co za nieszczęście! — lamentował gubernator.

— Śliczne owoce! — rzekł ironicznie Monclar wskazując na kosz stojący na stole.

Gubernator spojrział badawczo na prefekta; twarz zwierzchnika była nieprzenikniona.

— Kiedy przyniesiono te owoce? — zapytał Monclar.

— Dziś rano! — rzekł jeden z dozorców — pełniłem służbę, gdy oddano je do celi.

— Kto je przyniósł?

— Jakiś młody człowiek.

— Brunet?

— Tak.

— Tytus! — pomyślał Monclar. — Ach! pani d'Etampes, trzymam cię w ręku!

Potem dodał głośno:

— Czy ten młody człowiek powiedział, kto przysłał te owoce pani de Saint-Albans?

— Nie, panie. Oddał tylko kosz.

— Nikt nie jadł tych jabłek ani tych winogron?

— Nie, panie.

— Panie gubernatorze — rzekł Monclar — radzę panu szczerze nie kosztować ich...

— Panie hrabio — wybełkotał gubernator — więc pan przypuszcza.

— Pst! nic nie przypuszczam. Radzę tylko usunąć te owoce, choć są takie piękne.

— Zanieś ten kosz do mnie! — rzekł gubernator. — Sam je spalę.

Dozorca zabrał kosz z taką ostrożnością, jakby zawierał żmije. Monclar opuścił celę wraz z gubernatorem, który powtarzał ciągle:

— Biedna kobieta! co za nieszczęście!

— Tak — odpowiedział prefekt... — właśnie w tym dniu, kiedy miałem ją badać...

— Drogi hrabio — zagadnął gubernator z niepokojem — nie sądzisz pan, przypuszczam, że jestem zamieszany w tę aferę?

— Cóż znowu! żartujesz pan chyba... Pani Saint-Albans umarła, trzeba ją pochować i koniec.

— Tak! I koniec! — dodał radośnie gubernator.

Monclar udał się do Luwru.

— Księżna d'Etampes wywinęła się sianem! — pomyślał.

Przechodząc korytarzem, usłyszał jakieś przyciszone głosy za uchylonymi drzwiami. Ciekawy z usposobienia i z zawodu, Monclar pchnął lekko drzwi i zajrzał przez szparę. W głębi pokoju, we framudze okiennej, dwie osoby rozmawiały cicho. Monclar drgnął; była to księżna d'Etampes i Alais Le Mahu.

— To ciekawe — pomyślał prefekt.

Cofnął głowę i zaczął uważnie słuchać. Mimo jednak, że nadstawiał pilnie ucha, nie udało mu się zrozumieć ani słowa.

Chrzęst jedwabnej sukni księżnej ostrzegł hrabiego, że rozmowa się skończyła. Zszedł szybko ze swego punktu obserwacyjnego i gdy księżna wyszła na korytarz, nie zobaczyła już nikogo.

Idąc w stronę królewskich pokoi rozmyślał nad tym, co się stało. Uderzył się w czoło i uśmiechnął.

— Dziecinna gra — mruknął. — Le Mahu był kochankiem starej Saint-Albans! Teraz wszystko jasne. Mogę już sobie wyobrazić, jak się odbyło porwanie Hiletki.

Gdy stanął przed królem, oświadczył:

— Sire, pani de Saint-Albans zmarła dziś rano na kolki; nie mogłem więc wziąć jej na tortury, mam jednak pod ręką kogoś, kto wie na pewno tyle co ona i kto rozwiąże swój język.

Król odpowiedział obojętnym skinieniem ręki.

Czyżby Franciszek I zrezygnował z odnalezienia Hiletki? Bynajmniej. Bardziej niż kiedykolwiek był nią zajęty, myślał o niej... lecz myślał również i o innej — król był zakochany.

Około dziewiątej wieczór, wedle przyjętego zwyczaju, la Châtaigneraie i d'Essé weszli do pokoju królewskiego. Sansac zniknął. Tylko dwaj jego przyjaciele mogliby powiedzieć, co się z nim stało, lecz oni zachowywali w tej materii uparte milczenie.

Bassignac, pierwszy pokojowiec królewski, kończył toaletę króla, który tego wieczoru włożył ubranie mieszczanina, a

właściwie biednego szlachcica. Długa szpada bez żadnych ozdób na rękojeści wisiała u boku.

Król był bardzo przejęty. Kolejny miłosny kaprys zajął go całkowicie. Miał zwyczaj traktować lekko sprawy stanu, a poważnie stosunki z kobietami.

— Chodźcie panowie — rzekł do dworzan, gdy był już zupełnie ubrany.

— Dokąd pójdziemy? — zapytał La Châtaigneraie.

— Tam, gdzie byliśmy wczoraj i przedwczoraj.

D'Essé i La Châtaigneraie spojrzeli po sobie z uśmiechem. Wyszli z Luwru ukrytą furtką, od której klucz miał tylko król, i skierowali się natychmiast w stronę kościoła św. Eustachego.

Szli powoli, król pogrążony był w zadumie. Wreszcie odezwał się:

— Do licha, moi panowie, żadna księżniczka ani hrabina nie stawiała takiego oporu jak ta dziewczka!

— Bo nie wie, z kim ma do czynienia, Sire!

— Chcę, żeby nie wiedziała o tym w dalszym ciągu.

— Dobrze, Sire. Już jesteśmy na miejscu.

Król podniósł głowę i zobaczył, że stoi przed zamkniętymi drzwiami. Wstrząsnął nim silny dreszcz.

— Na Boga — rzekł siląc się na uśmiech — drzę, jakbym miał pierwszą schadzkę w życiu!

Sam zapukał do drzwi. Natychmiast się otworzyły. Z wnętrza domu płynęły wybuchy śmiechu i pijacki śpiew.

Król był w zakładzie Maladry.

— Wejdźcie, wejdźcie, moi młodzi panowie! — rozległ się głos kobiecy.

Na wyraz „młodzi” Franciszek I wyprostował się, uśmiechnął i pogłaskał brodę z zadowoleniem.

— Umieść nas w jakimś zacisznym kątku, gdzie nam nikt nie będzie przeszkadzał.

Kobieta otworzyła drzwi, goście weszli do niedużego pokoju bardzo starannie, a nawet zbyt kownie umeblowanego.

— Prawdziwy pokój książęcy! — rzekła kobieta z obleśnym uśmiechem.

— Oo... — rzekł Franciszek I — dla nas, biednej szlachty z prowincji, jest aż za piękny!

— Wejdźcie jednak, proszę...

— Już dobrze, przynieś nam wina!

— A niech nam naleją go ręce jednej z bogiń! — rzekł La Châtaigneraie.

Rozsiedli się w szerokich i niskich fotelach wyściełanych aksamitem.

— Tam do licha, serce mi wali jak młot! — rzekł Franciszek I.

— Czyżby to była prawdziwa miłość, Sire? — rzekł d'Esse.

— Przede wszystkim, mój drogi, pamiętaj o tym, że tytuł jest tu zbyt cenny; jestem po prostu biednym szlachcicem; a poza tym dlaczegoż nie miałyby to być miłości? Jej giętka szyja, jej biały biust, jej piękne ramiona... dlaczegoż te wszystkie cuda nie miałyby wzbudzić miłości? A zresztą, moi panowie, czymże jest miłość, jeśli nie wiecznie odnawiającym się pragnieniem! Pragnę tej kobiety, pragnę... a... otóż i ona!

Trzy kobiety weszły w tej chwili do pokoju. Jedna z nich

nosiła miano Sikorki, druga — Piegży. Ich lekkie suknie trzymały się tylko na agrafie, toteż zaledwie usiadły na kolanach dwóch towarzyszy króla, były już na wpółrozebrane. Rozległ się natychmiast ich wesoły śmiech, zaczęły nalewać białe wino do cynowych kubków. Trzecia zbliżyła się do Franciszka I. Już po pięciu minutach Sikorka i Piegża wraz z dwoma dworzanami zniknęły w dalszych pokojach. Usłudni przyjaciele królewscy chcieli mu ułatwić sam na sam z jego nową sympatią.

Dziewczyna usiadła na wprost króla. Na twarzy miała czarną maskę. Maską ta jednak podnosiła jeszcze bardziej czerwień jej ust i śnieżną białość odkrytego gorsu. Wspaniałe jasne włosy, naturalnie wijące się, spływały na nagie ramiona, tworząc płaszcz, którego mogłaby jej pozazdrościć sama Diana de Poitiers, tak dumna ze swej fryzury.

Król podniósł się z miejsca, pozdrowił uprzejmie kobietę i złożył na jej małej rączce gorący pocałunek.

Potem usiadł, porwał cynowy dzban z winem, który przyniosła i sam nappełnił kubki...

— Te zachwycające rączki nie są stworzone do służenia innym — rzekł z kurtuazją.

— Ach, panie, przemawiasz do mnie jak do księżniczki, a ja jestem tylko skromną mieszczańką...

— Mieszczańką! — wykrzyknął król.

— To za wysoko? A więc powiedzmy tylko nieszczęsną dziewczką...

— Nie, nie, moje piękne dziecię, nie jesteś wcale dziewczką, twoje maniery, twój poważny sposób wysłowienia się, dźwięk słodkiego głosu, mimo iż starasz się go zmienić, jak również twa ukryta pod maską twarz, której piękności domyślałem się,

wszystko dowodzi mi, że jesteś kobietą innego stanu...

— Może! — rzekła poważnie kobieta.

— Czy zgodzisz się zdjąć tę maskę? Czy dostąpię szczęścia podziwiania twej piękności?

— Nie, panie, uczyniłam ślub, że nie odkryję twarzy...

— Nigdy?

— O, nie! to byłoby zbyt okrutne! — rzekła kobieta ze śmiechem.

— Tak! zbyt okrutne w stosunku do tych, których pozbawiłabyś pani w ten sposób cudnego widoku...

— Jestem piękna rzeczywiście — rzekła spokojnie dziwna dziewczyna — lecz uspokój się pan, termin mego ślubu upływa za kilka godzin...

— Za kilka godzin! Gdybym był królem, oddałbym koronę, aby móc zdjąć z pani twarzy tę maskę w tej chwili!

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

— Śmiejesz się, niedobra! — szepnął król,

— Śmieję się, bo mówiono mi już często podobne rzeczy! To dziwne, że mężczyźni chcą kobietę uwieść, używają zawsze tych samych sposobów.

— A ty, pani, spośród tych wszystkich, którzy ci czynili podobne wyznania, czy wybrałaś chociaż jednego?

— Kochałam jednego — odpowiedziała nagle poważniejąc — tak, jednego.

— Do wszystkich diabłów, dlaczego tym jednym nie byłam ja!

Dziewczyna uśmiechnęła się dziwnie.



— I jakże ten szczęśliwy człowiek miał na imię? — zapytał Franciszek I.

— Bardzo zależy panu na tej wiadomości? — zapytała zalotnie.

— Czy mi zależy? Imię rywala jest zawsze ciekawe dla tego, który chce być jego następcą!

— A więc, mój szlachcicu, nigdy nie znalazłam jego nazwiska... ale znalazłam jego imię... to był Franciszek!

— Franciszek? Ja również mam na imię Franciszek!

— Jak mój kochanek! ... i jak... król Francji!

— Tak, moje piękne dziecko, jak król. Jestem pewny, że gdyby król znalazł się w mojej sytuacji, byłby mniej wstrzeźliwy... lecz wróćmy do mego rywala... do tego Franciszka... nie kochasz go już pani?

— On nie żyje! — rzekła głosem, który wstrząsnął królem.

Potem dodała:

— Zabiłam go!

Król zadrżał.

Jednocześnie wychyliła jednym tchem swój kubek, a Franciszek I ujrzał, że oczy jej błysnęły dziwnym ogniem. Tak był podniecony widokiem tej kobiety, że nawet uczynione przez nią wyznanie nie zmniejszyło jego pożądania. Ta kobieta zabiła! A więc zdolna jest do gwałtownych uczuć.

— Zabiłaś go — rzekł biorąc w rękę dłoń zamaskowanej kobiety. — Mówisz mi to tak prosto... wiesz pani, że jesteś bardzo nieostrożna...

— Dlaczego?

— Gdybym na przykład, zamiast być biednym szlachcicem, jak to przypuszczasz... gdybym był...

— Kim? — zapytała skwapliwie.

— Gdybym był... prefektem?

Zaniosła się śmiechem.

— Cóż byś pan wtedy uczynił?

— Przypuszczam, że obowiązkiem moim byłoby niezwłocznie aresztować panią. Rozpocząłby się proces, a po paru tygodniach to piękne ciało zawisłoby na stryczku... na Montfaucon!

Teraz dziewczka zadrżała.

— Montfaucon! — szepnęła głucho.

Opanowała się jednak natychmiast i dodała:

— W takim razie, mój panie, byłbyś pan również nikczemny jak ów Franciszek, o którym mówiłam...

— Pamiętaj pani, że powiedziałem — gdybym był prefektem... Szczęśliwie nie jestem nim ani nikim w tym rodzaju i tajemnica pani jest głęboko pogrzebana w moim sercu. Zresztą gdybym nawet był prefektem, wołałbym raczej sprzeniewierzyć się memu obowiązkowi...

— Ach! — rzekła ironicznie — widać, że jesteś pan bardzo rycerski!

— A pani kochanek był nikczemny?

— Czy tak powiedziałam?

— Tak mi się zdaje.

— Jeśli tak powiedziałam, to musi być prawda... jakkolwiek wyraz nikczemny jest jeszcze zbyt łagodny, aby wyrazić dokładnie me uczucie...

— Cóż jednak pani zrobił ten biedak? — zawołał Franciszek z uśmiechem. — Niewątpliwie był to trzpiot... przysięgał pani

wieczną miłość, a potem szukał nowych miłostek?

— Chcesz pan wiedzieć, co on zrobił? Dobrze, opowiem panu, ponieważ zaczęłam już zwierzać się, należy dokończyć., a potem... pan mi się podoba — dodała omdlewającym głosem.

— O, gdyby tak było!

Franciszek I, upojony namiętnością, przyciągnął do siebie dziewczkę, która tym razem broniła się słabo.

Po chwili siedziała już u niego na kolanach z ramionami zarzuconymi na jego szyję. Usta ich połączył namiętny pocałunek.

— A więc kochasz mnie trochę? — zapytał cały drżący.

— Powiedziałam już panu, że mi się podobasz...

— Pójdź więc, pójdź!

— Nie!

— Ależ ja cię kocham! pragnę cię! pójdź!

— Zaraz! czy nie chcesz posłuchać mego opowiadania?

— Ach! tak, twego opowiadania... co mnie to wszystko obchodzi! Księżna czy nierządnicą, czy nawet córką piekła — kocham cię taką, jaką jesteś... pójdź!

— Proszę mnie puścić — rzekła tak niezręcznie się broniąc, że jej lekka suknia rozdarła się od góry do dołu, ukazując jej marmurowe kształty...

Oszalały namiętnością porwał ją w ramiona, przebiegł po kój i kopnięciem nogi otworzył drzwi prowadzące do sypialni....

Minęły dwie godziny.

La Châtaigneraie i d'Esse wrócili do pokoju w towarzystwie Sikorki i Piegzy. Widząc, że król i zamaskowana dziewczka znikli, uśmiechnęli się znacząco.

— Wiwat! — zawołał La Châtaigneraie śmiejąc się. — Dopelniona ofiara!

— Oby tylko nie przyniosła nam ona jakiegoś przysłego hrabiego, który miałby prawo zająć miejsce na ostatnim stopniu tronu! — dodał d'Essé.

— Ba, mój drogi! jeden więcej, jeden mniej, co za różnica?

O baj dworzanie wybuchnęli śmiechem.

W tej chwili z sąsiedniego pokoju rozległ się okrzyk przerażenia. La Châtaigneraie i d'Essé spojrzeli po sobie, blednąc ze zgrozy.

— Tam do diabła! to głos króla!

Rzucili się do drzwi, spoza których dobiegł krzyk; w tej samej chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął król.

Był blady jak ściana.

— Chodźmy stąd, panowie — rzekł drżącym głosem.

— Co się stało?

— Chodźmy! chodźmy!

Wyszli tak pośpiesznie, że odejście ich wyglądało na ucieczkę.

— Sire — zapytał La Châtaigneraie, gdy się już znaleźli na ulicy — wytłumacz nam...

— Ta kobieta, moi panowie... ta dziewczka...

— Co takiego, Sire?

— To nie kobieta... to mara!

Dworzanie spojrzeli po sobie, a wyraz ich twarzy zdawał się mówić: „Czyżby król oszalał?”

Franciszek I szybkim krokiem zaczął podążać do Luwru. Szli za nim zdumieni, a gdy już się znaleźli na podwórku zamkowym, król pożegnał ich słowami:

— Dobranoc, moi panowie... i ani słowa o tej przygodzie... nigdy, rozumiecie?

Oto co się stało.

Gdy po paru godzinach spędzonych sam na sam z zamaskowaną kobietą, Franciszek I kończył toaletę, dziewczka spoczywała na łóżku w pełnej rozleniwienia pozie.

Już zupełnie ubrany król przysiadł na brzegu łoża tuż przy niej:

— Może zechcesz teraz zdjąć opaskę? Na Boga! niema chyba piękniejszej kobiety nad ciebie! Tylko ty istniejesz dla mnie.

— Kłamiesz, mój panie! — rzekła dziewczka.

— Nie, nie, przysięgam!

— Na co?

— Na honor szlachcica... Zaśmiała się pośepnie.

— Nie jesteś przecież szlachcicem — rzekła.

Zmarszczył brwi, opanował się jednak i pomyślał: — Ba! może lepiej, że jest tego zdania! Zaczął mówić dalej: — Powiedziałś przed chwilą, że termin twego ślubu upływa dzisiejszej nocy.

— Tak, mój słodki... ślubowałam sobie bowiem nosić maskę

aż do dnia, kiedy spotkam człowieka, który pozwoliłby mi zapomnieć... o tamtym...

— Jesteś zachwycająca!... A ten drugi, masz do niego wielką urazę?

— Nienawidziłam go i nienawidzę go jeszcze, nienawidzę śmiertelnie, jakkolwiek nienawiść moja otrzymała w tej chwili zadośćuczynienie...

— Mówiłaś mi, że go zabiłaś...

— Tak, otrułam go.

Franciszek I skrzywił się.

— Wolałbym pchnięcie sztyletu.

— Użyłabym sztyletu, gdyby człowiek ten zasłużył na coś lepszego niż trucizna... gdyby był rycerzem. Lecz to był nędznik i użyłam przeciw niemu broni godnej nędzników...

— Opowiedz mi jak to było?

— Aaa... teraz chcesz poznać moją historię.

— Ale tak, moja piękna, wszystko co ma związek z tobą, obchodzi mnie.

— A więc przed kilku laty byłam biedną dziewczyną, która za jedyny majątek miała swą urodę.

— Której nie zastąpiłyby wszystkie skarby świata.

— Pochlebco! Byłam więc biedna, bardzo biedna. Matka moja umarła prawie w nędzy... Zostałam sama.. Och! wołałabym umrzeć wtedy razem z nią!

— Ależ ta twoja historia jest strasznie ponura! Mów o miłości...

— Zaczekaj mój rycerzu, będzie jeszcze gorsza... Duma nie pozwalała mi słuchać czynionych wobec mnie propozycji... cóż pan chcesz, duma to jedyne bogactwo biedaków... Wielu panów

proponowało mi pieniądze, nikt jednak małżeństwa. — Jeden wreszcie uczynił tę ofiarę. Był to mieszczanin, bogaty, powszechnie szanowany. Przyszedł do mnie i spytał: „Czy chcesz zostać moją żoną? Jestem bogaty; uczynię cię również bogatą. Dam ci wszystko, w zamian nie żądam od ciebie nic... Będziesz mą żoną jedynie z nazwiska... jednakże jeśli za rok, za pięć lat, jeśli kiedykolwiek serce twoje zabije dla mnie — będę hojnie za to wynagrodzony”.

Dziewka zamilkła, głos jej zadrżał tłumionym wzruszeniem.

— Na Boga! — zawołał król — mieszczanin ten postąpił jak szlachcic...

— Ublizasz mu pan! — rzekła poważnie dziewczka, potem mówiła dalej:

— Przyjęłam propozycję tego szlachetnego człowieka. Nie był młody ani piękny, lecz przysięgam sobie zmusić się do pokochania go. Pobraliśmy się. Przez dwa miesiące udawałam, że zastanawiam się nad swoją sytuacją i nad tym, czy mam zostać faktycznie jego żoną. On tymczasem starał się uczynić życie me słodkim i przyjemnym. Usiłowałam go pokochać, nawet szczerze, i może by mi się to udało. Na razie otrzymał ode mnie najwyższą nagrodę, której wcale nie żądał — oddałam mu się, jeśli już nie z miłości, to w każdym razie z prawdziwej życzliwości. Niestety! nie dochowałam mu wiary!

Dziewka znowu zamilkła, z piersi jej wylatywał charczący oddech.

— To naprawdę grzech! — zawołał wesół Franciszek I.

— Tak pan sądzisz?

— Cóż znowu! Kobieta tak bosko piękna jak ty, musi z obowiązku zdradzać swego męża!

— Tak też się stało, mój panie — odpowiedziała dziewczka ostro. — Pewnego dnia jakiś szlachcic, wyglądający na księcia, ktoś bardzo wysoko postawiony, stanął na mej drodze. Pokochałam go od razu, nie wiedząc nawet kim jest...

— Aha! To pewnie ten sławny Franciszek?

— Właśnie! Ten, który ma takie samo jak pan imię...

— Jak król Francji! — dokończył Franciszek I, wybuchając śmiechem.

— Tak, jak sam król Francji.

— I powiadasz, że to był książę?

— Tak mi przynajmniej powiedział. Wierzyłam w to aż do dnia, w którym przekonałam się, że ów książę był zwykłym nicponiem z duszą lokaja...

— Jesteś surowa dla biedaka. Nieprawdąż? Wystarczyło zabić go.

— Gniew mnie ponosi... masz pan rację. Mówię zupełnie tak, jakby on tu był przede mną, jakby siedział na brzegu łóżka, ot, w tym miejscu co pan... Wydaje mi się, że j mnie słucha. Mam chęć wyjawić mu całą prawdę...! Powiedzieć: „Franciszku, niepotrzebnie masz na sobie ubranie książęce i niepotrzebnie podszywasz się pod książęcy tytuł. Wiedz, że cię odgadłam, jesteś tylko nikczemnikiem z duszą lokaja”.

— Moja piękna, twoje śliczne paluszki mają tygrysie pazurki!

Dziewka nagle się podniosła, przyklękła, pochyliła się, jakby gotując się do skoku — prawdziwa piękna tygrysyca.



Potem porwała za rękę Franciszka I, wbijając w nią paznokcie.

— Och! przepraszam! — rzekła, odzyskując panowanie nad sobą. — Mam czasem takie napady...

— Być podrapanym przez ciebie to jeszcze przyjemność — rzekł uprzejmie król — lecz mów dalej...

— Na czym to stanęłam? Aha! Opowiadałam o tym szlachcicu...

— O fałszywym księciu...

— Tak! O fałszywym księciu. Kochałam go, zdawało mi się bowiem, że czytam również w jego oczach prawdziwą miłość. Kochałam go, ponieważ słowa jego miały akcenty szczerości, którą byłam zachwycona. Nie było tak czulej nazwy, której by mi nie nadał. Nie zniżył mnie jego tytuł. Przeciwnie, wolałabym, aby był biedakiem niskiego pochodzenia. Kochałam go z całej duszy i z całego serca.

Dziewka wstała już z łóżka i zaczęła się ubierać. Franciszek I zauważył, że wdziewa strój męski. Przyglądał się temu ubawiony, ani myśląc się dziwić.

Dziewka mówiła dalej:

— Zdradziłam więc człowieka, który poświęcił mi życie, aby tylko mnie uszczęśliwić i zaspokoić wszystkie me kaprysy. Nie czułam wyrzutów sumienia, a gdybym nawet je czuła, miłość stłumiłaby je szybko.

— I on opuścił cię, nieprawdaż?

— Tak. To pana śmieszy?

— Przyznaj mi, że nie ma powodu do płaczu...

— To zdumiewające! Mówisz pan tak, jak on mówił...

Tym razem głos dziewczki zabrzmiał tak dziwnie, że Franciszek

zadrżał i jakiś nieokreślony niepokój zaczął się budzić w jego duszy. Mówiła dalej:

— Gdyby mnie tylko opuścił, mniejsza o to. Umarłabym ze smutku, ot i wszystko. Ale ja żyję!

— Cóż więc ci zrobił? — rzekł król z powagą.

— Pewnego dnia mój kochanek znudził się mną. Widywaliśmy się w małym samotnym domku pełnym kwiatów, w którym spędzałam najśladźsze i najstraszniejsze godziny mego życia. W dniu, kiedy mu się sprzykrzyłam, zamiast powiedzieć mi o tym, zamiast opuścić mnie, zamiast po prostu zachować się jak nasycone zwierzę...

— No! no! dokończ!

— Porozumiał się z moim mężem...

Franciszek I, który siedział na brzegu łóżka, zerwał się z miejsca i skoczył ku dziewczynie, która w tej, chwili wkładała przed lustrem czarny aksamitny beret.

— Co ty mówisz? — zawołał.

— Aha! Moje opowiadanie zaczyna teraz pana interesować, nieprawdaż? Ale to jeszcze nie wszystko... Czekaj... Księżę z duszą lokaja, wiesz pan, co on zrobił? Wręczył memu mężowi klucz od małego domku, w którym spotykaliśmy się! Wyjawił mi godzinę naszej schadzki!

Błady, niezdolny uczynić jednego gestu, Franciszek I szepnął:

— Magdalena Ferron.

Ona nie słyszała go.

— Nędznik przyszedł na umówioną godzinę, potem oddalił

się nasycony mymi pieścizotami. Odchodząc upewnił się, czy mój mąż jest przed domem... Tak, był... wszedł, chciał rzucić się na mnie... Przywołałam kochanka na pomoc... i wtedy usłyszałam, jak wybuchnął śmiechem... Czekaj! czekaj! to jeszcze nie wszystko... Mój mąż przyprowadził kogoś ze sobą... tym kimś był kat! słyszysz pan, kat! Zawleczono mnie na Montfaucon... tam powieszono mnie...

Oslupiały, nieprzytomny z przerażenia król wyjąkał:

— Powieszono!

— Tak, powieszono! Czekaj, to nie wszystko. Wróciłam do małego domku miłości...

— Ona wróciła! — szepnął król w osłupieniu.

— Wróciłam do domku miłości — mówiła dalej już naturalnym głosem — zastałam tam mego męża. Byłam zmuszona go zabić. Wtedy zrozpaczona, zraniona w mej dumie, przysięgam sobie zemścić się na nikczemniku... Zemsta moja była straszna... Ściągnęłam go na schadzkę... podnieciłam jego zmysły... całował mnie w usta. A wiesz pan co przedtem uczyniłam? Zatrulałam się jadem strasznej zarazy. Usta moje to ognisko trucizny, jadu choroby, która nie zna litości! Ktokolwiek mnie dotknie, jest skazany na śmierć!

Okropna, rozpromieniona zbliżyła się do króla, który osłupiały sądził, że dręczy go jakaś straszliwa zmora senna.

Nieskończenie słodkim głosem zapytała go:

— Teraz, mój miły kochanku, teraz Franciszku, królu Francji, czy chcesz jeszcze, żebym zdjęła moją maskę?

Masz, rozwiąż wstążki...

Pochyliła się ku niemu.

Król cofnął się gwałtownie i wydał straszliwy okrzyk. Zakrył oczy rękami.

Usłyszał piekielny śmiech, potem szmer kroków... obejrzał się dokoła.... Magdalena Ferron zniknęła!

Z jękiem przerażenia, chwiejąc się na nogach jak człowiek pijany, Franciszek I rzucił się do drzwi. Otworzył je i ujrzał La Châtaigneraie'a i d'Esse'go biegnących ku niemu.

## ROZDZIAŁ XX

### TRICOT DZIAŁA

Tricot szedł do Zapluskwionej Dziury.

Wiedział tylko to, że tam, u wylotu ulicy de la Huchette, dwaj złodzieje podsłuchali rozmowę mnichów. Choć służył wiernie Loyoli i prefektowi, mnich nie ujawnił mu swojej kryjówki.

Po przybyciu na miejsce Tricot znalazł się w kłopotcie. Do którego domu ma wejść? A po wejściu do jakich zapukać drzwi? Przez kilka minut myślał nad tym, nie wiedząc co począć. Nagle zawrócił i ruszył pośpiesznie w stronę Bastylii.

Postanowił, że opowie wszystko prefektowi. O pół do jedenastej przybył do pałacu pana de Monclara. Cały pałac pogrążony był we śnie, w żadnym z okien nie paliło się światło.

Tricot znał jednak teraz doskonale wszystkie duże i małe drzwi wiodące do domu szefa policji królewskiej. Wyniesiony do godności tajnego agenta i szpiega, nic sobie nie robił ze służby pałacowej, która się go bała.

Zapukał więc w umówiony sposób do małych drzwiczek położonych na lewo od bramy wjazdowej. Po chwili otworzyło się

cichutko małe okienko i głos z ukrycia zapytał:

— Kto jesteś? Czego chcesz o tej porze?

— Jestem Tricot, czcigodny panie odźwierny — odpowiedział król złodziei szyderczym tonem — a chcę widzieć się z panem prefektem w bardzo pilnej sprawie.

Drzwi otworzyły się niezwłocznie.

— Wejść, pocziwy panie Tricot — rzekł odźwierny.

— Zaczekaj, poszukam lokaja, który cię zaprowadzi do pana.

— Czy wielmożny pan już spał? — zapytał Tricot.

Lokaj wzruszył ramionami.

— Nikt nie wie, kiedy wielmożny pan śpi — odpowiedział.

Wprowadzono Tricota do gabinetu prefekta. Pan de Monclar siedział przed płonącym kominkiem i, zdawało się, rozmyślał. W chwili, gdy Tricot wszedł, podniósł, powoli głowę i skinieniem ręki przywołał go do siebie.

— Mów, co się stało?

— Wielmożny panie, dwaj nicponie z Dzielnicy Cudów, na rogu Zapluskwionej Dziury i ulicy de la Huchette, przyłapali pana de Loyolę i braci Thibauta i Lubina na rozmowie. Z rozmowy tej wynika, że książki, znalezione u Stefana Doleta, trafiły tam z rozkazu pana de Loyoli. Otóż, wielmożny panie, owi dwaj nicponie powiedzieli mi, że idą uprzedzić Lanthenaya.

— Trzeba im w tym przeszkodzić — rzekł prefekt.

— Wielmożny panie, trudno mi to przyjdzie, musiałbym chyba im odkryć mą grę... zresztą już jest pewnie za późno!

— Dobrze, mój Tricocie, jesteś wiernym sługą. Możesz się oddalić. Jutro skorzystam z twoich interesujących informacji.

— Czy wielmożny pan pozwoli mi udzielić sobie pewnej rady?

— Mów — rzekł prefekt marszcząc brwi.

— A więc, wielmożny panie, znam Lanthenaya — rzekł Tricot z nienawiścią w głosie. — Nie będzie czekał do jutra! Nie wiem, gdzie mieszka pan de Loyola, ale Lanthenay może znać jego adres...

— A więc?

— Z chwilą, gdy ci nicponie opowiedzą mu wszystko, na pewno porwie za szpadę czy sztylet i pobiegnie do pana Loyoli. Jeśli więc wielmożny pan pójdzie do niego jutro, może już być za późno, o ile już nie jest za późno w tej chwili!

Prefekt wstał z fotela ze słowami:

— Jesteś człowiekiem nieocenyonym...

— Wielmożny pan przypomina sobie, co mi obiecał? — zapytał Tricot, zadowolony z pochwały.

— Tak, tak, bądź spokojny. Niczego nigdy nie zapominam!

Dając znak Tricotowi, aby szedł za nim, Monclar udał się na podwórze pałacowe. W głębi, na prawo od stajen, za małym budynkiem służącym jako mieszkanie dla szwajcara, była wartownia, w której znajdowali się zawsze w pogotowiu konni muszkietery.

De Monclar zabrał ze sobą czterech żołnierzy, kazał dać konie Tricotowi i sam dosiadł swego wierzchowca.

Cały oddziałek, poprzedzany przez lokaja, który niósł

pochodnię, opuścił podwórze pałacowe i ruszył natychmiast w kierunku Zapluskwionej Dziury.

Prefekt, posępny i zamyślony jak zwykle, jechał na czele, za nim czterech konnych muszkieterów, wreszcie zamykający pochód Tricot, który trzymał się przezornie poza obrębem światła rzucanego przez pochodnię.

Wiedział doskonale o tym, że wystawia się na niebezpieczeństwo rozpoznania przez któregoś z włóczęgów lub nocnych maruderów, który byłby niepomiernie zdziwiony, widząc króla złodziei w takim otoczeniu. W tym wypadku alarm w Dzielnicy Cudów byłby pewny, a czcigodny król złodziei wiedział doskonale, co by go za to spotkało.

O kilka kroków od Zapluskwionej Dziury Monclar zatrzymał oddział. Zsiadł z konia. Wydał polecenie zgaszenia pochodni i wszedł w zaułek. Przywołał Tricota ruchem ręki.

De Loyola co prawda nigdy nie mówił prefektowi o tym, gdzie mieszka. Podał mu tylko jako swój urzędowy paryski adres — klasztor Benedyktynów. Lecz pan de Monclar był człowiekiem przezornym. Przewidywał, że może przyjść kiedyś chwila, kiedy będzie zmuszony aresztować hiszpańskiego mnicha, do którego król nie czuł przecież wielkiej sympatii i którego się bał. Toteż kazał jednemu ze swoich agentów śledzić Loyolę. Teraz wiedział dokładnie, dokąd należy się udać.

Bez wahania wszedł do wnętrza domku i zaczął piąć się po schodach. Towarzyszył mu Tricot. U szczytu schodów ujrzał uchylone drzwi, przez które padał promień światła.



Zapukał, a nie słysząc odpowiedzi, pchnął lekko drzwi, wszedł i dał kilka kroków naprzód. W tej samej chwili wzrok jego padł na leżącego na ziemi, bladego jak trup, Loyolę.

— A co? Powiedziałem panu! — szepnął Tricot.

— Sądziś więc, że to Lanthenay jest sprawcą? — zapytał Monclar, pochylając się nad leżącym, aby obejrzyć z bliska ranę.

— Jestem tego tak pewien, panie prefekcie, jak pewien jestem, że człowiek ten zamorduje mnie, gdy się dowie, kto pana tu przyprowadził. Oto rana, która mi dużo powie.

— Jeszcze oddycha — rzekł Monclar.

Powstał z ziemi i rozejrzał się dokoła.

Na stole zauważył inkaust i papier, napisał kilka słów na arkuszu i oddał go Tricotowi:

— Idź do dowódcy oddziału i powiedz, że ma odnieść to do Luwru i sprowadzić niezwłocznie chirurga królewskiego.

Tricot znikł. Monclar usiadł w fotelu zajmowanym przez Loyolę w chwili jego rozmowy z Lanthenayem.

Choć upłynęła godzina, prefekt nadal siedział bez ruchu i myślał, wpatrując się w rannego.

Wreszcie na schodach rozległy się kroki. Ukazał się Tricot, poprzedzany przez otyłego mężczyznę z twarzą apoplektyka. Mężczyzną wpadł do pokoju zdyszany na skutek przebytej pośpiesznie drogi. Był to chirurg Franciszka I.

— Do diabła, panie hrabio — rzekł — jedynie na żądanie pana zdecydowałem się...

— Służysz pan królowi! — rzekł sucho Monclar.

— O co chodzi?

— Patrz pan.

Monclar wskazał na mnicha.

— Kim jest ten człowiek? — zapytał chirurg.

— Nie znasz go pan? Tym lepiej! Niech to panu wystarczy, że zadano mu piękny cios szpadą...

Chirurg nie słuchał go już. Ukłąkł przy Loyoli i zaczął badać ranę. Oględziny dokonywane przy pomocy stalowej sondy nie wydobyły nawet jednego westchnienia z piersi rannego, który był pogrążony w całkowitej nieświadomości. Badanie trwało blisko dziesięć minut. Monclar siedział znowu w fotelu, a Tricot trzymaną w ręku lampą oświetlał leżącego.

— Dusza tego kawalera mocno trzyma się ciała — rzekł wreszcie chirurg. — Miał szczęście... proszę się zbliżyć, panie hrabio.

Monclar pochylił się nad rannym.

— Patrz pan — rzekł chirurg — czy widzisz ten skrzep krwi przy brzegach rany? To on ocalił mu życie. Gdyby nie to — już by nie żył... Jeśli w ogóle wydobrzeje, rekonwalescencja nie będzie zbyt długa.

— Jeśli wydobrzeje? A więc sądzisz pan, że będzie żyć?

— Nic jeszcze nie wiem... pomóż mi pan przenieść go... jest chyba jakieś łóżko w tym mieszkaniu.

Monclar otworzył na chybił trafił jedno z drzwi wychodzących do pokoju.

— Tu jest — powiedział.

Był to sypialny pokój Loyoli: jedyny jego mebel stanowiło

małe łóżko. Na ścianie wisiał obraz Najświętszej Panny.

Chirurg wziął rannego za ramiona, Tricot zaś za nogi i obaj położyli go na łóżku. Nie dawał żadnego znaku życia.

— Zrobię opatrunek — rzekł chirurg zabierając się do przemycia rany.

Może świeża woda orzeźwiła nieco Loyolę, otworzył bowiem oczy i wydał westchnienie, lecz prawie natychmiast wpadł znowu w stan omdlenia.

Około trzeciej chirurg oddalił się mówiąc, że na razie nie ma nic więcej do roboty. Obiecał powrócić nazajutrz z samego rana.

— Lecz kto go dopilnuje? Kto zostanie przy nim? — zapytał.

— Ja — odpowiedział Monclar.

Chirurg oddalił się zdziwiony, a Monclar zasiadł przy ranym w fotelu.

O świcie chory zaczął głucho jęczeć. Prefekt zbliżył się szybko do łóżka w nadziei, że Loyola przemówi, lecz ten nie otworzył nawet oczu. Jęczał tylko słabym głosem aż do chwili, kiedy chirurg powrócił, odnowił opatrunek i wlał mu do ust jakieś lekarstwo.

Było już po dwunastej.

Wkrótce po zmianie opatrunku ranny otworzył oczy, spojrział tym razem przytomniej, wreszcie utkwiał wzrok w prefekcie. We wzroku jego widniała radość i niepokój.

— Czy jesteś pan zadowolony z tego, że mnie tu widzisz? — zapytał Monclar.

Ranny skinął głową.

— Jak się pan czujesz?

— Czuje, że wracają mi siły — odpowiedział Loyola. Jakkolwiek dziwne te słowa były wymówione głosem słabym jak podmuch wietrzyka, ich ton zdradzał niezłomną wolę i pełną świadomość.

— Czy możesz mówić? — zapytał pośpiesznie Monclar. — Odpowiedz pan jednym tylko wyrazem na każde pytanie. Kto zadał panu ranę? Czy włóczęga Lanthenay?

— Tak! — szepnął Loyola zdziwiony.

— Dlaczego chciał pana zabić?

— Dolet!

Imię to wystarczyło za wszystkie wyjaśnienia. Prefekt zrozumiał.

Loyola wpatrywał się znowu w niego niespokojnym wzrokiem. Czynił gwałtowne wysiłki, aby mówić.

— Nie niepokój się pan — rzekł Monclar — zrozumiałem... Ten Lanthenay związany jest bliskimi więzami z rodziną drukarza, przypuszczał więc niesłusznie, że pan jesteś przyczyną aresztowania Doleta. Zemścił się. Widzisz pan, że wiem wszystko... ale to jeszcze nie koniec, nieprawdaż? Masz mi jeszcze coś innego do powiedzenia?

— Tak.

— Mówił panu pewnie coś, co chciałbyś mi powtórzyć?

— Glejt! — szepnął Loyola z wysiłkiem.

— Glejt! — zawołał Monclar.

Wzrok Loyoli zatrzymał się na jego obandażowanej piersi.

— Miałeś przy sobie glejt? Tam? w kaftanie?

Loyola zamknął oczy na znak potwierdzenia. Chirurg delikatnie, ostrożnie przeszukał kaftan.

— Nie ma żadnego papieru — oświadczył.

Wzrok Loyoli błysnął wściekłością.

— Kto podpisał ten glejt? — zapytał Monclar.

— Król!

— A gdzie można z nim wejść?

— Conciergerie!

— Ach! Więc miałeś glejt na widzenie się ze Stefanem Doletem?

— Tak!

— Teraz rozumiem wszystko! — zawołał Monclar. — Lanthenay dowiedział się, że masz pan glejt. Przyszedł tu, aby cię zabić i odebrać go! Teraz papier jest w jego ręku i Lanthenay niewątpliwie posłuży się nim...

— Gońcie za nim! — rozkazał Loyola ostatnim wysiłkiem energii. Zemdlał.

Monclar wypadł na ulicę.

Prefekt spędził całą noc bezsennie. Prawdopodobnie był do tego przyzwyczajony, bo już po upływie pół godziny gnał na czele silnego oddziału konnego do Conciergerie.

## ROZDZIAŁ XXI

### BITWA

Gdy Lanthenay krzyknął: „Do mnie, Manfredzie!”, Manfred wołając towarzyszy, ze szpadą w ręku rzucił się do wnętrza więzienia.

Banda żebraków ruszyła za nim. Wpadli na żywą barykadę ze strażników. Straszna walka zawrzała w przedsionku. Włóczędzy rzucali się jak szatani, a każde podniesienie ramienia jednego z nich kosztowało życie kolejnego strażnika. Kilka trupów i tyłuż rannych leżało już na kamiennych płytach, brocząc krwią. Żywy mur halabardników rozsypywał się, ustępował przed nacierającymi...

Lanthenay porwał nagle Doleta za rękę i rzucił się w tłum ze spuszczoną głową.

— Naprzód — ryczał Manfred, wbijając sztylet w sierżanta.

Lanthenay pobiegł za nim.

W tej chwili na ulicy rozległ się ostry głos prefekta wydającego krótkie rozkazy. Nadbiegli konni muszkietierowie i, ustawwszy się na wprost drzwi, przygotowali broń.

Lanthenay parł naprzód, wlokąc za sobą Doleta. Wbił się w

tłum przez lukę, jaką utworzył padający na ziemię sierżant.

— Uratowany! — zawołał.

Lecz w tym samym momencie uczuł pchnięcie. W chwilę potem znalazł się poza linią żołnierzy, pomiędzy ludźmi Manfreda, podczas gdy Dolet zatrzymany przez Le Mahu, pozostał wewnątrz więzienia.

Kilku strażników otoczyło natychmiast drukarza, inni zaś zrobili zwrot i zaczęli walczyć z włóczęgami.

— O my nieszczęśni! — jęknął Lanthenay.

Chciał rzucić się na halabardników. Manfred złapał go wpół.

— Wolni, potrafimy go jeszcze ocalić! — rzekł pośpiesznie.  
 — Odwrót!

Rozległ się grzmot wystrzałów, to muszkietery dali salwę.

Monclar rzucił rozkaz nabicia muszkietów.

— Naprzód! — zawołał Manfred, robiąc zwrot w stronę ulicy.

Spojrzał po swoich: niewielu ich pozostało.

Lanthenay oszołomiony, ociekający krwią miał wrażenie, że śni jakiś straszny sen. Dał się prowadzić bez oporu. W chwilę potem był już na ulicy.

— Cel! — rzucił rozkaz Monclar.

Położenie Manfreda i jego towarzyszy było trudne. Ustawieni w zwartym szeregu muszkietierowie zaczęli celować w mały oddziałek opuszczający bramę więzienia. Manfred w jednej chwili zrozumiał, że wszyscy skazani są na śmierć. Spojrzał dokoła wściekłym wzrokiem. Zobaczył Monclara, który szykował

się do wydania rozkazu strzelania. Jednym susem znalazł się przy nim.

Wszyscy zgromadzeni: włóczędzy, halabardnicy, strażnicy i mieszczenie, wychyleni z okien, ujrzeni nadzwyczajny obraz.

Manfred skoczył zwinnie na zad wierzchowca Monclara. Zamierzył się na prefekta sztyletem.

— Jeżeli bodaj jeden z muszkietów strzeli — ryknął głośno — zabiję cię, prefekcie, jak psa!

Monclar niewzruszony zakomenderował:

— Ognia!

— Ani się ważcie — ryknął Manfred, przykładając ostrze sztyletu do szyi Monclara.

Muszkietierowie spuścili broń.

Włóczędzy otoczyli Lanthenaya i pobiegli w stronę Sekwany w szalonym pędzie.

Wtedy dopiero Manfred zeskoczył z konia i zaczął doganiać uciekających.

— Ognia! Ognia, do stu piorunów! — zawył Monclar.

Tym razem muszkietierowie strzelili.

Manfred słyszał nad głową świst kul. Zawrócił, wpadł w jedną z uliczek i zniknął.

Monclar w całej tej potyczce był niewzruszony, nie zadrzał.

Le Mahu podbiegł do niego:

— Panie prefekcie, cóż za popłoch!

— Gdzie więzień? — zapytał Monclar.

— Trzymamy go! — zawołał triumfalnie. — Przybyłem w samą porę, aby go porwać z narażeniem życia.

— To dobrze. Zakuć go w kajdany.



Prefekt zwrócił się do muszkieterów.

— Panie — rzekł do dowodzącego oficera — dlaczego nie usłuchałeś mego rozkazu i nie kazałeś strzelać?

— Aby ocalić panu życie, panie prefekcie — odpowiedział oficer.

— Miesza się pan do nie swoich spraw. Oddaj pan szpadę.

Oficer wzruszył ramionami i podał broń swemu porucznikowi.

Na dany przez prefekta znak otoczyło go czterech żołnierzy.

— Odprowadzić tego buntownika! — rzekł zimno Monclar.

— Dokąd, panie prefekcie? — zapytał porucznik.

— Do Bastylii!

— Dziękuję panu! — zawołał oficer. — Mam dobrą nauczkę! Bądź pan pewien, że na drugi raz pozwolę pana zabić...

Monclar nic nie odpowiedział, zsiadł z konia i wszedł do więzienia.

— Jak się to wszystko stało? — zaczął wypytywać dyrektora. — Streszczaj się pan.

Le Mahu opowiedział o wczorajszej wizycie de Loyoli, który pokazał mu rozkaz z własnoręcznym podpisem króla, a także o tym, jak tegoż samego dnia pan de Loyola powrócił i został wprowadzony do celi Stefana Doleta.

Czcigodny dyrektor jeszcze nie rozumiał, że pod habitem mnicha krył się nie Loyola, lecz zupełnie ktoś inny.

Monclar wzruszył ramionami.

— Zaprowadź mnie do więźnia.

Doleta wtrącono znowu do celi i przykuto go do muru. Jego nowa cela znajdowała się na parterze, nie była więc zalana wodą. Więzień musiał tylko znosić torturę dźwignia ciężkiego łańcucha na rękach i na kostkach.

— Chciałeś pan zbiec? — zapytał prefekt wchodząc.

— A więc jesteś pan winny?

Nie dając Doletowi czasu na odpowiedź, mówił dalej:

— Masz pan jednak jedno usprawiedliwienie: porwał pana ten człowiek...

— Mylisz się pan, to ja go porwałem — rzekł Dolet. — On przyszedł do mnie tylko dlatego, aby mi złożyć dowód przyjaźni.

— To nie zmniejsza jego winy — zasłużył na stryczek.

Dolet spojrział na prefekta zapytując w duchu, w jakim celu powiedział mu to wszystko.

— Może pan — mówił dalej Monclar — złagodzić swój los i uniknąć surowej kary.

Dolet milczał.

— Powiem panu w jaki sposób. Lecz dowiedz się przede wszystkim, że czeka cię pewna kara śmierci. Jedno jeszcze jest dla mnie niewiadomą: czy skażą pana na powieszenie czy też na stos.

Dolet zadrżał.

— Będzie pan jednak żył — rzekł szybko Monclar — a nawet zostaniesz wypuszczony z więzienia, jeśli uczynisz to, co ci powiem.

— Mów pan.

— A więc ten człowiek, który tu był u pana, musi panu ufać, nieprawdaż? Ściągnij go pan tutaj, powiem panu jak to zrobić, wtedy będziesz wolny — życie za życie.

Dolet podniósł na Monclara spokojne i uroczyste spojrzenie, a potem bez cienia gniewu szepnął:

— Budzi pan we mnie litość..

Monclar zachnął się gniewnie.

— Nie zgadzasz się? Dobrze, dobrze... przyjdzie czas, kiedy pożałujesz tej chwili...

Obrzucił Doleta ostatnim spojrzeniem, w którym wyczytać można było podziw. Ukłonił się z lodowatą grzecznością i opuścił celę.

## ROZDZIAŁ XXII

### TRUCIZNA

Nazajutrz po spotkaniu Franciszka I z Magdaleną Ferron, mistrz Rabelais siedział w jadalni przy kominku, w którym płonął suty ogień.

— Biedny Dolet zgubiony — rozmyślał — wkrótce przyjdzie kolej na mnie. Może uczyniłbym mądrzej, udając się dokądś poza granice naszej pięknej Francji.

Podszedł do okna i otworzył je:

— Piękny kraj, daję słowo! — szepnęła z ironią — Mgły, drzewa nagie, gałęzie chwieją się i trzeszczą, wstrząsane podmuchem północnego wiatru. Jestem pewny, że włoskie słońce przyspieszyłoby pozbycie się zastarzałego reumatyzmu, który mnie dręczy... Nie ma tu czym oddychać!

Zamknął okno i wrócił do kominka, przysuwając sobie mały stolik zawalony papierami i książkami.

— Biedny Dolet — szepnęła... — Stanowczo wyjadę... Kiedy?... Ech! do kata! Jak najprędzej, bodaj jutro!

Do uszu jego doleciał turkot zbliżającej się karocy.

— Diabli nadali! — rzekł, odkładając gęsie pióro, które właśnie wziął do ręki. — Czy ta karoca tutaj zmierza?

Powóz zatrzymał się przed domem.

Rabelais zbladł.

— Ano — pomyślał — za długo zwlekałem... jak Dolet.

— Zapukano do drzwi.

— Otwórz — rzekł do służącej pełnym rezygnacji tonem. — Otwórz, bo to w imieniu króla...

Służąca otworzyła, wszedł oficer.

— Mistrzu Rabelais — rzekł, odsłaniając głowę — przychodzę w imieniu Jego Królewskiej Mości...

— Jezus Maria! — zawołała służąca — nasz pan jest chyba naprawdę czarownikiem! Nie chciałam w to wierzyć...

— Stul głębę i idź do wszystkich diabłów! — mruknął Rabelais. — To ścierwo zawiedzie mnie na szubienicę swymi bajdami o czarodziejstwach! Panie! wcale nie stawiam oporu i jestem gotów jechać z panem.

— Jego Królewska Mość będzie panu za to wdzięczny...

— Jak to?! — wykrzyknął Rabelais ze zdziwieniem.

— Tak! król polecił mi ubłagać pana, abys pośpieszył nie zwlekając...

— Ubłagać? Jesteś pan tego pewien?

— Są to słowa Jego Królewskiej Mości, kazał mi powtórzyć je panu.

— A więc pan nie przychodzisz aresztować mnie?

— Bynajmniej! — odparł oficer z uśmiechem. — Jednakowoż muszę panu dodać, że otrzymałem rozkaz zabrania pana przemocą, jeślibyś chciał zwlekać...

— Idę.

Rabelais owinął się w płaszcz i wsiadł do karocy, w której zajął miejsce również oficer królewski.

— A jednak to aresztowanie! — myślał w duchu Rabelais. — Ponieważ przypuszczali, że mogę się opierać, zawracają mi głowę różnymi bajdami, żeby uniknąć skandalu.

Usadowił się w kącie i zamknął oczy, aby spokojnie oddać się rozmyślaniom, które nie były wesołe. Daremnie oficer, znudzony długą drogą, zagajał rozmowę. Rabelais odpowiadał jedynie mruzeniem.

Wreszcie karoca zatrzymała się.

— Jesteśmy w Luwrze — rzekł oficer. — Zbudź się, mistrzu.

— W Luwrze! — wykrzyknął uczony. — Jesteś waść pewny, że ani w Bastylii, ani w Conciergerie, ani w Grand-Châtelet? Tak, daję słowo... rzeczywiście — to Luwr!

Natychmiast jednak przypomniał sobie, że Luwr posiada również cele, w których trzymano więźniów politycznych.

— Och! — szepnął — ze mną jest jeszcze gorzej niż z Doletami

Wszedł do przedpokoju, w którym pełno było dworzan i straży. Wszyscy z szacunkiem rozstąpili się przed nim, robiąc mu miejsce.

Bassignac, pokojowiec królewski, ujrzawszy go podbiegł, aby go powitać.

— Chodź, mistrzu, chodź, a żywo!

— Ale co się stało, na miłość boską?

Bassignac nie dał żadnej odpowiedzi i pchnął Rabelais'go do pokoju.

Rabelais stanął przed Franciszkiem I.

Po wyjściu od Maladry, król wrócił do Luwru i wszedł niepostrzeżony do swego pokoju.

Lubiąc nocne wyprawy, zawsze się tak urządzał, by nikt go nie widział. Nie dlatego, że chciał ratować godność królewską — uważał, że stoi nawet ponad tą godnością — lecz pragnął uniknąć pytań księżnej d'Etampes, bardzo zazdrosnej i zawsze czujnej.

Nikt więc, poza zaufanymi dworzanami, nie był wtajemniczony w jego przygody miłosne.

Gdy już się znalazł u siebie, spojrzął w lustro; miał bardzo bladą twarz. Jednakże powoli zaczął wracać do siebie.

Otrząsnął się jakoś z zabobonnego lęku, który go ogarnął.

— Nie, nie — powtarzał — nie z marą miałem do czynienia! Ona żyje! żyje! A jednak nosi w sobie śmierć!

Co? Jestem zatruty straszną chorobą? Czyżby zaraza przeniknąć miała me ciało, jak mi to z przerażającym triumfem oświadczyła?

Miał w domu kilku lekarzy, jednak żadnemu z nich nie ufał.

Chodził czas jakiś wzburzony po pokoju, potem położył się i zasnął gorączkowym snem, pełnym ciężkich widziadeł.

O świcie był już na nogach i kazał przywieść niezwłocznie Rabelais'go.

— Jeśli kto może mnie uratować — myślał — to tylko on.

— Sire — rzekł Rabelais wchodząc — jestem na usługi Waszej Królewskiej Mości, jakkolwiek nie rozumiem zupełnie,

czemu przypisać mam tę łaskę twoją, Sire, jaką mnie zaszczycaś i której wcale się nie spodziewałem doznać...

— A czegoś się spodziewał, mistrzu?

— Że spotka mnie los Stefana Doleta.

Król zmarszczył brwi. Rabelais jednak ciągnął dalej śmiało:

— Ściągnąłem na siebie tę samą nienawiść co mój nieszczęsny przyjaciel, Sire. Miałem więc wszystkie po temu dane, by przypuszczać, że podzielę jego los.

— O jakiej nienawiści mówisz, waść?

— O nienawiści cudzoziemca, który zjawił się u nas, aby siać śmierć. Mówię o panu de Loyoli, niewątpliwie wielce szanowanym człowieku. Jego gorliwość ponosi go jednak zbyt daleko... Sire, nie gniewaj się na mnie i pozwól mi wypowiedzieć się, jeśli już raczyłeś uczynić mi ten zaszczyt i wezwać mnie do siebie... jest to zaszczyt, *od* którego w ostatnich czasach odzwyczailem się...

Król uczył w jego słowach wyrzut.

— Mój poczciwy Rabelais — rzekł pieszczotliwym tonem, do jakiego się uciekał rozmawiając z ludźmi, których potrzebował — mów, nie krępuj się...

— Sire — zawołał Rabelais, a wzrok jego błysnął radością — jeśli Wasza Królewska Mość mówi to ze szczerego serca, sądzę że mój biedny przyjaciel będzie uratowany!

— A więc Dolet jest twym przyjacielem?

— Tak, Sire — odparł filozof ze stanowczością — szcycę się tą przyjaźnią, prawie tak samo jak łaskowością mego króla...



— Zdaje mi się, że przesadzasz, mistrzu!

— Nie. Wobec tego, że zostałem upoważniony do szczerości — mówię. Otóż wspomniałem już o tym, że imię pan de Loyola powziął przesadną nienawiść do Stefana Doleta. Skąd ta nienawiść? Dolet — to uczoney. Pan Loyola lubi ciemnotę... u innych... Nauka odsuwa go w cień. Ale, Sire, czy to sprawiedliwe, żeby człowiek był karany za to, że jest rozumny? W takim razie i Wasza Królewska Mość musisz się mieć na baczności!

Król uśmiechnął się zadowolony z komplementu, który tym większą miał wartość, że wygłosiły go usta takiego człowieka jak Rabelais.

— Nie może nic innego zarzucić Doletowi ponad jego mądrość — mówił Rabelais dalej. — Cóż on uczynił?

Znaleziono u niego zakazane księgi? Biblię przełożoną na język francuski? Ależ, Sire, mogę przysiąc, że Dolet nie wydał tych ksiąg i że podrzucono mu je potajemnie przez złość, z nienawiści! Ach! Sire — mówił dalej, widząc wyraźną łaskawość króla — Wasza Królewska Mość jest zbyt wspaniałomyślny, aby zezwolił na taką zbrodnię!

Niech sobie ten de Loyola rusza do swej ojczyzny, niech zostanie jej dręczycielem i katem! Hiszpania to kraj posępnej polityki i okrutnych wierzeń! Nasz kraj jest krainą światła; my nie lubimy tak skomplikowanych i tak przewrotnych myśli. Nikt we Francji nie będzie zdolny zrozumieć potrzeby okrutnego traktowania Doleta. Jego śmierć stanie się ciemną plamą na promiennym tle twych rządów, Sire.

Rabelais był piękny w tej chwili.

Zrzucił maskę przebiegłej wesołości, w którą się zwykle

stroił. Wiedział, jak bardzo ryzykuje, przemawiając do króla tak zuchwale, lecz poniosło go jego głębokie przywiązanie do przyjaciela.

— Uspokój się, mistrzu, pomyślimy o tym wszystkim...

— Sire, widzę, że Wasza Królewska Mość jesteś wzruszony, zgaduję, że zadajesz Doletowi cios pomimo twej woli i że ten hiszpański mnich nie budzi w tobie sympatii.

— Do diabła, masz rację! I gdyby nie przychodził w imieniu papieża...

— Sire, uratuj Doleta!

— Czekaj... czekaj... zobaczymy!

Franciszek I potrzebował w tej chwili Rabelais'go. Sam nie żywił do drukarza żadnych antypatii, nawet mimo oporu, jaki mu stawiał pamiętnego wieczoru porwania Hiletki. A przy tym skorzystałby chętnie z możliwości pozbycia się ponizającej opieki Kościoła. Wszystkie te powody skłaniały go do łaskawego wysłuchania wszystkich racji Rabelais'go.

— Mistrzu, jesteś kapłanem, jesteś wierzącym, studiowałeś dogmaty i miałeś możliwość poznania tego człowieka. Czy odpowiadasz za jego niewinność?

— Jak za siebie. Dolet to czysta dusza i wielka inteligencja. To jeden z ludzi, który jest kwiatem korony Waszej Królewskiej Mości!

— A więc dobrze! Odzyska wolność!

— Sire, ten czyn przejdzie do historii! Ja ci to powiadam i ręczę za to!

Dotknął umiejętnie słabej strony Franciszka I, który stale troskał się o to, co o nim będą myśleć i mówić, który szukał

sposobności strojenia się w szaty bohaterstwa, aby zyskać uznanie przyszłych pokoleń. Król uśmiechnął się:

— Dziś jeszcze wydám rozkaz zwolnienia Doleta. Ta cała afera z książkami jest dosyć ciemna... w gruncie rzeczy... Nie mówmy już o niej... Masz moje słowo, mistrzu... I jako zadatek tego słowa, weź to.

To rzekłszy Franciszek I zdjął z szyi złoty łańcuch i podał go uczonemu doktorowi, który skłonił się nisko, przyjmując dar królewski. Włożył łańcuch na szyję.

— Nigdy nie byłem w takich łaskach — pomyślał — król chyba jest chory...

Podarowany przez władcę łańcuch miał wielką wartość. Składał się z oczek, z których każde tworzyły cztery małe złote pierścienie. Był to więc właściwie łańcuch poczwórny.

Rabelais podziękował i zabierał się już do wyjścia, gdy król powiedział:

— A teraz, gdy już załatwiliśmy sprawę Doleta, pozwól drogi mistrzu, że zajmiemy się moimi sprawami.

— Jestem na twe usługi, Sire. Jeśli zacząłem mówić przede wszystkim o moim biednym przyjacielu, to tylko dlatego, że nie mogłem powściągnąć mego bólu i oburzenia. Wybacz mi, Sire.

— Dobrze jest mieć w tobie przyjaciela — rzekł król dobrodusznie. — Czy i ja mogę liczyć na twą przyjaźń?

— Ach, Sire! wiesz dobrze, jak byłem ci zawsze oddany!

— Czy posuniesz swe poświęcenie do tego stopnia, by pozostać ze mną tutaj — w Luwrze? Mistrzu Rabelais, zamieszkaż w

Luwrze... A jeśli po pewnym czasie udam się do Fontainebleau, czy zechcesz mi towarzyszyć? Będziesz traktowany podług twych zasług, to znaczy — jak książę. Poślę po twe książki i papiery. Będziesz mógł tu pracować... Czy zgadzasz się?

— Nie ma takich poświęceń, których nie uczyniłbym dla mego króla — odparł Rabelais.

A w duchu pomyślał:

— Jednakże słuszne miałem podejrzenie: jestem aresztowany. Jakkolwiek klatka będzie złocona, kłatką być nie przestanie.

— Rabelais... mój drogi Rabelais — wybuchnął nagle król — jestem chory.

— Chory?! Wasza Królewska Mość żartuje?

— Nie! Nigdy nie byłem bliższy śmierci... okropnej śmierci! Nawet pod Marignan, nawet w Pawii... Nigdy nie czułem takiego niepokoju... Wolałbym raczej stać przed dziesięcioma armatami, zięjącymi do mnie ogniem kartaczy. Ach! mistrzu, nie rozumiesz uczucia człowieka, który wie, że nosi w sobie śmierć! Patrzy w lustro, widzi obraz pozornego zdrowia i siły... a w duszy powtarza sobie, że to jego silne ciało stało się ogniskiem nieprzyjacielskich zarodków... i wie... że jest skazany! Za miesiąc, za dwa, za trzy, za kilka dni... któż to zgadnie kiedy straszliwa choroba dokona swego dzieła zniszczenia. Kłamliwa powłoka zdrowia opadnie jak maska — ukaże się wrzód... i powoli, powoli, minuta po minucie będzie nieszczęsny śledzić postępy zżerającej go choroby. Aż skończy potępiony, wstrząsany cierpieniem, pokonany jadem zarazy, którą wchłonął w siebie w chwili szału...

— Jad zarazy! — wykrzyknął Rabelais, patrząc na króla, który blady, z czołem oblanym potem, drżał ze strachu przed straszliwym widmem czekającej go przyszłości.

— Tak, mistrzu, jad! Najszkaradniejszy z jądów, bonie przebacza, bo nie zabija od razu, bo morderstwo zamienia w długą, potworną agonię. To jad, który sącą karminowe usta, to jad, który nikczemna Wenus przekazuje nam w pocałunku, co zabija.

— Do kroćset! Użyłeś, Sire, przerośni, za której każdą literę mój przyjaciel, Klemens Marot, zapłaciłby po talarze — wykrzyknął Rabelais.

Mimo całego swojego niepokoju, król, który miał wielkie ambicje literackie, uśmiechnął się blade.

— Lecz — mówił dalej Rabelais — czy Wasza Królewska Mość jest pewien tego, co mówi? Nie widzę żadnego objawu, żadnej wskazówki, na mocy której mógłbym przypuszczać...

— I to jest najstraszniejsze! Nikt na całym świecie w tej chwili, prócz pewnej osoby, nie podejrzewa nawet, że jestem chory. Ale ja wiem o tym!

— Kiedy to się stało?

— Dzisiejszej nocy.

— Niepodobna! Uspokój się, Sire. Choroba może objawić się dopiero po długim okresie. I to właśnie jest najgorszą jej stroną. Sire, używając twej przerośni, zapewniam cię, że musi upłynąć dobre dziesięć albo i więcej dni, aż się odczuje pierwszą gorycz pocałunku niecnej Wenery.

Król smutno pokiwał głową. Zaczął spacerować po pokoju w milczeniu, wreszcie zabrał głos:

— Chcę ci się zwierzyć z wielkiej tajemnicy.

— Sire — rzekł Rabelais — jestem bardziej lekarzem niż spowiednikiem, wiesz o tym. Jednakże w tym wypadku nie zapomnę o tym, że jestem i jednym, i drugim.

— Zwracam się więc do obu... Wyobraź sobie, że młoda i piękna kobieta ma albo, jak jej się zdaje, może mieć powód do żywienia wobec mnie uczucia nienawiści... Stara się spotkać ze mną, wywołać we mnie zainteresowanie, broni się przez trzy dni... wreszcie... ulega... Czy słuchasz mnie uważnie?

— Tak... i domyślam się końca. Wyznaje, że nosi w sobie zarazki strasznej choroby... Zgadłem?

— Tak... prawie... Bo kobieta ta nie wyznaje, lecz obwieszcza to z triumfem! Oświadcza, że zatrula swój organizm rozmyślnie, aby uczynić to samo ze mną!

— To straszne!

— Tak! A jednak jest to potworna prawda! Nie skłamała! ...Czuję to! Wiem, że umiera... lecz mnie również wlecze za sobą do grobu!

— Okropne!

— Otóż, mistrzu! Powiedz, czy twoja wiedza pozwoli ci uratować mnie? Ach! Rabelais, ratuj mnie! ratuj! Tyle jeszcze muszę dokonać! Śmierć! Umrzeć, nie mogąc pomścić się na cesarzu Karolu! Umrzeć, pobity własną bronią, umrzeć przez kobietę! Umrzeć, podczas gdy tyle żyje we mnie planów, umrzeć, gdy chcę jeszcze zadziwić świat! Uratuj mnie, Rabelais! Wróć

mi życie, a możesz żądać, czego tylko zapragniesz! Odpowiedz mi: czy mam szansę?

— Sire!

— Ach! bez próżnych słów! Prawdy! Całej prawdy! — bodaj najstraszniejszej!

— Sire — odparł Rabelais stanowczym tonem — natychmiastowa odpowiedź jest niemożliwa, lecz uczynię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy. Przed chwilą, wyznam szczerze, uczułem gniew, gdy Wasza Królewska Mość wyraziłeś życzenie, abym zamieszkał w Luwrze. Teraz, gdybyś nawet nie dawał mi tego rozkazu, ja proszę o to. Nie opuszczę cię. Sire. Ramię przy ramieniu zajrzemy śmierci w oczy i zwyciężymy ją.

W oczach króla błysnęła radość, szepnął:

— Jestem uratowany!

## ROZDZIAŁ XXIII

### HOMEK W POBLIŻU TUILERIES

Franciszek I kazał otworzyć drzwi do swej sypialni. Tłum dworzan wszedł tam, aby asystować przy ubieraniu władcy. Król tego dnia był w nadzwyczajnym humorze, jakkolwiek od czasu do czasu na twarzy jego pojawiał się wyraz niepokoju. Rozpoczęła się rozmowa o wielkiej wyprawie na Dzielnicę Cudów, na którą wszyscy dworzanie gotowali się jak na jakąś osobliwą zabawę.

— Moi panowie, ja chcę również wziąć w niej udział! Ale pst! nie życzę sobie, by o tym mówiono... Gdy król się bawi, mogą o tym wiedzieć tylko jego najbliżsi.

Każdy z ochotników stał się jeszcze bardziej podniecony: sam król przecież raczył oświadczyć, że nadziewanie żebraków na szpikulec jest rzeczą niezwykle zabawną.

Montgomery, kapitan straży zamkowej, oświadczył głośno, że należałoby w samym środku Dzielnicy Cudów rozniecić olbrzymie ognisko, aby dokładnie zobaczyć miny ladaczników, oglądających smażących się w ogniu kochanków,

— Czeka nas wspaniałe widowisko — rzekł hrabia de Jarnac — brakować nam będzie tylko Tribouleta na tej zabawie.



- Co się stało z błaznem? — zapytał któryś z dworaków.  
Montgomery zbladł.
- Panowie — rzekł król — Triboulet udał się w podróż;  
wkrótce ujrzycie go znowu.

Dzień minął spokojnie.

Rabelais zakwaterował się w pięknym apartamencie. Oddano do jego rozporządzenia dwóch służących, poza tym jeszcze jednego ze służby pałacowej, który miał udać się do jego domku i przynieść stamtąd wszystko, czego by mógł potrzebować.

Około czwartej po południu zaanonsowano prefekta i wprowadzono go niezwłocznie do gabinetu królewskiego.

— Czekałem na pana, mości Monclar — rzekł król wesołym tonem.

— Zatrzymały mnie obowiązki służbowe, Sire.

— Już masz ode mnie rozgrzeszenie. Ale powiedz mi, mój Monclar, czy ten Dolet to rzeczywiście taki wielki przestępca, jak to zapewnia nasz czcigodny Loyola?

— Nie rozumiem twego pytania, Sire...

— Zaraz wytłumaczę ci jaśniej... życzę sobie, aby w ciągu godziny wypuszczono Stefana Doleta na wolność i aby jeszcze dziś wieczór mógł wrócić do swoich...

— To niemożliwe — odparł zimno prefekt.

— Mój panie, czy mam przypomnieć ci, że król wydaje rozkazy?

— W takim razie. Sire, uwolnię w tej chwili człowieka, który jeszcze dziś rano usiłował zbiec z więzienia, który zabił i

poranił blisko dziesięciu strażników, który kazał zamordować Jego Wielbność Ojca Ignacego de Loyolę i który wreszcie porozumiał się z dowódcami Dzielnicy Cudów, aby wywołać bunt przeciw władzy królewskiej... idę spełnić twe rozkazy!

Monclar skierował się do drzwi.

— Do diabła! — zawołał król. — Co znaczą te wszystkie brednie? Mów pan!

— Znaczą dokładnie to, co miałem zaszczyt powiedzieć Waszej Królewskiej Mości. Więzień Dolet omal nie uciekł z więzienia, bo porozumiał się z żebrakami, którzy kiedyś napadli na Luwr.

— Opowiedz mi, jak to się stało?

— To właśnie chciałem uczynić, gdy Wasza Królewska Mość dał mi rozkaz wypuszczenia Stefana Doleta. Przybywam z więzienia, gdzie dokonano morderstwa, gdzie usiłowano wzniecić bunt i podjęto próbę ucieczki.

Król, blade, ze ściśniętymi zębami, dał znak Moc-larowi, aby opowiadał dalej.

— Sire — rzekł prefekt — zaczynam od wypadku najważniejszego i najstraszniejszego: czcigodny Loyola walczy w tej chwili ze śmiercią...

— Zamordowany! — szepnął król, drżąc na myśl o wynikających z tego faktu konsekwencjach.

— Zamordowany przez jednego z przywódców bandy, przez tegoż samego Lanthenaya, który miał czelność wdrzeć się z bronią w rękę do pałacu i porwać tego, który przyszedł tu z obelgą na ustach.

— Mój Monclar, winnego musi spotkać zasłużona kara. Wybaczyłbym mu w gruncie rzeczy jego napad na więzienie,

lubię bowiem ludzi śmiałych... lecz skoro ośmielił się podnieść rękę na czcigodnego człowieka, którego nam tu przysłał Ojciec Święty... Powtarzam więc, że kara za ten czyn musi być szybka i ma posłużyć za nauczkę dla innych!

— I dlatego Wasza Królewska Mość chce wypuścić z więzienia człowieka, którego tamten łotrzyk usiłował wydrzeć sprawiedliwości?!

Król zamyślił się, przypominając sobie słowo dane Rabelais'emu.

Zwykł był jednak działać pod wrażeniem chwili. Wściekłość przełamała w nim wszelkie opory.

— Obiecałem ułaskawić Doleta— rzekł ostro — lecz wobec tego, co się stało, przekażę go sądowi oficjała!

— A teraz jeszcze jedno, Najjaśniejszy Panie; dałeś czcigodnemu ojcu Loyoli glejt...

— Tak, Loyola chciał nawrócić Doleta.

— I oto ten święty człowiek padł ofiarą swej nadmiernej gorliwości. Prawdopodobnie nasz łotrzyk Lanthenay dowiedział się, że czcigodny Loyola posiada glejt. Udał się do niego tej nocy i przeszył go zdradziecko swą szpadą, aby móc odebrać ów papier. Posiadając cenny dokument, nędznik mógł, wdziawszy na siebie szaty czcigodnego ojca, wejść do więzienia.

— Ależ to bardzo odważny człowiek! — wykrzyknął król z wyraźnym podziwem.

— Zdolny do wszystkiego, oprócz dobrych czynów. Teraz mógł już odważyć się na wszystko: wraz z Doletem, uzbrojeni w sztylety, wpadli do korytarza i przebili się aż do przedsonka.

Jeszcze chwila, a byliby na ulicy... szczęśliwie nadbiegłem ja, w samą porę...

— To dobrze, mości prefekcie, wiem, że mogę liczyć zawsze na twą czujność...

— A więc, Wasza Królewska Mość cofa rozkaz, wydany przed chwilą?

— Tak, mój hrabio.

— A co do tego Lanthenaya...

— Nie ująłeś go pan?

— Uciekł dzięki interwencji swego współnika Manfreda.

— Dzielni ludzie! — rzekł król w zamyśleniu.

— Wielcy nędznicy. Sire.

— I nie zorganizowałeś pan żadnej ekspedycji przeciw nim?

— Owszem, Sire, wszystko gotowe.

— Na kiedy?

— Na dziś wieczór.

— Na dziś wieczór? Do diabła! O której?

— O północy, Sire.

— W takim razie wszystko w porządku; odpowiada mi północna godzina. Idź, mój Monclarze, i nie omieszkać przekazywać wiadomości o Loyoli dwa razy dziennie. Poślę do niego delfina, aby wyraził mu nasze ubolewanie. Nie jest to zbyt duży zaszczyt dla takiego, jak on, człowieka. Na razie powiedz mu, że ubolewam z powodu tego co zaszło i gotów jestem dać mu zadośćuczynienie, jakiego tylko zażąda.

— Powtórzę mu to.

Z tymi słowami prefekt opuścił gabinet królewski.

Około szóstej La Châtaigneraie i d'Essé, stosownie do umowy z królem, stawili się w jego gabinecie. Tym razem towarzyszył im Sansac. Król uściskał go serdecznie.

— Ładnie cię urządzili, mój biedny Sansacu! — rzekł spoglądając na dworzanina, który zdjął właśnie z twarzy jedwabną maskę.

Wyglądał ohydnie. Olbrzymia blizna ciągnęła się czerwoną pręgą od czoła aż do podbródka.

— Tak — rzekł gorzko Sansac — jestem na zawsze zeszpecony i muszę, wychodząc na miasto, wkładać maskę, aby nie straszyć kobiet...

— Współczuję ci — rzekł szczerze król. — I to musiało spotkać właśnie ciebie, tak dumnego ze swej piękności, ciebie, którego urodę porównywano z urodą Apolla! Pożegnaj się z powodzeniem u płci pięknej!

— Zemszczę się, Sire — rzekł Sansac zawziętym tonem. — I właśnie dlatego zdecydowałem się opuścić moją kryjówkę, w której spędzam cały dzień, wychodząc na miasto tylko w nocy jak sowa. Powiadają, że dziś wieczorem organizuje się wyprawa na tych łotrów. Chcę wziąć w niej udział. Gorze temu Manfredowi, jeśli wpadnie mi w ręce!

— Wszyscy weźmiemy w niej udział — rzekł król. — Przyjdę ci z pomocą. Przyznaj jednak, że było to mistrzowskie cięcie.

— Sprawdziłem to na własnej skórze!

— A więc wojna! Nasze szpady zardzewiały już, jakkolwiek wróg nie jest dostatecznie godny naszej fatygi, tej nocy jednak zrobimy sobie przyjemność...

— Sire — rzekł La Châtaingeraie — cieszę się widząc, że

Wasza Królewska Mość pozbył się już trudnych wspomnień z tej nocy...

Król nagle sposepniał.

Starał się rozerwać, zapomnieć o okropnym niepokoju, z którego zwierzył się Rabelais'mu. Przemógł się więc znowu.

— Już minęło — odpowiedział. — Teraz jednak wróćmy do rzeczy. Chodźcie ze mną, moi panowie.

Szybko narzucił na siebie płaszcz i wraz z trzema towarzyszami opuścił Luwr. Gdy się znaleźli na ulicy, król ruszył pierwszy, a trzej dworzanie za nim, trzymając w dłoniach rękojeści szpady.

— Dokąd, u diabła, on nas prowadzi? — szepnął La Châtaigneraie.

— Zdaje mi się — odpowiedział d'Essé — że idziemy w kierunku Tuileries.

— Dobrze! Czyżby chciał pogodzić się z Piękną Kowalką?

— Trudno będzie uzyskać przebaczenie.

— Ba! Dziewczyna pozna jeszcze wielkie szczęście! — zdecydował La Châtaigneraie.

Sansac nic nie mówił; myślał o swej zemście i miłości króla nie robiły na nim żadnego wrażenia.

Król rzeczywiście szedł w kierunku Tuileries. On również pragnął się zemścić, jednak nikomu nie chciał zwierzać się na ten temat.

Miał nadzieję, że Magdalena Ferron bywa w ich małym domku. A może skłamała? Może chciała go tylko nastraszyć? Wydobędzie z niej prawdę. Gwałtem lub prośbą.

A jeśli upewni się, że nie kłamała, porwie dziewczynę własnymi rękami i rzuci na pastwę prefekta, który każe ją spalić na stosie. Obmyślał wyrafinowane tortury.

Po kwadransie stanęli przed domkiem Magdaleny Ferron.

Na prawo czerniały na ciemnym tle nieba kontury cegielni; na lewo ciągnęły się puste pola; o jakieś pięćset metrów stąd, pomrukując głośno, toczyła swe przybrane wody Sekwana.

Trzej dworzanie zatrzymali się na uboczu, lecz król przywołał ich do siebie.

Fasada domku była nieoświetlona.

— Wejźmy — rzekł król.

— Czy mamy wejść wszyscy? — zapytał La Châtaigneraie zdumiony.

— Tak. Znając charakter osoby, do której tu przychodzę, wiem, że nie będzie nas za dużo, aby ją poskromić.

Król wyrzekł te słowa takim tonem, że dworzanie zadrżeli.

— Cóż to za osoba?

— Zobaczycie.

— Czy mamy zapukać do drzwi? — zapytał d'Essé.

— Nie! Starajmy się wejść bez hałasu... chodźcie za mną.

Franciszek I okrążył domek i stanął przed małą furtką ogrodową, którą Magdalena Ferron otworzyła owego wieczoru, gdy Manfred znalazł w domku schronisko przed napastnikami.

— Czy poznajesz tę furtkę? — zapytał d'Essé.

— Do diabła! wszyscy ją znamy dobrze, a każdy z innych powodów.

— Co mówicie? — zapytał król.

— Mówimy, że tuż przy tej furtce Sansac otrzymał swe sławne cięcie przez twarz.

Tymczasem król wyjął z kaftana mały kluczyk, którym usiłował otworzyć drzwi.

— Chyba zmieniono zamek — rzekł po kilku niefortunnych próbach.

— Mur nie jest zbyt wysoki — zauważył Sansac.

— Daję słowo, sposób to pierwotny, lecz przy braku drabiny...

— Wasza Królewska Mość ryzykowałby?

— Tak. Zróbcie most z rąk i zaczekajcie na mnie tutaj.

— Lecz w razie nieprzewidzianego niebezpieczeństwa...

— Zawołam was.

La Châtaigneraie i d'Essé zrobili z rąk most, król postawił na nim nogę, podźwiął się i sięgnął szczytu muru.

Przygotował się do skoku.

Już miał skoczyć, gdy jego wzrok padł na oświetlone partelowo okno. Zatrzymał się. Mógł dojrzeć przez szyby, co się działo w pokoju. Spojrzał ciekawie i z trudem stłumił okrzyk zdziwienia.

Przyjrzał się raz jeszcze uważnie, potem zamiast do ogrodu, zeskoczył z muru na ziemię po stronie towarzyszy. Był bardzo wzruszony i porwał za rękę La Châtaigneraie'go.

— Ona! — szepnął — ona tu!



— Czy nie tę kobietę miałeś nadzieję ujrzeć, Wasza Królewska Mość?

— Nie...

Nie zwracając uwagi na zdumienie dworaków, król podbiegł do głównych drzwi i zapukał w nie młotkiem.

Po chwili mężczyzna z ogorzałą twarzą i długimi świecącymi wąsami otworzył je.

— Czego żądacie? — zapytał ostrym głosem.

— Widzieć się zaraz z twym panem — odpowiedział król.

— Proszę przyjść w dzień.

— Muszę widzieć się z nim natychmiast.

Jednocześnie wszedł na stopnie ganku, za nim posuwali się jego towarzysze.

— Hola! — zawołał wąsał. — Jeśli jesteście uczciwymi ludźmi, oddalicie się niezwłocznie; jeśli zaś przyszlście w złych intencjach, zapłacicie za to drogo!

Wyciągnął zza pasa długi sztylet i stanął w obronnej pozycji.

— Schowaj broń, Spadacape — rozległ się donośny głos. — Czego chcecie moi panowie?

Mężczyzna zbliżył się do króla.

— Tam do licha, mości kawalerze de Ragastens, winszuję panu — posiadasz świetną straż!

— Król! — szepnęła Ragastens. — Precz, Spadacape. Wybacz Sire! lecz któż mógł przewidzieć, że na mój skromny domek spadnie taki wielki honor. Racz Wasza Królewska Mość wejść do pokoju.

Otworzył drzwi.

— Dziękuję kawalerze — rzekł król. — Lecz, zdaje mi się, że

słyszałem jakąś rozmowę. Czy nie mógłbym skorzystać z towarzystwa osób, które u siebie gościsz?

— Sire — rzekł Ragastens zdumiony — to nie goście, to tylko moja żona — księżna de Ragastens-Alma i pewna biedna dziewczyna...

— Chciałbym dostąpić zaszczytu ujrzenia tych pań — rzekł król z uśmiechem.

Nie było sposobu uchylić się od propozycji. Ragastens skierował się pospiesznie do pokoju, do którego król, siedząc na murze, tak ciekawie zaglądał przez szybę.

Już stojąc przy drzwiach, Ragastens zwrócił się do króla.

— Może Wasza Królewska Mość zechce zachować incognito? Jak mam go przedstawić?

— Zaanonsuj króla Francji — rzekł z prostotą Franciszek I.

Ragastens nie potrzebował jednak anonsować. Zaledwie otworzył drzwi i gość przestąpił próg pokoju, młoda dziewczyna, siedząca przy boku księżnej Beatrix, zawołała:

— Król! król!

Hiletka wyrzekła te słowa z niewymownym przerażeniem, wpatrując się błędnym wzrokiem we Franciszka I jak w widmo.

Król złożył kobietom ukłon pełen uprzejmości.

Beatrix powstała i obrzuciła przybyłego pełnym godności, nieledwie surowym spojrzeniem.

— Pani — rzekł król — zechciej wybaczyć pierwszemu rycerzowi Francji, że zakłóca twój spokój. Przechodziłem z moimi dworzanami koło tego domku i, przypomniawszy sobie, że

mieszka w nim pan de Ragastens, nie mogłem się powstrzymać od zapukania do jego drzwi, aby mu raz jeszcze wyrazić niezwykle szacunek, jaki żywię dla niego. Teraz dodam tylko, że zazdroszczę mu szczęścia posiadania za towarzyszkę życia kobiety o tak szlachetnym wyglądzie i tak doskonałej piękności.

— Sire — odpowiedziała Beatrix z taką godnością, że Franciszek I, choć niemający w zwyczaju pieczenia raków, zarumienił się mimo woli. — Sire, niewątpliwie jest to bardzo zaszczytny dla nas i nadzwyczajny przypadek. Sprowadza on do naszego domu króla Francji, ubranego w strój skromnego mieszczanina. Jakikolwiek bądź są prawdziwe zamiary Waszej Królewskiej Mości, jesteś, Sire, zawsze mile widzianym gościem w tym domu.

Hiletko, moje dziecię, powściągnij twe całkiem zrozumiałe wzruszenie i pomóż mi ofiarować Jego Królewskiej Mości poczęstunek, przygotowany naszymi własnymi rękoma.

Z tymi słowami wzięła Hiletkę za rękę, chcąc wyprowadzić ją z pokoju.

Franciszek I jednak skłonił się przed nią i rzekł:

— Tysiąckrotne dzięki, księżno, za twe uprzejme przyjęcie. Błagam jednak, byś pozostała z nami. Chcę mówić o rzeczach niecierpiących żadnej zwłoki.

Zwrócił się do dworzan, którzy zatrzymali się przy drzwiach.

— Panowie — rzekł — zechciejcie zaczekać na mnie.

— Spadacape — zwrócił się Ragastens do wiernego sługi — zajmij się naszymi znakomitymi gośćmi.

Jednocześnie dał po kryjomu porozumiewawczy znak, na

co Spadacape odpowiedział chytrym mrugnięciem oka.

Król zwrócił się do Beatrix i do Ragastensa.

— Zajmijcie miejsca — rzekł jeszcze uprzejmiejszym tonem. — Jestem waszym gościem, a więc etykieta dworska jest zbędna.

— Sire! — skłonił się Ragastens — Wasza Królewska Mość psuje nas.

— Nie, nie. Chcę, żeby każdy zajął miejsce, a ponieważ księżna zdziwiła się widokiem mego skromnego stroju mieszczańskiego, chcę, abyście mnie traktowali jak mieszczanina.

Wszyscy usiedli, Ragastens tylko odmówił uprzejmemu zaproszeniu króla i stał nadal.

— Kawalerze — odezwał się król — nie zapomnieliśmy o tym, że przybyłeś do Paryża, aby odszukać swego syna. Interesuje nas bardzo, jaki jest wynik twych poszukiwań.

— Niestety, Sire, jeszcze nie ma żadnych wyników.

— A jednak prefekt musiał ofiarować ci swe usługi?

— Hrabia de Monclar uczynił wszystko, co od niego zależało.

— Wspominałeś mi pan, że chcesz dostać się do Dzielnicy Cudów?

— Mam nadzieję, że tam natrafię na jakiś ślad.

— Właśnie chcę dać panu po temu sposobność.

Ragastens uklonił się w milczeniu. Beatrix spojrzała badawczo na króla.

Hiletka widząc, że Franciszek I udaje, iż jej nie poznał, ochłonęła powoli ze wzruszenia.

— Tej nocy — rzekł król — prefekt chce urządzać wyprawę przeciw mieszkańcom Dzielnicy Cudów Na ich czele stoją dwaj niebezpieczni bandyci: Manfred i Lanthenay.

Beatrix musiała użyć całej siły woli, aby nie wydać okrzyku. Zbladła jednak.

Król nie zauważył jej bladości, wymienił bowiem te dwa imiona jedynie dlatego, żeby zaobserwować wrażenie jakie zrobią na Hiletce.

Dziewczyna zadrżała i tylko spojrzenie Ragastensa powstrzymało ją od tego, by paść do nóg Franciszka I.

— Ci dwaj bandyci — ciągnął król dalej z okrutnym uśmiechem — będą powieszani jutro rano bez sądu. Zapraszam panią na egzekucję, i ciebie również, moja piękna panienko... będzie to ciekawe widowisko...

— Sire — odpowiedział pospiesznie Ragastens — nastrój, w jakim jesteśmy w tej chwili, wyklucza nasz udział w tym... widowisku. Wasza Królewska Mość raczy wybaczyć, że nie skorzystamy z łaskawego zaproszenia...

— Rozumiem to... zresztą, jeśli zmienicie zdanie, zapamiętajcie, że bandyta Lanthenay zostanie powieszony na placu Grève. Co zaś tyczy drugiego, owego sławnego Manfreda, wybrano dla niego inne miejsce, z którym ma związane przyjemne wspomnienia... zostanie powieszony na Croix-du-Trahoir.

Hiletka zbladła jak ściana i przygryzła wargi do krwi, aby nie krzyknąć.

— Ale, Sire — zawołał Ragastens żartobliwie — coś mi się zdaje, że Wasza Królewska Mość zbyt pospiesznie zaprasza nas na tę uroczystość. Któż zaręczy, że ci dwaj... dają słowo,

zapomniałem ich imion!... któż zaręczy, że zostaną ujęci!

Hiletka zrozumiała jego intencje i rzuciła na kawalera pełne wdzięczności spojrzenie.

— Zwierz jest osaczony — odparł król ciągle jeszcze z jowialnym, a jednocześnie posępnym śmiechem. — Prefekt umiejętnie zorganizował wszystko; obmyślał tę wyprawę w ciągu dziesięciu dni. Zresztą, mamy tam swoich szpiegów; obława zapowiada się świetnie, cały mój dwór weźmie w niej udział... i ja również... Kawalerze, chodź z nami, będzie to świetna sposobność dostania się do Dzielnicy Cudów...

— Przyjmuję propozycję z wdzięcznością.

— Przyjmujesz pan? — zapytał król zdziwiony.

— Oczywiście. Porwijmy za broń, Sire, i wymierzmy ją przeciw niebezpiecznemu wrogowi. Po zwycięstwie pod Mari-gnan nowe zwycięstwo nad Dzielnicą Cudów uświetni twe panowanie.

Król przygryzł wargi.

— Mości kawalerze, bardzo jesteś dowcipny. A więc zdecydowane, idziesz z nami?

— Rzecz oczywista, Sire, nie omieszkam być obecny na takiej zabawie. Daję na to słowo!

— To dobrze. Spotkamy się w Luwrze o jedenastej — atak wyznaczony na dwunastą w nocy.

— O jedenastej będę w Luwrze.

— Najlepiej uczynisz kawalerze, jeśli wybierzesz się już teraz wraz z nami.

— Wasza Królewska Mość mi wybaczy, lecz przed udaniem

się do Luwru, mam jeszcze coś do załatwienia o dziesiątej.

— Nie możesz pan tego odłożyć?

— Niepodobna.

Król obejrzał się. Gdyby jego dworzanie byli w tej chwili przy nim, poleciliby im niewątpliwie aresztować Ragastensa. Pomyślał jednak, że w domu tym kryje się może większa ilość zbrojnych, z którymi nie podołałby ani on sam, ani jego dworzanie. Toteż bardzo uprzejmie oświadczył:

— Zresztą — każdy ma swe sprawy. Wystarczy mi twa obietnica.

— Nie tylko obiecuję, ale nawet przysięgam towarzyszyć ci, Sire, w wyprawie na Dzielnicę Cudów.

— Podoba mi się ta gorliwość — rzekł król coraz bardziej zdziwiony. — Rozumiem jednak twą chęć skorzystania z takiej sposobności. Nie znam boleśniejszej sytuacji nad sytuację ojca albo matki, poszukujących swego zaginionego dziecka. Pani, jestem gotów uczynić wszystko, aby ci przyjść z pomocą.

— Sire... — wyjąkała Beatrix — nie zapomnę ci twej dobroci do końca życia.

— Jakkolwiek jestem królem, nie przestałem być i człowiekiem. Któż zaręczy, że nie poszukuję również dziecka, które mi porwano. Kto wie, czy przez szereg lat nie czynię, podobnie jak wy, bolesnych poszukiwań?

— Sire — odezwał się Ragastens — jesteśmy zdumieni...

— Wiem. Myślicie sobie, że król jest poza wszystkimi ludzkimi troskami. To nieprawda! Cierpię tak samo jak wy! Co mówię?

Cierpiałem bardziej niż wy! Posłuchajcie — po długich poszukiwaniach odnajduję me dziecko, a tymczasem ono wyrzeka się mnie, nie chce się do mnie przyznać, ucieka z Luwru, dokąd je zabrałem. Obiecałem wam dopomóc w odnalezieniu waszego syna... dopomóżcie mi również w zabraniu mej córki do Luwru... Jesteście w stanie to uczynić, musicie to uczynić... i to natychmiast... bo oto moje dziecko, moja córka, jest tu... przed wami!

Z tymi słowami król wstał z krzesła i wskazał na Hiletkę, która z cichym jękiem zakryła twarz rękoma.

Beatrix podbiegła do dziewczyny, jakby chcąc ją osłonić przed napaścią i szepnęła jej do ucha:

— Nic się nie bój, moje dziecię...

— Milczysz, kawalerze — rzekł król z głuchym gniewem.

— Sire — rzekł Ragastens — odpowiedź moja jest bardzo prosta: byłbym sam wyrodnym ojcem, gdybym usiłował bodaj przez chwilę zatrzymywać tę dziewczynę. Teraz ty, Hiletko, masz głos. Powiedz otwarcie, czy chcesz pójść z Jego Królewską Mością?

— A jeśli, jak to się być zdaje, odmówi powrotu do Luwru? — wybuchnął Franciszek I. — Kawalerze, miej się na baczności!

— Och! jestem z góry pewien, że uzyskam aprobatę króla, którego świat nazywa „królem-rycerzem”. Jeśli ta dziewczyna odmówi opuszczenia mego domu, uczynię i powiem to, co uczyniłby i powiedział Wasza Królewska Mość. Powiem: „Moje dziecię, ofiarowana ci przez nas gościna jest po trzykroć święta.



Nigdy nie naruszę jej praw.

— Ach! miej się na baczości, mój panie! Mogę pominąć wolę tej dziewczynki... mam za sobą prawa ojca i króla!

— Sire, prosiłbym Waszą Królewską Mość o czas do namysłu — do jutra.

— Sansac! — wrzasnął król.

W sąsiednim pokoju rozległ się odgłos kroków, po chwili trzech dworzanie ukazali się na progu.

— Niech jeden z was pośpieszy do Luwru — król rzucił rozkaz wściekłym głosem — sprowadzić mi tu oddział strażników!

— Spadacape — rzekł Ragastens poważnie — nie wolno nikomu wyjść stąd bez mego rozkazu.

— Tam do licha, mój panie, to pachnie buntem! La Chât-aigneraie, aresztuj pana!

— Sire — zawołał Ragastens — jeszcze słowo... błagam Waszą Królewską Mość o chwilę namysłu. Na dany przeze mnie znak ci trzech dworzanie zostaną rozbrojeni w mgnieniu oka. Wtedy pozostanie ci tylko niepotrzebny gniew z powodu twej bezsilności. Mnie zaś czeka niewypowiedziana przykrość, że w odpowiedzi na twą życzliwość, Sire, zostałem zmuszony postąpić w taki sposób...

Król zgrzytnął ze złości zębami.

— Dobrze już — bąknął — nie chcę popełniać na nikim gwałtu.

Na dany przez króla znak, jego trzech towarzysze włożyli broń

do pochwy i wyszli do przedsionka, pozostawiając drzwi otwarte.

— Kawalerze, nie tylko nie żywię do ciebie urazy, lecz wręcz podzielam twe zdanie. Chciałbym, aby ta dziewczyna z dobrej i nieprzymuszonej woli udała się ze mną do Luwru. Wiem już, jaką da mi odpowiedź, a będzie ona wysoce niesprawiedliwa. Sądzę, że czas uleczy jej niesłuszne urazy. Odchodzę i postaram się zapomnieć o dzisiejszym wieczorze... pamiętając jedynie o twej dumie, kawalerze, i o twej gościnności, pani... Żegnajcie... szczęśliwy jest ten, kto może uważać się za waszego przyjaciela!

Złożył ukłon i wyszedł z pokoju, poprzedzany przez Ragastensa, który pochodnią oświetlił mu drogę.

Już w progu domu Franciszek I zwrócił się do kawalera:

— A więc — rzekł wesołym tonem — pójdziesz z nami dziś w nocy? Przysiągłeś...

— Ponawiam mą przysięgę: dzisiejszej nocy będę w Dzielnicy Cudów.

Król udał się w drogę wraz ze swymi towarzyszami, a Ragastens wszedł do domu.

Zaledwie jednak uszli kilkadziesiąt kroków, Franciszek I zatrzymał się w miejscu i rzekł:

— Zostańcie tu na straży, moi drodzy. Gdyby ktoś chciał opuścić ten dom, nie wahajcie się ani chwili i mordujcie! Za pół godziny wrócę. Sansac — pójdziesz ze mną.

Król i Sansac oddalili się pośpiesznie w kierunku Luwru.

La Châtaigneraie stanął przy drzwiach wejściowych, a d'Essé przy małej furcie ogrodowej.

W domu panowała głucha cisza. Po półgodzinie król wrócił.

Towarzyszył mu prefekt i połowa kompanii szwajcarów. Otoczono dom; Monclar zbliżył się do drzwi, zapukał trzykrotnie i zawołał:

— W imieniu króla!

Odpowiedziała mu głucha cisza. Monclar zapukał powtórnie. Znowu milczenie.

— Wysadzić drzwi! — rozkazał król.

Żołnierze zbliżyli się z ciężkimi szynami, które prefekt jako człowiek ostrożny i przewidujący kazał zabrać ze sobą. Nie upłynęło dziesięć minut, a drzwi zostały wyłamane. Przeszukano dom od góry do dołu. Był zupełnie pusty.

— Monclar — rzekł król spokojnym, z lekka tylko drżącym głosem, który był oznaką furii — Monclar, muszę mieć tego Ragastensa!

— Będziesz go miał. Sire. Tymczasem jednak możesz ukarać zuchwalca inaczej, raniąc go w samo serce.

— Jak? — zapytał skwapliwie król.

— Ten Manfred, Sire, ten włóczęga, którego pochwycimy i powiesimy...

— Mów, mów!

— Otóż ów Manfred, to syn kawalera de Ragastensa.

Król nie mógł powstrzymać okrzyku dzikiej radości.

Dał znak odwrotu i cały oddziałek udał się pośpiesznie do Luwru.

— Czy wszystko już gotowe? — zapytał król prefekta.

— Bądź spokojny. Sire!  
— A gdybyśmy zaatakowali przed północą?  
— Niepodobna.  
— Dlaczego?  
— Sygnał bowiem musi wyjść z samej Dzielnicy Cudów.  
Trzy wystrzały z muszkietu uprzedzą nas, że możemy rozpocząć natarcie.

— Kto da znak?  
— Król złodziei! — rzekł Monclar z odcieniem dumy w głosie.

— Jesteś świetnym prefektem policji, mój hrabio — oświadczył król.

Monclar podziękował ukłonem.

Po powrocie na swe pokoje, król zastał tam Rabelais'go.

Twarcz uczonego była poważna.

— Mistrzu — rzekł król do niego — porozmawiamy jutro. Dziś wieczór jesteśmy zajęci poważną sprawą, której poświęcamy całą naszą uwagę.

— Ach! Sire, czy może być poważniejsza sprawa nad zdrowie... nad życie!

— A więc o chorobie chcesz ze mną mówić? Chodź...

Pociągnął Rabelais'go do swego pokoju.

— Mów mój pocziwy Rabelais.

— Sire, zdaje mi się, że znalazłem sposób na uprzedzenie choroby. Jak już powiedziałem dziś rano, jad zarazy jest straszny tylko dlatego, że jego działanie przebiega na razie w ukryciu. Gdy objawy staną się widoczne... ratunek będzie

spóźniony! Śmierci nie da się już pokonać, a jest ona naprawdę straszna...

Król nie mógł powstrzymać się od dreszczu grozy.

— Ratunek będzie spóźniony! — powtórzył — lecz jeśli się wie o chorobie wcześniej, nim się ona objawi... jeśli się jej wypowie walkę zawczasu...

— To właśnie chciałem powiedzieć... o tym sposobie jej zwalczenia myślałem. Spędzę dzisiejszą noc nad przygotowaniem lekarstwa, które jutro rano Wasza Królewska Mość zażyje.

— Jesteś moim zbawcą, Rabelais! — zawołał król z gwałtownym wybuchem radości. — Wracasz mi życie... żądam wszystkiego, co ci się tylko zamarzy.

— Sire, jestem już z góry opłacony; obiecując mi ułaskawienie Doleta, Wasza Królewska Mość uczynił dla mnie więcej, niż mogłem żądać. Drogi Dolet! kochany przyjaciel! Gdybyś wiedział, Sire, jakie ma szlachetne serce! Gdybyś, tak jak ja, widział rozpacz jego żony i córki, zrozumiałbyś teraz, jak będą szczęśliwe, widząc go na wolności. Bo on już jest wolny, nieprawdaż? Twoje królewskie słowo rozbiło w proch cały spisek złych ludzi!

Król milcząc słuchał tych słów obojętnie.

— Sire — mówił dalej doktor — czekam, aż Wasza Królewska Mość upewni mnie, że...

— Posłuchaj mistrzu — rzekł nagle Franciszek I — istotnie dałem ci słowo...

— Lecz Wasza Królewska Mość cofnęła je! — wybuchnęła Rabelais. — O co chodzi? Tylko o życie jednego człowieka! O rozpacz całej rodziny! Mała rzecz — nieprawdaż?

— Tam do diabła, dlaczego twój Dolet nie siedział spokojnie? W chwili, gdy ci obiecałem jego wolność, on usiłował...

— Wiem, Sire! Wiem wszystko! Usiłował ratować się ucieczką. To dopiero wielka zbrodnia! Alboż Wasza Królewska Mość, podczas gdy był uwięziony w Madrycie, nie szukał drogi do ucieczki? Sire! Wracając do uwięzienia niewinnego — aby go zgubić, tworzą przeciw niemu spisek, zamykają go w okropnej celi, skuwają mu ręce i nogi. Przez dziesięć dni siedzi raczej w klatce niż w ludzkim kącie, brodzi w błocie po kostki, umiera z głodu i pragnienia, a gdy wreszcie błyska mu iskierka nadziei, że zdoła się z tego piekła wydostać, chcesz, Sire, ażeby tę nadzieję odtrącił! I to poczytuje mu się za zbrodnię?

— Podczas procesu nie będzie mowy o tej próbie ucieczki — rzekł żywo król, w nadziei uspokojenia Rabelais'go. — Przysięgami ci to solennie. Wytoczą mu jedynie oskarżenie o herezję. Wydam odpowiedni rozkaz. Czy słyszysz mój drogi mistrzu? Przyrzekam ci to, że o ucieczce nie będzie mowy.

— Wasza Królewska Mość jest naprawdę wspaniałomyślny — mówił dalej uczony, piniąc się z oburzenia. — Przed sądem będzie mowa tylko o herezji, o tym, co może go kosztować życie! Sire! czy chcesz, aby twe imię, tak wielkie i tak czyste, było splamione na zawsze?! Czy chcesz, aby historia obwieściła całemu światu, że zwycięzca spod Marignan został pokonany przez Loyolę?! Bo, nie bawmy się w słowa, dla Loyoli poświęcasz Doleta! Obawiasz się, że ten nędzny mnich może skłócić

cię ze Stolicą Apostolską! Sire, czy chcesz, aby mówiono, że zdrząłeś przed mnichem ze strachu?!

Król zacisnął pięści; był bliski wybuchu. Pomyślał jednak, że Rabelais trzyma w swym ręku jego życie.

Wtedy on, ten, który oburzał się na samą myśl pomówienia go o strach, on właśnie zdrzął z lęku.

— Mistrzu — zmusił się do uśmiechu — opamiętaj się. Przekraczasz granice, jak mi się zdaje.

— Wybacz, Sire — rzekł Rabelais bardzo wzruszony. — Oskarżaj tylko mą boleść!

Ból musiał istotnie być bardzo wielki, Rabelais bowiem w tej chwili cicho płakał, nie usiłując nawet otrzeć łez, które spływały mu po policzkach.

Król odwrócił głowę. Posepną postać de Loyoli stanęła mu przed oczyma.

— Zaczekaj! — rzekł nagle.

— Sire — zawołał Rabelais — usłuchaj głosu twego wspaniałomyślnego serca...

Król przeszedł pośpiesznie do sąsiedniego pokoju, w którym oczekiwał Bassignac i kilku dworzan. Prefekt był tam również.

Franciszek odwołał go na stronę.

— Monclar — rzekł do niego — jak się ma ten poczciwy de Loyola? Wiesz, że bardzo mnie interesuje jego rana, za którą pomścimy się niebawem, mam nadzieję.

Monclar uśmiechnął się pod wąsem. Wiedział o tym, że Rabelais jest w królewskim gabinecie i zrozumiał, co się dzieje w duszy króla.

— To cud, Sire — odpowiedział — lecz możemy być pewni, że ten święty człowiek nie umrze!

— Ach! — szepnął król.

Powrócił do swego gabinetu.

— Gdybym mu oznajmił, że dla Loyoli nie ma ratunku — pomyślał Monclar — powtórzyłyby swój rozkaz zwolnienia Doleta.

— A więc — rzekł król do Rabelais'go — uczyniłem dla ciebie ostatni wysiłek...

— Ocalisz Doleta? Ach! dziękuję, mój szlachetny królu.

— Oo... nie, na Boga! Chcę powiedzieć, że uczyniłem ostatni wysiłek chcąc się przekonać, czy nie można by uratować twego protegowanego...

— ...?

— Oficjał już wie, niestety, o całej sprawie. Wycofanie się jest niemożliwe.

— Dlaczego, Sire? Dlaczego? — zapytał Rabelais gorąco.

— Teraz wchodzi w grę wielka polityka, mój mistrzu; nikt nie żywiłby respektu dla Francji, dla sprawiedliwości i dla religii, gdyby religia i sprawiedliwość nie były nieubłagane...

Tym razem Rabelais zamilkł.

Rozumowaniem Franciszka I kierowała racja stanu. Takie brutalne i dzikie racje nieodłącznie towarzyszą każdemu despotyzmowi.

Rabelais był zwyciężony. Mówił o ludzkości, o prawie człowieka.



Franciszek, obawiając się postradać łaski doktora, rzekł do niego:

— Uspokój się mistrzu. Jeśli nieuniknione jest to, że Dolet musi stanąć przed sądem i być skazany, mimo swej niewinności, za którą mi ręczysz, jestem dostatecznie potężny, aby mu darować potem życie...

Filozof, przytłoczony całym ogromem podłości i przewrotności, wzruszył tylko ramionami na znak, że nie ma już żadnej nadziei.

— A lekarstwo? — rzekł król nieśmiało.

— Przygotuję je, Sire.

— Więc obiecujesz mi je na jutro?

— Obiecuję, Sire.

— Trzymam cię za słowo.

— Ja nigdy jeszcze nie zламаłem słowa.

Okrzyk ten smagnął Franciszka I szyderstwem.

Rabelais skłonił się w milczeniu, opuścił pokój królewski i z sercem przepelnionym rozpaczą, zamknął się w laboratorium, które urządził sobie na poczekaniu w zamku.

## ROZDZIAŁ XXIV

### DIANA DE POITIERS

Aby trafić do apartamentów królewskich, należało przejść przez kilka olbrzymich, zbytkownie umeblowanych sal. Sale te były napełnione zawsze tłumem dworzan, oficerów straży przybocznej, gwardzistów; wyczekiwali tam nieraz ambasadorowie i inni dostojni goście. Dalej już zaczynały się pokoje króla. Pierwszy był przedpokój, na prawo z przedpokoju wchodziło się do gabinetu królewskiego, na lewo zaś znajdowały się dwa mniejsze salony. Za gabinetem położona była królewska sypialnia. Dalej zaś sypialnia delfina.

Tym sposobem pokoje delfina przylegały do pokoju króla, lecz ponieważ bezpośrednio nie łączyły się ze sobą, należało przejść długi korytarz, aby się z nich dostać na pokoje królewskie.

W czasie rozmowy Rabelais'go z królem, w gabinecie delfina siedziała kobieta. Oparta o wewnętrzną ścianę, uchyliła nieco aksamitną makatę i przyłożyła ucho do znajdującego się małego otworu. Dokładnie słyszała głosy króla i filozofa.

Tylko Diana de Poitiers — ona to była bowiem — wiedziała o istnieniu tej dziury w ścianie. Nieraz korzystała z niej, aby

podслуhać toczące się u króla rozmowy. Owego ranka uczyniła to samo. Właśnie przed chwilą dowiedziała się, że król Franciszek posłał pośpiesznie po Rabelais'go.

Zadrzała i powiedziała do siebie:

— Król jest na pewno chory... chodzi tylko o to, aby się dowiedzieć, czy to coś poważnego.

Znała doskonale Franciszka I i zdawała sobie sprawę z jego stosunku do sławnego uczonego. Nie było jej również obce absolutne zaufanie, jakie król żywił do jego wiedzy medycznej.

Toteż nadal pozostawała na miejscu, aby wysłuchać ich rozmowy. Nie straciła z niej ani słowa.

Na razie słuchała obojętnie długiej dyskusji na temat Doleta. Lecz gdy Rabelais zaczął mówić o lekarstwie zdolnym powstrzymać bieg choroby, zadrzała i zbladła.

— Czyżby cała nadzieja miała być stracona! — pomyślała.

Sprawa ta tak zaabsorbowała jej myśli, że choć Rabelais już dawno opuścił pokój króla, Diana jeszcze nie ruszyła się z miejsca. Twarz jej przybrała twardego wyraz, oczy spoglądały surowo. Wreszcie westchnęła, podniosła się z krzesła i odeszła do siebie. Jako dama dworu żony-delfina, miała swój pokój w Luwrze i, jakkolwiek etykieta nie wymagała tego, by sypiała w pałacu, tutaj najczęściej spędzała noce.

Po powrocie do swego pokoju pogrzyżała się znowu w rozmyślaniach. Zdawała się walczyć ze sobą, jakby odtrącając jakąś straszną myśl. Kilka razy wyciągała nawet rękę do młotka, aby uderzyć w gong, ale zaraz dłoń opadała bezsilnie.

Wreszcie na jej twarzy ukazał się wyraz niezłomnej decyzji. Przywołała lokaja.

— Poproś pana de Jarnac, jeśli jest w Luwrze — rzekła. — Jeśli go nie ma, poślij po niego natychmiast.

Lokaj znikł.

W godzinę potem zjawił się Jarnac, z którym Diana wdała się w długą rozmowę.

Prowadzili ją przyciszonym głosem.

Po powrocie od króla Rabelais zasiadł do stołu w swym laboratorium.

Nakazał sobie na chwilę zapomnieć o wszystkim, powściągnął swe oburzenie i gniew, i zabrał się do pracy. Przygotowując medykamenty i próbówki, mruczał:

— Trzymam życie króla w ręku. Jeśli zechcę, zbawienny środek nie będzie przygotowany; król umrze. Tak! Lecz nie jestem zbrodniarzem. Ponieważ mogę przygotować lekarstwo, obowiązkiem moim jest to uczynić. Potem niech się dzieje, co chce!

Powoli, cierpliwie zaczął czynić próby, wertował książki, rozważał proszki, przelewał płyny...

Okolo jedenastej usłyszał wielki gwar.

Pogrążony w swej pracy, nie zwrócił na niego żadnej uwagi.

Pracował w skupieniu; na twarzy jego nie wyczytałbyś ani śladu wzruszeń, które nim przed paru godzinami wstrząsały.

O drugiej w nocy lekarstwo zostało przygotowane. Był to brunatny płyn, dosyć gęsty, z wyglądu podobny do syropu.

Na flaszeczce przylepił kawałek papieru z napisem:

*Lekarstwo przygotowane przez Franciszka Rabelais'go lekarza, dla Jego Królewskiej Mości.*

Postawił flaszczkę na środku stołu w widocznym miejscu. Wtedy dopiero odetchnął z ulgą, oparł na rękę czoło i zaczął rozmyślać.

Wreszcie wziął kawałek papieru i napisał co następuje:

*Sire.*

*Obok tego listu znajduje się flaszka, zawierająca lekarstwo, które przygotowałem dla Waszej Królewskiej Mości. Odjeżdżam.*

*Opuszczam Luwr, a pewnie i Francję, nie mógłbym bowiem przy spotkaniu z Tobą, Sire, nie zapytać raz jeszcze, dlaczego pozwoliłeś zamordować Doleta, wiedząc o tym, że jest niewinny.*

*Mógłbym odjechać i nie dać ci ratunku. Czyniąc tak, poszedłbym tylko za twoim przykładem. Nawet nie mógłbyś powiedzieć, że cię zabijam: pozwoliłbym ci tylko umrzeć. Pomyślałem jednak, że nie mam do tego prawa. Obyś ty pomyślał, że twe prawa królewskie muszą ci podyktować wyrwanie nieszczęśliwego, niewinnego człowieka z rąk niecznych spiskowców.*

*Wasza Królewska Mość masz zażywać szklaneczkę przygotowanego przeze mnie wina trzy razy dziennie: z rana — na czczo, w południe — przed jedzeniem, a wieczorem — na dwie godziny przed posiłkiem. Ta kuracja winna trwać przez dziewięć dni; ilość przygotowanego płynu jest wystarczająca. Zapewniam Jego Królewską Mość, że, jeśli zastosujesz się od jutra do tych wskazówek, jad choroby, której się obawiasz, Sire, będzie zwalczony, w wypadku, jeśli owa kobieta powiedziała*

*prawdę. Jeśli skłamała, to jest, jeśli Wasza Królewska Mość nie jesteś chory, kuracja ta nie odbije się ujemnie na twym zdrowiu.*

*Pożądane będzie przez owe dziewięć dni, aby Wasza Królewska Mość nie opuszczał swego pokoju, trzymał się ciepło, aby wywołał obfite poty, które dopomogą do usunięcia z organizmu śmiertelnych zarazków. Wieczorem, już w łóżku, Wasza Królewska Mość musisz pić kwiat lipowy, aby jeszcze powiększyć pocenie się.*

*Aby zwalczyć osłabienie wywołane potami, Jego Królewska Mość, po upływie dziewięciu dni kuracji, winien się wzmacniać pokarmem mięsnym.*

*Przez dziewięć dni należy powstrzymywać się od wina, miodu i w ogóle od wszelkich podniecających trunków, jak również od wędlin.*

*Żegnaj, Sire, opuszczam ze smutkiem kraj, w którym się urodziłem, lecz z radością królestwo, w którym może dziać się tak straszna niesprawiedliwość.*

Rabelais położył podpis i zakleił list, który pierwiej przeczytał raz jeszcze, chcąc sprawdzić, czy nie opuścił jakiegoś szczegółu.

Na liście położył adres:

*Do Jego Królewskiej Mości w Luwrze.*

Oparł list o flaszkę z lekarstwem.

Zapakował trochę papierów i książek i zaczął zbierać się do wyjścia.

Na wieży Saint-Germain-L'Auxenois wybiła druga.

W tym samym prawie czasie, kiedy Rabelais pisał swój list. Diana de Poitiers, siedząc w głębokim fotelu przed kominkiem, zdawała się spać.

Dziwna cisza panowała w całym Luwrze.

Nie była to cisza pałacu pogrążonego we śnie, lecz jeszcze głębsza cisza pałacu opuszczonego.

Z wieczora Diana zwolniła swe służące mówiąc, że nie położy się przedtem, aż Jego Królewska Mość i delfin powróć^ z wyprawy na Dzielnicę Cudów.

Gdy pozostała już sama, usiadła przed kominkiem, w którym płonął silny ogień, na dworze bowiem był mróz. Nie spała, jakkolwiek zdawało się, że była pogrążona we śnie.

Zapukano leciutko do drzwi. Pośpieszyła otworzyć.

Wszedł Jarnac.

— Udało się waści zbiec? — zapytała z uśmiechem.

— Tak.

— A ci żebracy? Czy bronią się?

— Zbiegłem, gdyż potyczka dopiero się rozpoczęła.

— Czy sprawa jest niebezpieczna?

— Niebezpieczna? Dla kogo?

— Dla tych, co atakują.

— A więc... dla króla.

— Dla króla, dla następcy tronu...

— Jeśli chcesz pani wiedzieć, co o tym myślę, powiem ci, że nie zdaje mi się, aby król mógł paść albo nawet otrzymać ranę w tej całej zawierusze.

— Dlaczego?

Jarnac uśmiechnął się.

— Ano, dlatego chociażby, że król nie zechce wystawiać się

na niebezpieczeństwo. Złodzieje nie są wrogami godnymi jego szpady.

— Masz pan rację — szepnęła Diana. — Lecz istnieje wróg niebezpieczniejszy dla króla niż wszyscy złodzieje i żołnierze Karola V.

— O jakim wrogu mówisz pani?

— O starości... o chorobie...

— Król jest silny...

— Ale wreszcie... jeśli umrze, co nie daj Boże...

— Pani zostanie królową — rzekł Jarnac — bardziej królową niż żona delfina.

— A pan, mój drogi hrabio, kim byłbyś pan, gdyby nie-szczęście zechciało spaść na nasze państwo?

— Ja, pani? pozostanę na pewno biednym szlachcicem, jak teraz. Co mogę zarobić albo stracić na śmierci króla?

— A więc sądzisz pan, że pańscy przyjaciele zapomną o pa-nu? Sądzisz pan, że ja zapomnę o człowieku, który był moim największym oparciem? Nie! Jeśli zapytam: czego pan sobie życzysz?... Co mi wtedy odpowiesz?

— Że niczego nie pragnę, że niczego nie chcę. Lecz jeśli moja szpada mogłaby jeszcze służyć pani równie godnie jak dziś, musiałaby teraz mieć złotą rękojeść z wyrzeźbionym na niej wyobrażeniem szpady konetabla...

— Najwyższa godność wojskowa! — rzekła Diana.

— Gdy pomyślę o tym biednym uczonym, którego na twą prośbę miałbym zamordować, nie mogę się powstrzymać od uczucia litości...

— I aby uśmierzyć to uczucie — czego żądasz? obietnicy? Możesz liczyć na mnie, masz ją!



— Jestem niewymownie wdzięczny... lecz naprawdę wolalbym mieć to na piśmie. Wtedy, zdaje mi się, moje wyrzuty sumienia...

Diana słuchała go ze zmarszczonymi brwiami. Nie mogła się już cofnąć.

Podbiegła do biureczka i, zwracając się do Jamaca, powiedziała:

— Dyktuj pan!

— Och! wystarczy kilku słów:

*Z mego to rozkazu hrabia Gwidon de Chabot de Jarnac zgładził ze świata mistrza Franciszka Rabelais'go, który, na co mam dowody, spiskował na niekorzyść państwa; czyn pana hrabiego musi być nagrodzony tytułem konetabla.*

Diana de Poitiers pisała szybko, bez namysłu. Położyła podpis i wręczyła dokument Jarnacowi, który przeczytał go, złożył starannie i schował.

— Papier ten może mnie zgubić! — rzekła Diana. — Trudno o większy dowód zaufania z mej strony.

— Uspokój się pani. Jestem ci zawsze oddany. Jeśli ta zrozumiała gwarancja nie będzie mi potrzebna, nie skorzystam z niej.

— A teraz chodź — rzekła Diana.

Wyszli na korytarz i, skradając się, stanęli pod drzwiami pokoju Rabelais'go. Diana szepnęła:

— To tu. Gdy wszystko będzie skończone... zawołasz mnie pan. Chcę zabrać sama to, co mam do zabrania.

Jarnac kiwnął głową na znak zgody i zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Wtedy Diana rzekła:

— Śpi pewnie. Zapukaj raz jeszcze.

Jarnac uderzył pięścią w drzwi i zawołał:

— Mistrzu Rabelais!

Jednocześnie położył rękę na klamce od drzwi, które ku jego wielkiemu zdziwieniu otworzyły się. W pokoju paliło się światło.

Zimny pot oblał mu czoło, w głowie błysnęła myśl, że Rabelais podsłuchiwał jego rozmowę z Dianą, że zaraz wyjdzie z ukrycia i spyta: — Dlaczego chcesz mnie zabić? Co złego ci zrobiłem?

Diana, panując nad sobą, zauważyła jego wahanie.

— Idźże! — szepnęła. — Na co czekasz?

Jarnac wyciągnął z pochwy sztylet i wszedł do pokoju.

— Nie ma nikogo! — krzyknął zdziwiony.

Diana zbladła i weszła również do wnętrza.

Jeśli nie zastaną Rabelais'go, cały plan rozpadnie się w gruzy. Uczony zobaczy się z królem, doręczy mu cudowne lekarstwo i Franciszek I będzie żył.

Wtedy delfin zamiast zasiąść na tronie, pozostanie tylko delfinem, a ona nadal będzie kochanką człowieka bez znaczenia. A przecież mogłaby zostać królową albo przynajmniej — prawie królową.

Obrzuciła pokój spojrzeniem, w oczach jej płonęły złowrogie ognie i, gdyby Rabelais stanął przed nią w tej chwili, udusiłaby go na pewno własnymi rękami.

Lecz wzrok jej padł na stół. Ujrzała list oparty o flaszkę z lekarstwem. Podbiegła do stołu, z bijącym sercem przeczytała adres i napis na butelce. Z ust jej wydarł się okrzyk radości. Porwała za flaszkę, ukryła w kieszeni list i pobiegła do swego pokoju. Jarnac poszedł jej śladem.

Gdy się znalazła u siebie, pożegnała Jarnaca, a po jego odejściu zaczęła pośpiesznie czytać list.

Po chwili jej twarz nabrała znowu wyrazu pełnego godności i spokoju.

Okrutny uśmiech przewinął się po jej pięknych ustach. Pomyślała, że niszcząc list, zabija króla pewniej niż pehnięciem sztyletu albo kulą. A przecież ani król, ani nikt na świecie nie będzie mógł stanąć przed nią i zawołać: „Zbrodniarka!”

— Nikt? — zadrżała, przypominając sobie o dokumencie, który znajdował się w rękach Jarnaca. Natychmiast jednak uspokoiła się. Jeśli już zabija króla; to równie dobrze może zabić i Jarnaca.

Pochyliła się nad kominkiem i wrzuciła list Rabelais'go do ognia. Pergamin skręcił się, zasyczał i po chwili obrócił się w popiół. Potem wylała do kominka całą zawartość flaszki.

Wreszcie swymi arystokratycznymi dłońmi starannie wypłukała butelkę. Zdrapała nalepkę, otworzyła okno i wyrzuciła flaszkę, której zawartość mogła zadecydować o życiu króla.

Nadstawiła ucha... po chwili usłyszała brzęk tłukącego się szkła.

Uroczyście zamknęła okno i wróciła na dawne miejsce przed kominkiem.

Na Franciszka I zapadł wyrok.

## ROZDZIAŁ XXV

### ZJAWA

Po odejściu Franciszka I i jego towarzyszy, Ragastens wrócił do domu.

— Musimy uciekać w tej chwili — rzekł do Spadacape — za pół godziny żołnierze otoczą nasz dom.

— Jestem tego samego zdania — rzekł ze spokojem Spadacape — lecz dokąd iść?

— Tak! Dokąd!

Pałac, wynajęty na mieszkanie przez kawalera, był pod nadzorem. W Paryżu zaś Ragastens nie znał człowieka, którego mógłby poprosić o schronienie.

Zamyślił się. Stał właśnie w korytarzu prowadzącym do pokoju, w którym przyjmował Franciszka I. Z korytarza wiodły schody na górne piętro.

— Jakkolwiek przykro jest zamieszkać w oberży — rzekł Ragastens — lepiej mimo wszystko udać się tam, niż pozostać tu dłużej.

— A jednak należy pozostać tutaj — rzekł nagle jakiś głos.

Ragastens i Spadacape wzdrygnęli się i jednocześnie podnieśli wzrok na schody, skąd płynął głos.

Zauważyli młodzieńca otulonego w płaszcz, z twarzą ukrytą pod maską.

Stał na najwyższym stopniu schodów.

— Kto pan jesteś? — zapytał Ragastens groźnie. — Mów! Chodzi tu o twoje życie.

— Mnie nie zależy na życiu — rzekł tajemniczy młodzieniec — chociaż zadanie moje nie jest całkowicie spełnione. Muszę jeszcze przed śmiercią coś uczynić i coś zobaczyć. Nie jestem pańskim wrogiem, a nawet od kilku chwil jestem pańskim przyjacielem.

Z tymi słowami młodzieniec zrzucił z ramion płaszcz i zdjął maskę.

— Kawalerze, czy nie poznajesz mnie?

— To ty, pani! — zawołał Ragastens zdumiony, poznając w nieznajomej właścicielkę wynajętego przez siebie domku.

Była to istotnie Magdalena Ferron. Zeszła ze schodów.

— Wszystko się wyjaśniło, nieprawdaż? — rzekła z uśmiechem.

— Przepraszam panią... nie wyjaśniło się... Ale, jak się pani znalazła w tym domu — przecież nikt nie widział pani wchodzącej?

— Mam podwójne klucze od wszystkich drzwi — odpowiedziała spokojnie. — Przysięgłam nie wracać tu więcej, jednakże ubiegłej nocy zaszło coś, co zmieniło me postanowienie... Nie staraj się pan mnie zrozumieć... Wróciłam tu o czwartej... Mam zwyczaj chodzić cicho, toteż bez przeszkód dostałam się do jednego z pokoiów na piętrze!

— Pani — rzekł Ragastens — czas nagli...

— Tak, chcielibyście państwo udać się stąd do jakiejś obierzy... Zły to sposób! Już po upływie kilku godzin prefekt wykryje, gdzie jesteście... To zręczny człowiek!

— Chcesz pani zaproponować coś lepszego?

— Tak, chodź pan!

Ragastens poszedł bez chwili wahania za dziwną kobietą. Otworzyła drzwi i zesłała schodami wiodącymi do piwnic. Spadacape przyświecał im pochodnią.

Magdalena Ferron stanęła w obszernym pomieszczeniu zawalonym beczkami.

— Ależ — rzekł Ragastens — piwnica ta nie uniknie na pewno wizyty królewskich zbirów.

Magdalena uśmiechnęła się.

Zbliżyła się do jednej z beczek i silnie nacisnęła obręcz. Rozległ się szcęk sprężyny, w beczce ukazał się otwór, a w jego głębi okrągły korytarz, do którego wejść można było tylko schylając głowę.

Pierwsza weszła Magdalena, za nią Ragastens i Spadacape. Znaleźli się w drugiej piwnicy, której istnienia trudno się było domyślić.

Piwnica ta, dosyć zresztą obszerna, miała kamienną posadzkę i była urządzona jak porządny pokój. Stało tam łóżko, fotele, stół; leżał pęk pochodni. Powietrze dostawało się przez rurę wiodącą na dach.

— Czy myśli pan, że was tu kto znajdzie? — zapytała Magdalena z uśmiechem.

— Ma pani słuszość. Tysiącne dzięki dla mej nieznaney dobrodziejki. Będziemy tu zupełnie bezpieczni.

— Kazałam sama wybudować tę piwnicę i sama obmyślałam to tajemne przejście.

— Nie mam prawa zadawać pani pytań, jednakże wyznam szczerze, że wszystko to podnieca w Wysokim stopniu mą ciekawość...

— To bardzo proste, domek ten otrzymałam od... kogoś, kto był mi bardzo drogi...

— A te wszystkie zabezpieczenia?...

— To obrona przed innym... który miał może do mnie prawo i którego musiałam się wystrzegać... Nie myślałam wtedy, że z kryjówki tej będzie kiedyś taki użytek. Jestem szczęśliwa, że mogę ją panu ofiarować. Proszę was jednak, moi państwo o gościnę przez cały czas waszej tu bytności...

— Jesteś tu panią — rzekł Ragastens — to my jesteśmy jej gośćmi.

Spadacape udał się na górę po Beatrix i Hiletkę. Wkrótce obie kobiety weszły do piwnicy. Beatrix zbliżyła się do Magdaleny.

— Nie umiem wyrazić swej wdzięczności za to wszystko, co pani dla nas uczyniła. Pozwól, że cię uściskam.

Na te słowa nieznajoma zbladła i cofnęła się nieledwie z przerażeniem. Beatrix spojrzała na nią zdumiona.

— Wybacz pani — rzekła Magdalena stłumionym głosem — nie jestem godna takiego dowodu przyjaźni... nie... nie. Nie pytaj mnie pani o nic, błagam... Uważaj mnie za swą pokorną służkę... lecz bądź pewna, że nigdy nie zapomnę twego słodkiego głosu... nigdy.

— Biedna kobieta! — szepnęła Beatrix. — Jak musiała cierpieć.

Magdalena nie słyszała tych słów. Zamykała drzwi, a potem weszła do piwnicy i siadła na uboczu, zasłaniając twarz płaszczem.

Wszyscy obecni milczeli również. Hiletka była blada, lecz trzymała się dzielnie. Ragastens sprawdzał, czy dobrze funkcjonują obydwie pistolety, które Spadacape przyniósł z góry. Nabił broń. Upłynęło około dwudziestu minut.

— Już są! — rzekła nagle Magdalena — teraz niech się nikt nie rusza z miejsca. I proszę zachować milczenie.

Zgaście pochodnie. Wystarczyłby jeden promyczek światła, aby zdradzić naszą kryjówkę.

Piwnicę zaległa ciemność. Ragastens czekał przy drzwiach do korytarza, trzymając w ręku szpadę i pistolet. Trzask wyłamywanych drzwi, odgłos kroków, bieganie i hałasy nad głową mówiły wyraźnie o tym, co się działo na górze. Potem głosy dały słyszeć się z bliska.

Napastnicy zeszli do podziemia. Była to chwila wielkiego niepokoju. Beatrix i Hiletka trzymały się cały czas za ręce.

Powoli gwar głosów osłabł, oddalił się. W sąsiedniej piwnicy zaległa cisza.

— Jesteśmy uratowani — rzekła spokojnie Magdalena.

I rzeczywiście hałasy, rozlegające się jeszcze w różnych częściach domu, powoli ucichły. Wkrótce domek opustoszał. Zbiry królewskie odeszły.

— Pozostańcie tutaj jeszcze przez chwilę — rzekła Magdalena.



Wymknęła się z piwnicy, weszła schodami do domu i przez okno wyjrzała na ulicę. Wkrótce wróciła.

— Już nie ma nikogo — rzekła z gorączkową radością. — Chodźcie teraz ze mną. Nie myślicie chyba pozostać w tym domu. Wierzajcie mi, ten, który przyszedł dziś wieczór, żywi wobec was taką nienawiść, która każe mu szukać straszliwej zemsty.

— Mówi pani o królu? — zapytał Ragastens zdumiony.

Magdalena zadrżała.

— Tak, mówię o królu...

— Czyż ten dom nie jest teraz najlepszym schronieniem? Przecież nie przypuszczają, że tu jesteśmy?

— Tak, lecz przypuszczają, że inna osoba przyjdzie tu wcześniej czy później, a ta osoba... Toteż wrócą tu jeszcze w nadziei zastania jej... może już jutro król zjawi się tutaj.

— Słucham pani i nic nie rozumiem. Okazała nam jednak pani tyle sympatii, że nie waham się usłuchać jej rady.

— Chodźcie za mną! Wynajdę wam jeszcze lepsze schronienie.

— Jesteśmy gotowi.

Magdalena owinęła się w płaszcz, włożyła na twarz, maskę i wyszła; za nią postępowała Hiletka i Beatrix; pochód zamykał Ragastens i Spadacape, uzbrojeni w sztylety. Za pasem mieli nabitą broń.

Na ulicach tonących w zupełnych ciemnościach gdzieniegdzie tylko spotykali jakiegoś mieszczanina, któremu towarzyszył chłopak z pochodnią.

Wreszcie Magdalena Ferron zatrzymała się przed dużą ładną kamieniczką mieszczańską, ozdobioną wieżyczkami. Jej okna wychodziły na ulicę; spiczasty dach zdobiły żelazne chodźki, obracające się od podmuchu wiatru. W dali od czasu do czasu rozlegał się melancholijny okrzyk nocnego stróża.

Magdalena otworzyła drzwi wejściowe.

Kamieniczka ta należała kiedyś do Ferrona. Nie mieszkał w niej nigdy. Nieszczęście i śmierć przyszły, gdy urządzał ją z przepychem godnym wielkiego pana. Kamieniczka była obszerna. Magdalena weszła do dużego przedsionka, skąd szerokie kamienne schody, z ładnie kutą żelazną poręczą, wiodły na górę.

Pierwsze piętro składało się z kilku pokoi umeblowanych z wielkim rozmachem.

— Tu nikt nie będzie was szukał. Pan tego domu nie żyje.

Jakkolwiek słowa te kobieta wypowiedziała bardzo spokojnym tonem, Ragastensowi zdawało się, że jakiś straszliwy dramat kryje się w tym prostym zdaniu: „Pan tego domu nie żyje”.

— Pani — rzekł kawaler do głębi wzruszony — gdybym mógł uczynić coś dla niej.

Magdalena potrząsnęła głową, w oczach jej błysnął triumf.

— Niczego już nie potrzebuję. Nie fatyguj się pan. Pozostańcie w tym domu tak długo, jak będziecie uważali to za potrzebne czy też przyjemne. Jesteście tu całkowicie panami, tym bardziej — dodała z uśmiechem — że nikt nie ma drugiego klucza, nawet ja.

Z tymi słowy złożyła ukłon i, zanim Ragastens i Beatrix zdążyli ochłonąć ze zdumienia, znikła.

— Dziwna kobieta! — rzekł Ragastens.

— Dużo cierpiała i cierpi nadal. Dałabym wszystko, aby poznać przyczynę jej nieszczęścia i mocją pocieszyć.

— Nie myślmy już o tym, przynajmniej na razie. Moja droga, rozgość się tutaj jak możesz, wraz z tym biednym dzieckiem... Ja muszę wyjść ze Spadacape'em.

Beatrix zadrżała.

— Idziecie do Dzielnicy Cudów? — rzekła błędząc.

— Tak trzeba. Mam dwie godziny czasu na to, aby się zobaczyć z młodzieńcem, który nosi imię naszego syna.

Hiletka złożyła ręce.

— Och! Ocal go pan! — zawołała.

— Postaram się, moje dziecko. Chodźmy. Żegnajcie.

Beatrix opanowała wzruszenie; Ragastens ze swej strony nie chciał go również okazać. Uściskał żonę, pożegnał także Hiletkę i wyszedł pośpiesznie wraz ze Spadacape'em.

Było już po dziesiątej.

## Spis treści

Rozdział I	
Rabelais	5
Rozdział II	
Jakiś głos wzywa Manfreda	26
Rozdział III	
Kto wzywał Manfreda?	33
Rozdział IV	
Pan de Monclar u siebie i u króla	51
Rozdział V	
W domu Stefana Doleta	58
Rozdział VI	
Nazajutrz	66
Rozdział VII	
Ojciec	76
Rozdział VIII	
Montgomery	85
Rozdział IX	
Poszukiwania	91
Rozdział X	
Księżna Beatrix	104
Rozdział XI	
Wizyta Ragastensa u prefekta	123

Rozdział XII	143
W którym domu ukrył się Ragastens	
Rozdział XIII	153
Więzienie	
Rozdział XIV	162
Glejt	
Rozdział XV	168
Zdziwienie oberżysty Gregoire'a	
Rozdział XVI	179
Następstwa tej przygody	
Rozdział XVII	187
Rozmowa	
Rozdział XVIII	195
Próba uwolnienia	
Rozdział XIX	200
Kaprys Franciszka I	
Rozdział XX	221
Tricot działa	
Rozdział XXI	230
Bitwa	
Rozdział XXII	236
Trucizna	
Rozdział XXIII	248
Domek w pobliżu Tuileries	
Rozdział XXIV	274
Diana de Poitiers	
Rozdział XXV	284
Zjawia	